

- Noc z Violetta Villas
- Kradzież w muzeum
- Metro in future
- Sport i pieniądze
- W Radzie Miejskiej i na wynos

Jaka jest młodzież?

EDMUND LEWANDOWSKI

Rozpoczynamy druk opracowania Edmunda Lewandowskiego, które można byłoby nazwać „raportem o młodzieży”. Są to rezultaty badań ankietowych przeprowadzonych w latach 1980—1985 wśród studentów i młodzieży licealnej. Refleksje autora, oparte na tych badaniach, przedstawiamy w trzech częściach. Całość stała się przedmiotem dyskusji zorganizowanej w redakcji „Odgłosów”. W dyskusji tej uczestniczyli:

☆☆☆

— JAN BADURA — z katedry pedagogiki społecznej Uniwersytetu Łódzkiego,

— IWONA BARTOSIK — zastępca kierownika Wydziału Nauki i Oświaty Komitetu Łódzkiego PZPR,

— STANISŁAW GÓRAL — z Poradni Wychowawczo-Zawodowej w Zgierz,

— MAREK KOSTERSKI — z Łódzkiego Oddziału PAX,

— MICHAŁ SZYMANIAK — dyrektor XXX Liceum Ogólnokształcącego im. J. Krasińskiego w Łodzi.

W dyskusji wzięli też udział przedstawiciele „Odgłosów” oraz autor niniejszej publikacji. Po opublikowaniu ca-

4



Foto: Grzegorz Góraliński

Perspektywy budownictwa?

MAREK MAMOS

Inżyniera Ludwika Andrzejewskiego przedstawiłem czytelnikom „Odgłosów” kilka miesięcy temu. Powracam dziś do tematu, bowiem mechanizmy jakie działały przeciwko konstruktorowi charakterystyczne są nie tylko dla resortu budownictwa. Opisane niżej kłopoty mogły przytrafić się każdemu, w każdej innej dziedzinie gospodarki.

Pomyślmy przez chwilę o katastrofalnej sytuacji w naszym budownictwie mieszkaniowym. Po to aby postawić więcej domów — twierdzą budowlani — potrzeba więcej cementu, stali, kruszywa, energii. Rzadko natomiast dodają, że ogromne ilości tych drogich surowców pożera stosowana dotąd powszechnie i dlatego beznamiętnie wielka płyta. Ta technologia, ze względu na potwornie wysokie koszty, jest wśród innych głównych przyczyn odpowiedzialna również za to, że kraj stanął na progu gospodarczego i politycznego bankructwa, a obecne wychodzenie z kryzysu stało się możliwe, między innymi dlatego, że budujemy o połowę mniej mieszkań niż rok przed plają, czyli w roku 1979. Zbieżność tych faktów nie może być przypadkowa.

Jeszcze jedna uwaga na wstępie. Na jednostkę dochodu narodowego zużywamy trzy razy więcej energii niż Szwajcarzy i Japończycy, dwa razy więcej niż Holendrzy, więcej niż w większości krajów rozwiniętych. Jednym z głównych konsumentów energii jest budownictwo.

W takiej sytuacji zjawia się konstruktor z gotową koncepcją tańszego budownictwa. W normalnym kraju, gdzie myśli się ekonomicznie, dostałby pracownię i pieniądze na dalsze badania. Niestety, Andrzejewski nie należy do ludzi, którym się powiodło. Od dziesięciu z górą lat toczy zaciekłe boje o swoje racje. Boje wyczerpujące psychicznie i finansowo.

W listopadzie 1974 roku prof. Tadeusz Godycki-Cwirko oraz inżynier Ludwik Andrzejewski wystosowali do władz memoriał na temat budownictwa. Napisali w nim „W ostatnim dziesięcioleciu w praktyce budowlanej krajów zachodnich (Stany Zjednoczone, Kanada) coraz częściej wykonuje się budynki żelbetowe konstrukcji monolitycznej, w tym głównie płytowo-stupowej... Monolit tego typu okazał się tańszy od budynków prefabrykowanych. Wykazuje mniejsze zużycie materiałów takich jak stal — do 30 proc. i betonu. Dla porównania — jeśli w systemie wielkopłytowym „Szczecin” zużycie betonu przyjmujemy za 100 procent, to w systemie

5

A wiklinę na szychcie dobijemy klopajzem...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Sklepik jest mały. Niewielka wystawa, wąskie drzwi. Obok czeru ponurej bramy z pysznącą się tuż przy chodniku bańka po „Autowidolu”. Już pusta... A wokół — mnogość usług maści rozmaitej: naprawa parasolek, szewc, spożywczy i monopelowy, „wszystko dla psa”. Ale tego sklepiku trudno nie zauważyć, a raczej — wyczuć. Gdy tylko znajdziesz się w pobliżu owieje cię charakterystyczny zapach wikliny, przyciągając niczym magnes. Zaś w ciasnym wnętrzu tłoczą się i przepychają wiklinowe kosze, patery, kwiatniki, wiklinowe łóżeczka i fotele, „trzepaczki”, budy dla psów, kotów i kanarków — z wikliny stolki, abażury, walizy — także...

Zanim jednak krótkotrwała w zamyśle wizyta po grzybowy koszyk przeistoczyła się w czterogodzinna, fascynująca rozmowa o wiklinie i wikliniarzach — stałem się mimowolnym świadkiem sympatycznej scenki.

— Czym mogę szanownej pani służyć? — mężczyzna w roboczym fartuchu oderwał się od

sterczących niczym gigantyczny jeź wiklinowych witek, widząc, iż starsza, elegancko ubrana kobieta wyraźnie nie może się zdecydować na wybór koszyka.

— No właśnie, sama nie wiem który wziąć — rozgląda się wokół — tyle ich pan ma i każdy inny. Jadę do siostry i to byłby ładny prezent, „Polonia” kocha się w takich cudenkach...

— Trzeba było tak od razu, a gdzie szanowna siostra zamieszkuje? — dopytuje się szef firmy. — To istotne, doradzę odpowiedni koszyczek...

Kobieta zerka jakoś niedowierzająco, więc on kontynuuje z fasonem i rozmachem:

— Proszę bardzo, oto „bolerko”, bardzo zgrabny koszyczek, wiem, że cieszył się dużym wzięciem za oceanem, a ten większy prostokątny — to „holender”, a znów do Francji to panie zwykle biorą te lakierowane „ślizaczki”, bo

tak się on zwie. A może ten „holender”, robiony w drugą stronę, czyli „pod włos”, ewentualnie model „wiedeński”, też niczego sobie, prawda? I wszystkie bez jednego gwóźdźka wykonane...

Klientka jest wyraźnie zauroczona ofertą. Po chwili namysłu bierze trzy i obiecuje, że jeszcze tu zajrzy. Obladowana koszykami wychodzi, a ja napuszczam jak umiem pana Bogumiła Rybińskiego na dłuższą pogawędkę.

— Czemu nie, możemy porozmawiać, to rzeczywiście wymierający fach, musi pan być jednak przygotowany, że będą nam klienci przeskadzać, a i ja będę trochę dłużej, bo taki duży „waszkierb” muszę na jutro skończyć.

— Cóż to jest?

— Ano taki prostokątny maglak, czyli kosz, w którym nosi się bieliznę do magla...

I zasiada pan Bogumił nad stertą wiklinowych witek, i bieżnie opowieść o wikliniarskim rodzie, o ojcu swojego rozmówcy, który wiele lat przed drugą światową terminował w słynnej koszykarskiej firmie w Paprotni pod Brzezina. Inne to były czasy, mistrz niechętnie dzielił się z uczniami każdą nowinką, wymagał wiele, ale cenil zręczne palce. Gdy noc okupacji na wiele lat ogarnęła cały kraj senior rodu Rybińskich znalazł się w zakładach wikliniarskich Isberga, Niemca z Estonii, który między innymi produkował specjalne kosze do granatów i ciężkiej amunicji.

— Ojciec, jako jeden z nielicznych mógł jeździć po surowiec, po wiklinę. Przywoziłem ją z rejonu Siediątkowa, to były całe wyprawy, kilkudniowe, pamiętam je dość dokładnie, choć malcem byłem. W tamtą stronę wzięliśmy sól, najtę, a wracaliśmy z ukrytą w wiklinie „rą-

6

Ogłoszenia

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wronska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błazejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Kaypl, Włodzimierz Krzeminski, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panaszewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 23.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rekonisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajduje się siedziba Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i w doręczycielach. 2. dla indywidualnych prenumerat: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i w doręczycielach: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odfawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratę Wpłat dokonuje się używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch”. 3. Prenumeratę ze decennium wysyła za granicę przynajmniej RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23, 00-953 Warszawa Konto NBP XV Odziału w Warszawie nr 1153-201045-139 11. Prenumeratę ze zleceniem wysyła za granicę poczta zwykła listem droższym od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla decenniumów indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniowych instytucji i zakładów pracy Termin przysyłania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2767 P-2.

Zanotowane na spotkaniach:

Więcej zieleni i tlenu

Dyskusja przed wyborami do Sejmu osiąga szczyt. Kandydaci na posłów jedzą z jednego spotkania z wyborcami na drugie. W miniony piątek uczestniczyłem w jednym takim spotkaniu na Kozłach. Mieszkańcy tego osiedla zebraли się w sali Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego „Zachód” aby kandydatom do Sejmu IX kadencji przekazać swoje postulaty, uwagi i portfel niezbędnych potrzeb. Tym razem było to spotkanie z JADWIGĄ NOWAKOWSKĄ — technikiem włókienniczym z Zakładów Przemysłu Dzielniarskiego „Femina” i z IRENĄ STASINSKĄ — technikiem poligrafem z Zakładów Graficznych Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych. Obie są z Okręgu Wyborczego nr 42 Łódź — Bałuty. Bez przemówień i uroczystej oprawy obie kandydatki do Sejmu przedstawiły swoje zamierzenia, które w przypadku wybrania ich na posłów będą forsować w odpowiednich komisjach naszego parlamentu. Dotyczy to spraw ważkich i ważnych, spraw dnia codziennego i tych odległych, wybiegających w daleką przyszłość, a które trzeba już teraz wprowadzać w życie, by po latach przyniosły trwałe i wymierne korzyści. A więc chodzi o budownictwo mieszkaniowe, ochronę zdrowia, oświatę i kulturę. Te wypowiedzi stały się punktem wyjściowym do dyskusji. Mówiono dużo. Obok spraw bardzo ogólnych podno-

szone sprawy lokalne, sprawy swojego osiedla, ulicy, sklepu. Postulowano o zwiększenie liczby żłobków, przedszkoli i szkół, mówiono o rencistach, szczególnie o tych z najmniejszymi rentami, domagano się zdecydowanych działań w zakresie oświaty nad przygotowaniem młodzieży do pracy zawodowej, proponowano by zrewidować dotacje dla tych placówek kulturalnych, gdzie nie się nie dzieje, dla tych teatrów, gdzie się gra przy pustej widowni...

Było wiele głosów, ale ranie zaciekały dwa wystąpienia: ELIGIUSZA TOKARCZYKA i JÓZEFA KOZENDRY. Obaj z troską mówili o ochronie środowiska naturalnego, które dla Łodzi ma tak wielkie znaczenie. W odczuciu społecznym ten temat jest czymś dalekim, mało konkretnym, bo nie odczuwamy zagrożenia tak dotkliwie jakby mogło to mieć miejsce w innych dziedzinach życia. Czy zdaliśmy sobie sprawę z tego, jakie wdychamy powietrze na ulicach Łodzi? Kto z przechodniów zastanawia się co wdychamy wraz z kurzem i spalinami? Mimo istnienia prawa wodnego, kto się zastanawia nad faktem, że rzeki Łódzkie od dawna stały się ściekami? Tysiące łodzi jadą na odpoczynek do Łagiewnik, tam mieści się także szpital dla chorych na serce i płuca, lecz czy wszyscy wiedzą, iż piękny łagiewnicki las w połowie jest martwy w wyniku działania zglerskiej „Boruty”? Na makabryczny żart zakrawa fakt, że absolwenci zglerskiej dwuletniej pomaturalnej szkoły, która w tym roku wypuściła pierwszych techników ochrony środowiska naturalnego, nie znaleźli w Łodzi zatrudnienia. Ani jeden zakład pracy nie potrzebował takiego specjalisty. Czyżby? A

może dyrekcje zwyczajnie się boją, iż taki technik zacznie swoją działalność od własnego zakładu?

Owszem, mówiono, mamy znakomite przepływy, bardzo dobre ustawy, ale one same niczego nie zalatwią. Nie ochronią naszych lasów, naszego powietrza. Tego nie zalatwią także sami tylko przyszli posłowie na Sejm. Tu trzeba szerszego działania, całego frontu, a w jego szeregach muszą się znaleźć wszyscy mieszkańcy miasta: od przedszkolaków do emerytów. Ochrona naszego naturalnego środowiska, w którym żyjemy, to przecież także część ogólnonarodowej edukacji obywatelskiej.

E. IW.

Postawić na postęp

W ubiegłym tygodniu w serii spotkań przedwyborczych odbyło się spotkanie środowiskowe, organizowane przez Radę Wojewódzka Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT, na które przybyli kandydaci na posłów: TADEUSZ CZECHOWICZ, ADAM JANKA i MIECZYSLAW SERWIŃSKI. W zdecydowanej większości wypowiedzi poruszane były problemy przemysłu łódzkiego — często przemysłu lekkiego, funkcjonowania reformy gospodarczej uwarunko-

wał, od których zależy w najbliższej i dalszej przyszłości zwiększenie potencjału przemysłowego, a zatem i rozwój gospodarczy kraju.

Problemy te powinny — zdaniem uczestników spotkania znaleźć się w centrum uwagi nowego Sejmu. Wielu dyskutantów podkreślało konieczność wdrażania postępu technicznego w przemyśle nie tylko łódzkim i stworzenia odpowiednich mechanizmów skłaniających zakłady pracy do szukania możliwości rozwoju i wzrostu produkcji własnej poprzez postęp. Charakterystyczna była tu wypowiedź doc. dr Leszka Koryckiego, pracownika Politechniki Łódzkiej, prezesa Wojewódzkiego Klubu Techniki i Racjonalizacji.

Sfwierdzenie — mówił on — że postęp techniczny trzeba wypracować w zakładzie jest słuszne — pod warunkiem jednak, że zakładowi to się opłaca. Na razie bowiem jest w tej dziedzinie za dużo działań obywatelskich, społecznych, za dużo odwoływania się do patriotycznego obowiązku — a za mało konkretnych, ekonomicznych posunięć. Mało tego — niektóre mechanizmy reformy powodują wręcz zahamowanie zainteresowania rozwojem wynalazczości, racjonalizacji i wdrażaniem postępu. Np. FAZ powoduje, że korzystniej jest zatrudnić nowych ludzi niż finansować postęp.

Sytuacja gospodarcza u nas i na świecie powoduje — kontynuował — że aby rozwijać się, powinniśmy konkurować z krajami kapitalistycznymi. A tymczasem u nas ciągle opłaca się produkować mało, drogo i bez zmian. Nadal nie widać, aby reforma coś w tej dziedzinie zmieniła. Tym sposobem zamiast rozwoju — be-

dzieny mieli regres. Zakłada się, że za 3 lata osiągniemy poziom produkcji z lat 78—79 — co przecież nie oznacza, osiągnięcia tego samego poziomu konsumpcji, bo będzie nas po prostu więcej. Dalszy krok naprzód bez postępu nie jest możliwy.

Jak ja widzę rozwiązanie tych dylematów? — mówił L. Korycki. — Konieczna jest przede wszystkim dyscyplina organizacji i zarządzania. Ramowe zasady funkcjonowania gospodarki zostały nakreślone przez Sejm, rząd i partię — a zakłady powinny w pełni samodzielnie szukać możliwości ich realizacji. I znajdą je — pod warunkiem, że będzie to opłacalne.

Tymczasem brak tu konsekwencji: kto odpowiedział za przekroczenie negatywnych wskaźników? — nikt. Jaki zakład wreszcie zbankrutował? — żaden. Kończy się na straszeniu i zarządzaniu komisarycznym. Zdarzały się paradoksalne przypadki, że zakłady, użytkujące duży zysk, płacili kary i rozmaite podatki, nieraz ów zysk przekraczające.

Uważam, że cały zysk, jaki powstaje w wyniku wprowadzania postępu powinien co najmniej przez 2—3 lata pozostawać do dyspozycji zakładu.

Tak więc w najbliższym czasie obowiązywać powinny dwa podstawowe kierunki: dyscyplina i opłacalność działań w zakładzie. W innym przypadku żaden minister, ani Sejm, nie zmusza nikogo do wdrażania postępu w przemyśle.

t. j.

Przegląd prasy

Przed dziesięćdziesiąt laty, w 1895 roku w Rzeszowie, doszło do spotkania przedstawicieli środowisk chłopskich z Galicji, którzy powołałi Stronnictwo Ludowe. Moment ten uważa się za początek powstania w Polsce zorganizowanego ruchu ludowego. Ruchu — jak napisał w „Trybunie Ludu” (nr 220 z 20 września 1985 roku) Kazimierz Kozub — „jednego z najstarszych w świecie spośród tych, które wytrzymały próbę czasu, zachowując jednocześnie swoją tożsamość”. Chłopi polscy podjęli walkę „o utworzenie niepodległego, suwerennego państwa polskiego”, w którym ustanowione będą „prawa i zasady sprawiedliwe dla ludu”. Ideom tym pozostawali wierni przez całe minione dziesięćdziesiąt lat i są im wiernej również dziś. Walczyli nie tylko o wolne polskie państwo, ale i stawali do jego obrony. U boku robotników i wspólnie z nimi walczyli w wolnej już Polsce z obszarnictwem i kapitalistycznym wyzyskiem. We wrześniu 1939 roku ginęli na polach bitwy w obronie zagrożonej niepodległości, szli na tułaczka, aby nadal walczyć o wolną Polskę, stanęli w szeregach partyzantów polskich, podejmując walkę z okupantem. Polska Ludowa spełniła ich odwieczne marzenie o ziemi, realizując reformę rolną. Wielu ludowców zginęło w obronie tej reformy. Dziś ludowy ruch polityczny wspólnie z PZPR ponosi odpowiedzialność za teraźniejszość i przyszłość Polski, opierając się na sojuszu z klasą robotniczą współdziała w rozwijaniu trudnych spraw naszej współczesności.

Uroczystości związane z 90-leciem ruchu ludowego, a także odsłonięcie pomnika Wincency Witos, spowodowały zainteresowanie tą wybitną postacią, jaką był wśród ludowych działaczy i polityków.

BYŁ WINCENY WITOS

niekwestionowanym przywódcą ruchu ludowego, miał swoich zwolenników i przeciwników,

był posem najpierw w Galicji, następnie w II Rzeczypospolitej, był trzykrotnie premierem, przywódcą Stronnictwa Ludowego i współzałożycielem Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast”. Był świadkiem narodzin i upadku II Rzeczypospolitej. Był wynoszony na polityczne i państwowe wyżyny i zamykany w brzeskiej twierdzy, przesładowany, łowny i sądony. Dziś wspomina my go jako zasłużonego działacza ludowego, męża stanu i polityka.

„ŻYCIE LITERACKIE” (nr 38 z 22 września 1985 roku) publikuje fragmenty książki Bernarda Singera „Od Witosza do Stępkę”. Fragment ten nosi tytuł: „W sejmie po przetruciu majowym”. Jest tam też i o Wincencym Witosie, a jakżeby mogło być inaczej.

„...a wśród nich kroczy on sam, prawdziwy wódz sejmny, Wincenty Witos. Skierzy podłoga pod jego ciężkimi krokami. Nie patrzy nikomu w twarz. I gdzie z przyjaciółmi Kierwaniem, patrzącym prawym okiem w lewą stronę i lewym okiem ku prawej. Witos wita się z odzieniem wyzyskości, przywołuje innych przywódców sejmny skinięciem ręki. Ruchy, chód i wzrok stalowych oczu — wszystko jakby wypróbowane u Witosza. Kolejny z jego klubu odchodzi każde jego skinięcie. studium znaczenie każdego ruchu”.

A on decyduje. Oto zaczęło się posiedzenie konwentu senatorów.

„Rychło wchodził, wstrząsając długimi, złotosrebrnymi włosami, Ignacy Paderewski. Zaledwie zdążył otworzyć drzwi, już szybko wyszedł z powrotem. Później konwent senatorów ogłosił jego dymisję i Paderewski został usunięty. Nie pomógł jego koncerty słowne w sejmie, groźby, że paskarze będą wisieć na szubienicach. Wódz sejmny, Witos, orzekł, że nie chce premiera, którego baba (żona Paderewskiego) mieszka się do spraw państwowych”.

O Wincencie Witosie w „TY-GODNIKU KULTURALNYM” pisze Zbigniew Szopliński (nr 38 z 22 września 1985 roku) w artykule zatytułowanym: „Twierdze i ciężkie orzechy”. Daje on zwięzłą charakterystykę politycznej i parlamentarnej działalności Wincency Witosza:

„Działalność sejmowa Witosza w II Rzeczypospolitej nie da się oddzielić od jego działalności politycznej na innych polach. Tam właśnie jako szef trzech rządów, jako twórca koncepcji nazwanej Chjeno-Piastem, ponosił więcej porażek niż sukcesów. Krytykowany go za sojusze z

prawicą, wypominano mu, że dwa kolejne jego gabinety kołczyły swój żywot w rozlewie krwi. Szczególnie powtarzanie wariantu centrowo-prawicy w roku 1926 uznane zostało za wyzwanie racjonalnej społecznej. Wytrwały parlamentarzysta z galicyjskimi doświadczeniami, czy też może zaszczytami, rozpoczął działalność w kraju o niktym tradycjach parlamentarno-demokratycznych. Nie zawsze mógł zrozumieć, że nie wszystkich ożywia ta sama dobra wola i ten sam legalizm, i wiara w praworządność. Dopiero po procesie brzeskim poglądy Witosza w tej kwestii przejdą istotną ewolucję. Jako ofiara rządów sanacyjnych, walcząca z nimi od samego początku, zaczęła odzyskiwać drugą popularność, stanie się symbolem opozycji i jedną z jej głównych postaci”.

W życiu już tak bywa, że teraźniejszość wynosi jednych z przeszłości, przywołuje ich życie pokazując jako przykład do naśladowania, a innych chowa w prokach i cieniach historii. Nieklamana wielkość jednych dodaje im siły, innych doraźne interesy potomnych awansują do miana postaci historycznych. Teraz będzie właśnie o takim zabiegu magicznym.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI OSŁUPIAŁ

na widok nekrologu na kościele Zbawiciela w Warszawie donoszącego anonimowo o zgonie w USA Leopolda Tyrmanda. W osłupieniu wpadł go zawarty w tym nekrologu tekst: „pisarz polski, wielki autoritet moralny, działacz konserwatywno-liberalny, dyrektor Polish Conservative Institute”.

Osłupiał i napisał następnie szkic pt. „Lolek”, który pomieścił w „ZDANIU” (nr 78 z 1985 roku). Jest to próba wyjaśnienia tekstu zawartego w nekrologu. Co faktycznie kryje się pod tymi wzniołymi słowami i czy Leopold Tyrmand na takie określenia zasłużył? Czy są one w ogóle prawdziwe?

„Kiedyś, w młodości — pisze Kazimierz Koźniewski — Lolek Tyrmand był tylko liberaldem. A Stefan Kisielewski, który wówczas pisywał w „Dziś i Jutro”, dowodził w tymże piśmie, że nie jest prawdą jakoby liberalizm się przeżył i że zwolennicy liberalizmu „Kazimierz Koźniewski i Leopold Tyrmand, z którymi Polska Partia Liberalna (PPL)”. No i co się porobiło: trzej zwolennicy liberalizmu rozeszli się daleko, a jeden z nich miał

swoją liberalizm połączyć z dątkowo z konserwatyzmem i na dodatek zostać tego ruchu działaczem, w co Kazimierz Koźniewski mocno powątpiewa no chyba, że dyrektor obowiązkowo musi być działaczem niejako z urzędu.

Leopold Tyrmand, gdy był jeszcze w Polsce, wyróżniał się nietypowym stylem ubierania się i życia. „Nie miał w sobie nic z jakiegokolwiek działacza politycznego, ani kandydata na żaden ofiarny stos — pisze Kazimierz Koźniewski. — Był na „nie”, ale to „nie” wznętał przede wszystkim w dwóch kategoriach swojego bytu: w sposobie ubierania się, w swoistym, dobitnym i nonszalanckim, stylu życia oraz w uwielbieniu dla jazzu, która to muzyka wtedy była źle widziana.

Był niewątpliwie utalentowanym dziennikarzem. Pracował w API „Przekroju”, „Tygodniku Powszechnym”, pisywał w wielu pismach, na przykład w „Świecie” napisał po 1936 roku baszkił na przywódcę „PAX”, Bolesława Piaseckiego, choć uprzednio nie jakoś mu nie przeszkadzało pracować w „Dziś i Jutro”, czy „Słowie Powszechne” — pismach właśnie „PAX”. Pracował zresztą też w „Rzeczypospolitej”, „Kurjerze Polskim”, „Expressie Wjeczornym”. Później został pisarzem, choć pierwsze swoje książki wydał jeszcze jako dziennikarz.

Wspisał się głównie „Złym”. Była to opasła powieść, ballada, jak powiedział Jarosław Iwaszkiewicz: „Tredonata naszych czasów”. Ale była to powieść, która trafiła w społeczne zapotrzebowanie. Powieść ta przełożono zresztą na 16 języków.

W którymś z krajowych nekrologów — pisze Kazimierz Koźniewski — napisano o Leopoldzie Tyrmandzie: „bardz Warszawy”. Jakiej Warszawy? — wyta Kazimierz Koźniewski. Tyrmand hojnie ukazywał Warszacę niby powolenną, niby wspaniałą, ale w rzeczywistości był to Warszawa na „niby”. Daleko od prawdy i realności: była to Warszawa ze snów i marzeń Tyrmanda. Warszawa nie istniejąca, ale fałszywa knajpowa”.

Leopold Tyrmand nosił... czerwone skarpetki i złoty krzyżyk. Jerzy Borejsza, który nie znosił Leopolda Tyrmanda — jak też nie znosiło go wielu innych — powiedział kiedyś: „...Jak on jest Tyrmand, to po co mu ten krzyżyk? Leopold Tyrmand przynawał się, że był synem właściciela sklepu z walizkami na ulicy Trebackiej w Warszawie, a złośliwi mówili, że był synem właściciela wytwórni cholewek na tejże Tre-

backiej. Nam może się dziś wydawać że nie było w tym różnicy, a widać musiała być dość istotna, skoro złośliwi podważali wiarygodność oświadczeń Leopolda Tyrmanda. Po prostu właściciel wytwórni cholewek był biedniejszy, bo to był tylko taki lepszy szewc. A właściciel sklepu z walizkami, to już zupełnie co innego w ówczesnej społecznej hierarchii.

Leopold Tyrmand — jak wspomina Kazimierz Koźniewski — miał wyraźne sennickie rysy, ale po wojnie manifestował swój katolicyzm. We wrześniu 1939 roku znalazł się w Wilnie, a gdy Niemcy zajęli Wilno w 1941 roku zgłosił się na... wyjazd na roboty do Niemiec. Doszedł do wniosku, że w Niemczech nie odróżnił Zydów od Włocha i tak się też stało. Koniec wojny zastał go w Norwegii. Już w USA przeszedł na judaizm. Dlaczego? — zastanawia się Kazimierz Koźniewski.

„Nie bardzo chcę wierzyć, iż za tą zmianą religii kryje się jakieś metafizyczne przeżycie. Powrócił do wiary ojców? Skoro się tak demonstruje swój konserwatyzm? Mam wrażenie, iż owa moźszeszowść Leopolda była równie powierzchowna, równie demonstracyjna, jak był jego katolicyzm. Tylko, że w Polsce lat pięćdziesiątych intelektualny katolicyzm Tyrmand mógł być uznany za jego nonkonformizm, a judaizm w Stanach Zjednoczonych, tym nonkonformizmem już w żadnym razie nie jest”.

Nim skończy relacjonować interesujący szkic K. Koźniewskiego jeszcze mała ciekawostka. Leopold Tyrmand — jak podaje autor „Lolka” — był mężem... Barbary Hoff. Tej samej z „Przekroju”. Powtórnie ożenił się w USA, gdzie zostawił dwoje dzieci.

A Kazimierz Koźniewski tak kończy swój szkic: „Teraz, gdy śmierć przekształciła emocje polityczne, trzeba od nowa przeczytać jego książki. Zobaczyć, co z nich zostało. A może wydać je ponownie, spróbować ocenić dla nas jego literaturę. Może jednak...”

Przed wszystkim nie należy tworzyć mitów, trzymać się trzeba faktów i realiów. Ma więc chyba rację Kazimierz Koźniewski, że i w literaturze pozostał po Leopoldzie Tyrmandzie należałoby odrzucić legendy od rzeczywistych wartości.

LUCJAN BOGUSZ

Parlament — przedstawicielstwo narodowe. Zrodził go burzliwy okres wstrząsających Europę burżuazyjnych rewolucji. Powołany przez siły postępu społecznego, stanowiąc go postępu niezaprzeczone, ważne ogniwo. Równość i wolność polityczna, które zwyciężając mieszczaństwo wypisywało na swych sztandarach, realizowały się poprzez parlament zakładający przedstawicielski udział całego społeczeństwa we władzy.

I oczywiście w tym momencie mógłby ktoś zaprotestować. Jakże to? Przecież daleko nie szukając, początki Sejmu polskiego przypadają na czas feudalnego państwa, a więc na długo przed tym, nim pierwsze przesłanki kapitalizmu pojawiły się na ziemiach polskich.

Oczywiście można znaleźć w naszych dziejach i sytuacje odwrotne, chluby nam nie przynoszące. W 1773 roku mimo dramatycznych protestów Rejtana, Korsaka i kilku innych patriotów Sejm ratyfikował pierwszy rozbiór Polski. Był to jednakże wyjątek regulę potwierdzający.

NA STRAŻY DEMOKRACJI

Inna z nieprzemijających wartości, na tradycję polskiego parlamentu się składających, to walka o demokratyczny charakter władzy.

Była to oczywiście w społeczeństwach antagonistycznych

byłoby mówić o nim w warunkach sejmów szlacheckiego, który dopiero w dniach upadku Rzeczypospolitej Szlacheckiej zainteresował się losem pozostałych stanów, w ograniczonym zresztą stopniu.

Ale już Sejm w Drugiej Rzeczypospolitej i w składzie swoim posiadał przedstawicieli wszystkich klas i o interesy wszystkich klas ci przedstawiciele próbowali walczyć, chociaż klasom nieposiadającym nie zawsze się to udawało.

Parlament Polski Ludowej taką możliwość otrzymał. Przedstawiciele narodu jak nigdy dotąd mają wpływ na kształt państwowości polskiej, najwyższy organ władzy państwowej stanowiąc. Nie ozna-

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Tradycji sejmowych wartości nieprzemijające

Ale polski Sejm w czasach przedkapitałistycznych przedstawicielstwem narodowym nigdy nie był, zgromadzeniem narodowym trudno by go było nazwać, bo reprezentował interes jednego tylko stanu, zarówno swoim składem jak i programem działania.

Inna sprawa, że w określonych sytuacjach, szczególnie w warunkach zagrożenia zewnętrznego, uchwały sejmu szlacheckiego stanowiły wyraz woli narodu, ale na co dzień, w sprawach funkcjonowania i rozwoju państwa liczył się interes jednego stanu.

STRZEGĄC NIEPODLEGŁOŚCI

Z takich przesłanek wychodząc, a szukając w dziejach polskiego parlamentu wartości trwałych, nieprzemijających jako pierwszą z nich uważa należałoby fakt, iż był on i jest wyrazem i symbolem jednocześnie tych uniwersalnych treści patriotyzmu, które w warunkach nawet ostrych konfliktów klasowych jednoczyły naród, gdy następowało zagrożenie niepodległości.

Tak było w przypadku Sejmu Wielkiego, gdzie posłowie Konstytucji 3 Maja uchwalając stwierdzili, że „cenąc dzisiaj nad życie (...) egzystencję polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu (...) niniejszą konstytucję uchwalamy...”

Tak było w 1793 roku w Grodnie, kiedy to Sejm, chociaż tendencyjnie dobrany, nie chciał wypowiedzieć się w sprawie zatwierdzenia rozbioru Polski i przeszedł do historii jako „sejm niemy”.

Tak było w 1831 roku, gdy w warunkach zbrojnego czynu, Sejm uchwalił akt detronizacji Mikołaja I stwierdzając, że „naród polski... jest niepodległym ludem i że ma prawo temu koronę polską oddać, którego godnym jej uznaje...”

Tak było i w 1939 roku, gdy Sejm wniósł się ponad klasowe antagonizmy i partyjne spory manifestując niezłomną wolę obrony dobra najwyższego — Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

We wszystkich tych przypadkach sejm był niekwestionowanym reprezentantem i rzecznikiem narodowych odczuć i interesów.

Czas ludowej władzy i ludowego parlamentu w Polsce nie przyniósł zewnętrznego zagrożenia państwa, ale zawsze wtedy, gdy po drugiej stronie barykady odzywały się głosy Polsce wrogie, jej granice i interesy kwestionujące, Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej konsekwentnie dawał im jednolity godny odpór.

demokracja względna, mniejszości służąca, a w feudalnej Polsce dotycząca jedynie „braci szlacheckiej”, ale przecież stanowiąca alternatywę wobec absolutnej władzy monarchy.

Już na początku XVI wieku w dziele Stanisława Zaborzkiego „O naturze praw i dóbr królewskich” została sformułowana zasada wyższości społeczności narodowej nad królem, a w trzydzieści lat później, na sejmie krakowskim sędziemu królowi Zygmuntowi I wręcz powiedziano, że „nie Najjaśniejszy Pan nie może, jeśli uczciwiej nie zwolna sejmku, jeśli nie zgromadzi wszystkich senatorów królestwa i posłów ziemskich, jeśli zdan ich nie wysłucha...”

Nawiasem mówiąc nie zawsze wywalczona przez szlachtę demokracja szła w parze z rozumą, ale na pewno sejm szlachecki, przy wszystkich swoich słabościach, że stano- wicym interesów wynikających stawał zaporę na drodze do niekontrolowanej władzy jednostki.

Walkę o demokratyczny charakter państwa prowadził także sejm Drugiej Rzeczypospolitej, do czasu oczywiście, w którym uległ deformacji i przestał de facto być przedstawicielem narodu.

Ale jedenaście lat działania tego sejmu, to konsekwentna, z determinacją prowadzona walka o rozwój demokracji parlamentarnej, a w końcowej fazie, o obronę tej demokracji niszczonej przez dyktaturę.

Prowadzono tę walkę, w jakże trudnych warunkach, ale posłowie poniani i lżeni w sposób nie mający precedensu — „pan poseł to nieczymże zjawisko to Polsce...” — twierdził Marszałek — nieugięcie stali na straży suwerennych praw społeczeństwa.

Parlament w Polsce Ludowej takiej walki prowadzić nie miał potrzeby. Wzbogacił jednak sejmowe tradycje swą pracą na rzecz demokratycznego charakteru władzy państwowej.

Jako integralną część społeczeństwa i zarazem najwyższy organ władzy państwowej podlegał sejm deformacji, jakie dotknęły partii i państwo. Miało to miejsce i u schyłku minionej dekady.

Ale też przyznać trzeba, że właśnie sejm stał w pierwszym szeregu sił programujących i realizujących dzieło socjalistycznej odnowy, umacniania socjalistycznej demokracji.

Do nieprzemijających wartości w dziejach polskiego parlamentu zaliczyć niewątpliwie można i fakt, że stanowiąc on ważny czynnik łączący ze sobą naród i państwo. Ten proces narastał stopniowo i trudno

to oczywiście, że osiągnięto już wszystko co można było osiągnąć i Sejm nadchodzącej kadencji niewątpliwie ten poważny już przecież dorobek wzbogaci.

W NOWEJ ROLI

W Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN, pod hasłem — sejm, zapisano na wstępie:

„...W Polsce od XV w. najwyższy organ ustawodawczy, w okresie II Rzeczypospolitej — jedna z izb parlamentu, w Polsce Ludowej — najwyższy organ władzy państwowej...”

Rozwijając ten, z konieczności krótki zapis, należałoby stwierdzić, że w szlacheckiej Polsce relacje między Sejmem jako najwyższym organem ustawodawczym a monarchią uosabiającym najwyższą władzę państwową różniły się kształtowały i wiele na to wpływały czynniki. Bywało i tak, że Sejm, szczególnie w okresie wolnych elekcji w znacznym stopniu ingerował w kompetencje władzy najwyższej, ale nigdy nią nie był, bo być nie mógł.

Nie był także najwyższym organem władzy państwowej parlament w Drugiej Rzeczypospolitej, Konstytucja 1921 roku wprowadzając monteskiuszowską zasadę podziału władzy czyniła parlament organem narodu w zakresie ustawodawstwa, konstytucja 1935 roku odchodząc od zasady suwerenności narodu, najwyższą władzę państwową oddała w ręce prezydenta Rzeczypospolitej, oddając mu pod kontrolę wszystkie naczelnne organy państwowe, w tym Sejm i Senat.

Rangę najwyższego organu władzy państwowej uzyskał Sejm dopiero w ludowej Polsce. Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej swym zapisem urzeczywistniła zasadę suwerenności narodu, stworzyła demokratyczne zasady kierowania państwem.

Płynie czas i mijają kolejne kadencje. Nowy status Sejmu nie oznacza wcale, iż jego działalność przebiega bezkonfliktowo. Sprzecznosci bywają, zresztą — zgodnie z prawami dialektyki — także wpływają na rozwój Sejmu, Sejm, z dawnych dobrych tradycji czerpiąc nowe tworzy i dorobek polskiego parlamentu skutecznie pomnaża.

Ludowy parlament — po raz pierwszy w dziejach suwerennego organu państwowej władzy, Organ najwyższy.

Wybory zdrowego rozsądku

Mieć program

Obserwatorzy obywatelskich zebrań przedwyborczych powszechnie zwracają uwagę na pewien charakterystyczny rys tych spotkań, polegający na przeładowaniu ich kwestiami wyrażającymi interwencyjnymi, o skali nie przerastającej symbolicznej dziury w moście. Kandydackie notesy podobno pęcznieją od zapisków dotyczących konieczności, wręcz egzystencjalnej niezbędności rozmaitych ulepszeń w najbliższym otoczeniu wyborców. Lokalne administracje, zdopingowane do działania, podejmują do- rżne czynności — latają dziury, naprawiają dachy, mobilizują handlowców, wymieniają żarówki w ulicznych latarniach, przenoszą przy- stanki, wywożą śmieci... Lokalne administracje konstruują i ogłaszają w lokalnej prasie pro- gramy realizacji obywatelskich postulatów, zgłaszanych podczas zebrań konsultacyjnych.

Otóż nie ulega dla mnie wątpliwości — i przyłączam się do tych, którzy tak sądzą — że jest to objaw patologiczny naszego życia publicznego, odbiegający jakby od norm funk- cjonowania cywilizowanych społeczeństw de- mokratycznych. Ale dwojako można tę patolo- gię rozumieć... Jedni mniemają, że to obywa- tele nie dorosli do powagi chwili i w czasie przeznaczonym na pryncypialne rozmowy za- wracają głowy kandydatom (i notabom...) du- perelami; ci mają do obywateli pretensje z powodu rzekomego braku zainteresowania sprawami ogólniejszymi — deklaracja wybor- cza, postępowania demokratyzacji, funkcjonowa- niem parlamentu. Drudzy zaś sądzą, że powo- dem takich zachowań elektoratu jest atrofia i słabość lokalnej władzy przedstawicielskiej, znajoryzowanej przez administrację terenową, która z natury rzeczy, gdy może wybrać mię- dzy działaniem i nie działaniem, na pewno za- niecha zrobienia czegokolwiek, a zawsze bar- dziej skłonna jest do nierobienia sobie kłopot- ów, przeto objawia większą gotowość do pa- raliżowania działań innych ludzi niż do ak- tywności własnej. Z tego to powodu obywa- tele poszukują wszelkich dostępnych możliwości interweniowania. Czas przedwyborczy, ze względu na polityczną rangę samego aktu gło- sowania, wydaje się być sposobny do działań interwencyjnych, albowiem można przypu- szać, że administracja wykaże wtedy większą niż zwykle elastyczność, większą gotowość do słuszenia zaspokojeniu potrzeb obywateli, wię- kszą „spolegliwość” i nawet uległość wobec słusznej krytyki.

Celowo tak przejskrawiam i „krzywdząco” uogólniam opis zachowań administracji, albow- iem skłaniam się ku drugiemu sposobowi ro- zumienia przyczyn owego silnego „przegięcia” treści zebrań przedwyborczych ku mikroskali codziennych bolączek. Sądze, że ich uczestnicy w ten sposób poszukują po prostu możliwości przeskokowania szczebla interwencji w sprawach dotąd trudnych do załatwienia przez lokalną biurokrację; natomiast nie można im przypu- szać ani skłonności pieniaczy, ani niedojrza- łości obywatelskiej. Jest bowiem sprawa oczy- wista, że w innych okolicznościach ci sami lu- dzie potrafili — chociaż na pewno większość z nich zdradza poważne braki w edukacji polity- cznej, zastępowane mitami i stereotypami — prowadzić poważny dialog o imponujących naszego narodu i państwowego bytowania.

No cóż, też chciałbym, aby podczas spotkań przedwyborczych dyskutowano wyłącznie o sprawach sejmowi i posłom przynależnych z natury systemu sprawowana władzy. Ale prze- ciż nie sposób oczekiwać od wszystkich swo- istego rozdwojenia jaźni; wszak świadomość o- bywatelska nie może kształtować się w oder- waniu od faktów będących w zasięgu bezpo- średniego postrzegania, namacalnych i znanych z autopsji — nie może kształtować się wyłąc- znie w oparciu o rozkrzewiane ideologii i propagandowe hasła. Wedle wiedzy z dziedziny psychologii społecznej postawy pozytywne kształtują się na ogół w oparciu o fakty, nato- miast postawy negatywne — łatwiej w oparciu o irracjonalne uprzedzenia czy mity (bardz- dzieki inspiracji zewnętrznej...).

Nie sposób jednak przy okazji nie zauważyć, że drugą doniosłą przyczyną dominacji tematy- ki interwencyjnej jest przyrost, szczególnie wydatny w ostatnich latach, postaw roszczenio- wych, nierządno doprowadzonych do postaci absurdałnej. Np. podczas jednego ze spotkań na wsi kandydujący z listy krajowej marszałek Sejmu VIII kadencji Stanisław Gućwa musiał odierać stanowcze żądania, iżby władza pań- stwowa wzięła na siebie odpowiedzialność za czyszczenie rowów melioracyjnych; to właśnie jest skrajny przypadek totalnego uwiadu- wianej inicjatywy i samodzielności, „wyparowa- nia” tak powszechnie kiedys na wsi kulturow- wanego nawyku brania własnych spraw we własne ręce. (Proszę nie mylić ze zjawiskiem przypływow i odpływów zainteresowania cya- nami społecznymi).

Jest rzeczą oczywistą, że ów upadek goto- wości do wspólnego działania na rzecz wspól- nego dobra i samopomocowej przedsiębiorczo- ści (bo ta egoistyczna kwintese...), nie dokonuje się na zasadzie deus ex machina ani za sprawą upowszechniania się biernego egoizmu. Po- wiedzmy sobie otwarcie, że przez lata całe il- czne organy i instancje lokalnej władzy nie- zawsze sprzyjały lokalnym inicjatywom, zwi- aszcza zrodzonym poza zasięgiem ich wpływów i inspiracji. Nierządno czyniono to tak per- fekcjonnie i uporczywie, że i świętego oduczo- no by altruizmem i ochoty do wspólnego dzia- łania...

I w takim to skomplikowanym pejzażu wzajemnych społecznych odniesień między wia- dzą a obywatelami przyszło poruszać się kan- dydatom na posłów. Przeprowadziłem ostatnio kilka rozmów z nimi (specjalnie wybierając kandydujących po raz pierwszy, stosunkowo- młodych i o porównywalnie mniejszym doś-

wiadczeniu w działalności politycznej czyspolec- nej) — są lekko zdetonowani rozmiarami i różnorodnością kwestii, z którymi się zetknę- li. Ale nikt nie sądzi że będnie musiał ich rozwiązywanie włączyć wyłącznie na swoje bar- ki. Kandydaci na ogół dobrze się orientują że większość tych spraw należy do terenowych rad narodowych i lokalnej administracji; oni zamierzają tylko nieustępliwie kontrolować... Ale z pęczniejących zapisków rodzi się u nich pewna refleksja uogólniająca: o potrzebie po- siadania i prezentowania choćby na razie w skrótowej haskowej postaci własnego zindywi- dualizowanego programu działania — progra- mu opartego nie tylko o deklarację PRON i uchwały swej partii politycznej lecz i o włas- ne przemysłowe pragnienia a nawet marzenia. Dlaczego?

Jedną z przyczyn jest niechęć do jednomy- miarowego pełnienia swej roli społecznej, do funkcji biernego przekaznika a nawet trybiku w maszynce do głosowania — to jednak wszyst- kiego nie tłumaczy.

Dotąd uważałem że właściwie indywidualne programy działania nie są posłom potrzebne. Koalicyjna deklaracja wyborcza i szczegółowa programy partii politycznych w których prze- ciż każdy może zabrać się do realizacji czeg- oś, co odpowiada jego wiedzy fachowej, za- interesowaniom, temperamentowi czy wręczcie społecznemu zapotrzebowaniu, powinny wystar- czyć — tym bardziej, że zapewniają one jed- nołitość działania parlamentu. Dzięki wspóln- emu programowi Sejm nie staje się luźną fede- racją niepodległych jednostek, wiążących się w przypadkowe sojusze i równie łatwo je zrywa- jących. A i posłowie nie narażają się na kon- flikty na płaszczyźnie dyscypliny partyjnej — i tak mają ich dosyć w zewnętrznych stosun- kach z administracją przy podejmowaniu inter- pelacji i przy pracach nad rządowymi projek- tami ustaw.

Trzeba też zdawać sobie sprawę z tego, że bardzo silnie oddziaływyje pokusa „łatwego” tworzenia własnego programu — poprzez o- bletnicze wyborcze. Nie bowiem prościej: na każde żądanie wyborców odpowiedzieć, że spr- awa zostanie na pewno i natychmiast załatwio- na. Co więcej — takie obletnicze równie łatwo składa się bez szczególnej zachęty ze strony wyborców; przecież ludzie na ogół nie odma- wiają, gdy proponuje im się jakąś korzyść, na- wet niespecjalnie oczekiwaną czy niepotrzebną. Zebrania przedwyborcze mogą zatem być do- konaną pożywką dla demagogii, która, zderzo- na z powszechniejszymi postawami roszczenio- wymi, może przekształcić się w swoistą mieszan- kę wybuchową o nieobliczalnym działaniu społecznym.

Na szczęście w praktyce przedwyborczych zebrań nie obserwujemy takich „festiwal- obletnic”. Kandydaci są na ogół dobrze przy- gotowani w kwestii wiedzy o realiach i do szafowania przyrzeczeniami nieskorzy. Co wię- cej — potrafią powściągać wybujałe żądania wyborców i na ogół posługują się w argumen- tacji brutalnie szczerą prawdą o naszych mo- żliwościach oraz wewnętrznych uwarunkowa- niach naszego życia publicznego. Zapewne nie zdobywają sobie w ten sposób nadmiernego poklasku, wyjawy wąskie kregi cymicznych pragmatyków. Ale o taniej popularności tu nie chodzi, ani o „wygraną” wyborów...

Nie ulega wątpliwości, że poparcie wybor- ców zdobyć trzeba. Jeżeli odrzucimy jednak demagogię obletnic, to jaki sposób pozostaje? A przecież trzeba pamiętać, że nie wszyscy to- lerują szczerść, chociaż wolają o prawdę.

Pozostaje właściwie jedna droga. Przede wszystkim kandydat musi być przedtem czło- wiekiem szeroko znanym, musi być lokalnym przywódcą, autorytetem, jednostką opiniotwór- czą, działaczem społecznym o niekwestionowa- nym dorobku. Mało znani nie mają — nie powinni mieć — szans... Przy tym pamiętać trzeba, że obywatelskie poparcie dla kandyda- ta nie kształtuje się przed wyborami — teraz dostają oni tylko kredyt; nie ma jeszcze mo- wy o bezwarunkowym zaufaniu i aprobachie nawet dla działań trudnych i niepopularnych. To zdobywa się dopiero w trakcie posłowania...

„Ale jak? Nie ulega wątpliwości, że jednym z ważniejszych kryteriów oceniania przysłego i już wybranego reprezentanta jest jego zdol- ność do skutecznego interweniowania — to, co trywialnie zwykło nazywać się siłą przebiecia. Co tu ukrywać — tym ludzie zwykli mierzą atrakcyjność kandydata; im większe ma poten- cjalne możliwości działania w sprawach kon- fliktowych, trudnych, tym jest lepszy. Osob- nik skromny i nieśmiały może być wprawdzie wybrany, ale potem z uzyskaniem poparcia będzie miał trudności.

Poselska działalność interwencyjna na rzecz obywateli, w ich prywatnych sprawach, jest niezmiernie ważna. Od jej skuteczności zależy pozytywny wizerunek posła w społeczności lo- kalnej. Jednym zdaniem: dobrze załatw oby- watela, a potem możesz liczyć na jego wspar- cie lub przynajmniej na aprobatę... Ale nie o- czekuj wdzięczności ani uległości — jesteś przecież tylko reprezentantem obywateli, a nie terenową ekspozyturą przypadającej na ciebie części władzy Sejmu.

Kandydat, a potem poseł, musi od początku prowadzić dialog ze swymi wyborcami — nie tylko ich słuchając. Ale jego udział w dialogu to nie tylko ogłoszenie własnego programu, to także informacja o tym, co on sam i cały Sejm robi. Powstająca w ten sposób bieżąca konfrontacja funkcjonowania posła z oczeki- waniami wyborców najlepiej służy weryfikacji tego indywidualnego programu. Trudno bo- wiem byłoby sądzić, że uda się przeforsować program wyrosły tylko z indywidualnych za- miarów i pragnień posła, trudno byłoby też u- uzyskać zrozumienie lokalnej społeczności, gdy- by na przykład przyszły poseł, zgodnie ze swymi najgłębszymi zainteresowaniami chciał poświecić się wyłącznie — powiedzmy polity- ce zagranicznej.

Posel musi stać — mówiąc nieco symbolicz- nie — czuć za plecami oddech swych wybor- ców; niech mu patrzy na ręce, niech się wtrącają. W zamian jednak niech go popierają, rdy będzie trzeba. Tylko taki układ jest owoc- ny w życiu publicznym; poseł bez lokalnego zaplecza moralnego, intelektualnego i bez po- mocy swego elektoratu jest martwą figurą.

TOMASZ SAS

łości „raportu o młodzieży” przedstawił Czytelnikom zapis dyskusji.

Młodzież polska, czyli kategoria społeczno-demograficzna licząca 8 mln 839 tys. osób w wieku od 15 do 29 lat (24 proc. obywateli), jest w swoich poglądach, uczuciach i zachowaniach zróżnicowana. Totalnie w rzetelnej charakterystyce należy unikać pochopnych uogólnień, a ukazywać strukturę i korelacje występujące w różnych punktach widzenia.

W psychologii i socjologii postawami nazywa się wzajemnie trwałe zachowania wobec określonych przedmiotów, idei, procesów, ludzi. Postawa człowieka obejmuje cztery elementy składowe: intelektualny, emocjonalny, wolicjonalny i behawioralny. W pierwszym przypadku chodzi o wiedzę, jaką jednostka ma na temat danego przedmiotu czy procesu. Zazwyczaj ludzie nie postępują według obiektywnego stanu rzeczy, lecz zgodnie z posiadającym obrazem rzeczywistości. Następny komponent stanowią uczucia (miłość, obojętność, nienawiść) żywane wobec przedmiotu postawy. Mają one wpływ zarówno na proces poznawania, jak i reagowania. Sympatie lub antypatie uniemożliwiają nieraz dotarcie do prawdy i popychają ludzi do działań sprzecznych z ich interesami. Trzecim czynnikiem jest stan gotowości i mocowania (słaby lub silny) do działania; a ostatnim — faktyczne zachowania człowieka (słowo, gesty, czyny). Innymi słowy: chcąc opisać postawę jednostki, trzeba odpowiedzieć na cztery zasadnicze pytania. Co wie o przedmiocie? Co czuje do niego? Jaką ma wolę działania? Co rzeczywiście robi?

W kolejnych artykułach omawiam deklarowane i obserwowane postawy młodzieży szkolnej i studenckiej. Podstawę tego stanowią głównie wyniki badań prowadzonych przede mną w latach 1980—1985, a w szczególności dane pochodzące z sondażu wykonanego na początku 1985 r. wśród uczniów klas maturalnych w Łodzi oraz studentów kierunków humanistycznych (historia, socjologia, pedagogika, filologia) Uniwersytetu Łódzkiego. Poza tym staram się uwzględnić znane mi rezultaty innych badań oraz podsumować własne doświadczenia i przemyślenia pedagogiczne.

CELE I WARTOŚCI ŻYCIOWE

Młodym ludziom najbardziej dziś zależy na udanym i szczęśliwym życiu rodzinnym. Towarzyszy temu wycofywanie się z życia publicznego do prywatnego. Czas wolny od nauki i pracy spędza się w małych kragach członków rodziny — przyjaciół. Przeszło trzy czwarte młodzieży nie należy do żadnej organizacji społeczno-politycznej. Poważnie zmalała liczebność oraz aktywność ZHP, ZSMP, ZSP. Zwiększył się tylko udział w organizacjach katolickich (np. „Światło — Życie”), lecz w szkołach średnich wynosi on zaledwie 7 procent. Małe zaangażowanie ludzi młodych zdumiewa aktywistów należących obecnie do starszego pokolenia. Pewien działacz ruchu ludowego pisze w swoim pamiętniku:

„Młodzież mojej rodziny. Dziś już niektórzy przekroczyli 30 lat. Kiedyś sa razem i patrz na nich, zawsze nasawa mi sie pytanie: czy oni sie umowili, że żaden (żadna) nie przynależy do żadnej organizacji? Przecież to niemożliwe, aby im nie w życiu nie było potrzebne. Tak myślę. Kiedy przy niektórych rozkrecza się szczyt rytym dla czegoś żadne z was nie należy do żadnej organizacji? — A po co? — chórkiem”

Stosunki między młodzieżą a jej rodzicami układają się nieciekawie. Nie ma konfliktu pokoleń. W obu kategoriach dominują podobne systemy wartości. Zdarza się wprowadzić problemy związane z wzajemnym zrozumieniem, ale w niewielkiej części rodzin występują permanentne konflikty. Na pytanie — „Czy w twojej najbliższej rodzinie (matka, ojciec, rodzeństwo) ogólnie biorąc panuje atmosfera miłości i życzliwości wzajemnej?” — odpowiedziało twierdząco 87 proc. studentów (42 proc. studentów) i 45 proc. umiarkowanie, a przecząco zaledwie 8 procent. Jednocześnie trzy czwarte respondentów uznało, że poza własną rodziną mają kogoś, komu mogą całkowicie zaufać. W przeciętnej rodzinie dąży

się do utrzymania zgody i spokoju, lecz formy uczuciowo-obyczajowe są prawdopodobnie dość ubogie, skoro 80 proc. respondentów codziennie włącza telewizor, zaś młodzież przeważnie słucha muzyki. Kilka lat temu, podczas rozmowy z reporterką programu III Polskiego Radia, pewna dziewczynka z krakowskiego przedszkola powiedziała: „Życie rodzinne jest wtedy, jak siedzą przed telewizorem i nie mówią”. A zapytana następnie — co się dzieje, kiedy rozmawiają? — odparła krótko: „To jest awantura”. Niestety, życie większości naszych rodzin rozpięwa się, jak to kiedyś trafnie określił Stanisław Grochowiak, w nie kończącej się telewizyjnej ścieżce.

W dążeniu do urzędzenia swego życia młodzi wykazują

nia, niedotrzymywanie obietnic. Powszechność tych wyroczeń powoduje, że często sprawy wcale nie odczuwają wstydu i wyrzutów sumienia. W życiu wewnętrznym i stosunkach międzyludzkich przestają liczyć się honor, godność, poczucie odpowiedzialności. Spora część studentów — przyszłych nauczycieli, prawników, kierowników, twórców kultury — uważa za dopuszczalne wycinanie kartek z książki bibliotecznego lub przywłaszczenie sobie całego egzemplarza, fałszowanie danych w podaniu o stypendium, przedstawienie do zaliczenia cudzej pracy. Wszyscy przywykli już do tego, że referent może nie przyjąć bez uprzedzenia na seminarium, że osoba umówiona na egzamin zjawia się w zupełnie innym terminie, że mało

Rady Naczelnej ZSP tylko ok. 30 proc. studentów osiąga średnią ocen powyżej trójki z plusem, a przeszło dwie trzecie uzyskuje najniższe stopnie. Niewiele ponad 30 proc. kończy studia w terminie. Moim zdaniem spowodowane jest to złagodzeniem rygorów w szkołach i innych instytucjach. Młodzież szybko przekonuje się, że wszystko można wyprosić i wypłać, że zawsze jakoś to będzie.

W pokoleniu tym przeważnie nie stanowią się sławy i wysokich stanowisk kierowniczych. Zaledwie 12 proc. młodych robotników oraz 21 proc. studentów (mężczyzn 1/3) deklaruje chęć uczestniczenia w sprawowaniu władzy; zaś po 62 proc. w obu populacjach opowiada się za tym, żeby nimi ktoś inny

POSTAWY ŚWIATOPOGLĄDOWE

Młodzież polska jest bardzo religijna — najprawdopodobniej produkuje pod tym względem w Europie. Wierzy w Boga i praktykuje ponad cztery piąte. W środowisku studenckim 68 proc. badanych uważa się za katolików w takim stopniu, że mogą powiedzieć o sobie, iż są członkami Kościoła Rzymskokatolickiego. Lecz częściej identyfikują się w ten sposób kobiety (71 proc.) niż mężczyźni (57 proc.). Poza katolicką wspólnotą kościelną sytuuje się tylko 15 proc. studentek, ale 35 proc. studentów. Obyrzymu au torytetem cieszny się papież Jan

dzielię bierze udział 44 proc. uczniów oraz 40 proc. studentów. Pozostali chodzą na mszę nieregularnie lub bardzo rzadko. W obu zbiorowościach badanych jedna trzecia uważa, że księża i biskupi powinni podejmować w kazaniach również zagadnienia polityczne, zaś blisko 60 proc. nie życzy sobie polityki w kościołach. Przy czym najczęściej przeciwników kazań politycznych jest wśród osób najbardziej religijnych. Zaledwie jedna piąta respondentów opowiada się za przywróceniem w szkołach nauczania religii przez księży lub zakonnic, a 36 proc. uważa, że w klasach szkolnych powinny wisieć krzyże. W ostatnich trzech kwestiach istnieje zdumiewająca zgodność między opiniami młodzieży uczniowskiej i studenckiej.

Na początku 1985 r. zadano badanym osobom pytanie: „Czy podzielasz pogląd, że ludzie, którzy nie wierzą w Boga są zazwyczaj niemoralni i źli?” Jest to, jak wiadomo, teza popularna w kręgu duchowieństwa katolickiego i bardzo często upowszechniana wśród wiernych. Ale okazuje się, że zgadza się z tym zaledwie 6 proc. uczniów oraz 2 proc. studentów — i to tylko umiarkowanie (raczej). Natomiast pozostali respondenci odrzucają tę tezę — w tym zdecydowana większość w sposób stanowczy!

Należy podkreślić, że opinia młodzieży o braku związku między religijnością a moralnością w naszym kraju jest całkowicie zgodna z rzeczywistością. Badania prowadzone przez socjologów z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego wykazały, że wiara religijna nie ma znaczącego wpływu na postawy w życiu codziennym. Ksiądz prof. dr Władysław Piwowarski powiada:

„Moralność ta zdaje się bardziej kształtować pod wpływem pewnych wartości funkcjonujących w kulturze, aniżeli pod wpływem instytucji i wierzeń religijnych. Niektórzy wręcz twierdzą, zwłaszcza w badaniach zachodnich, że nie ma w ogóle związku między religijnością a moralnością małżeńską i rodzinną, że moralność ta kształtuje się wyłącznie w oparciu o wzory kultury, a nie w oparciu o moralność religijną”.

A dalej czytamy: „O ile na przykład większość spośród wierzących stwierdza doświadczenie Boga, odczucie więzi z Bogiem, przeżycie religijne oraz poczucie sensu, jaki dostarcza im religia, a tyle równocześnie większość stwierdza, że nie odczuwa wpływu religii na własną pracę, ani na inne konkretne sytuacje życiowe. Rozdzinek pomiędzy religią a aktywnością ludzi w różnych dziedzinach codzienności jest więc wyraźny”.

W miesięczniku akademickim „Młodzież Katolicka” (październik 1983) duszpasterz studencki ks. W. Kwiecień pisze, że obserwuje istnienie znacznej grupy młodych ludzi, których można określić jako religijnych, ale niewierzących. Mają oni podobną lub wręcz taką samą hierarchię wartości jak osoby, które w ogóle nie wierzą w Boga. Trzeba tu dodać, że w społeczeństwie naszym w zasadzie tradycyjnie mała wiara szła w parze z masowym udziałem w praktykach kościelnych. Można w tej kwestii zezdźić się z tezą księdza Józefa Tischnera, że religijność polska — to „nie tyle religijność wiary, co religijność nadziei”.

Młodzież nasza niezwykle słabo zna Pismo Święte oraz inne podstawy doktrynalne katolicyzmu. Wieloletni kurs religijny przynosił skromne efekty. Przypomnę tu do nieznajomości zasad etycznych głoszonych przez Jezusa Chrystusa 17 proc. uczniów i jedna czwarta studentów. Pozostali deklarują wręcz, że nie wiedzą, lecz nie liczyli tylko potrafią poprawnie wymienić. W domach katolickich nie ma zwyczajów, jak u protestantów, czytania Biblii oraz samodzielnego pogłębiania wiedzy i wiary religijnej.

Badani studenci dostrzegają antagonizm między Kościołem Rzymskokatolickim, a obecnymi władzami państwowymi Polski. W odczuciu 57 proc. indagowanych Kościół ma negatywny stosunek do władzy, a według 1/4 pozytywny. Z kolei w innym pytaniu ankietowym 63 proc. uznało, że aktualne władze odnoszą się negatywnie do Kościoła i tylko 17 proc., że pozytywnie. Ale w obu przypadkach — co ciekawe — były to brzożawne opinie umiarkowane, czyli konflikt nie rysuje się zbyt ostro.

**CDN.
EDMUND LEWANDOWSKI**

Jaka jest młodzież?



Foto: Grzegorz Galasiński

nadmiernej niecierpliwości i otwarcie manifestują postawy roszczeniowe. Chcieliby szybko, od razu, już na starcie otrzymać wszystko niezbędne do funkcjonowania własnej rodziny: mieszkanie, meble, dobry sprzęt techniczny. Wydaje im się, że powinni to jakoś dostać, że im się to należy — rzadko zaś nastawieni są na stopniowe dorabianie się.

Przyzwyczajeni przez rodziców do ciągłego brania, przenoszą to oczekiwanie również na państwo. Wyznają przy tym błędną (logicznie i ekonomicznie) zasadę, że jaka płaca, taka praca. Nie wpojono im, że ponieważ płaca jest wynikiem pracy, zatem jaka praca, taka płaca. Jest to pokolenie nie przygotowane do podnoszenia poziomu życia poprzez trud codziennej pracy oraz wzorowe wypełnianie obowiązków.

Największym bodaj błędem w postępowaniu rodziców i państwa wobec młodzieży jest nadmierne schlebienie jej, usuwanie wszelkich trudności i przesadne uszczęśliwianie. „Mając za młodu dostęp do wszystkiego — słusznie twierdzi Ryszard Manteuffel — młodzież gorzknie, traci cel, do którego powinna dążyć w znacznym stopniu własnymi siłami. Szwarcza to kompleksy, frustracje, niezadowolnienie z życia, brak chęci do pracy, nieuzasadniony protest”. Z powodu niemądrego miłości stworzyliśmy cały system deprawacji naszych dzieci: za dużo dajemy, za mało wymagamy, za łatwo ustępujemy dla „świętego spokoju”. W tym samym kierunku działa też Kościół, który za werbalną skruchę i błagą pokutę odpuszcza grzechy i przez to dewaluje własne przykazania.

Niepokojącym zjawiskiem jest wzrost tolerancji w sferze prawnobyczajowej. Lekceważone są ważne społecznie normy prawne, regulaminowe, moralne. Z dużym wyrozumiałością traktuje się kradzieże, oszustwa, spóźnie-

nie kończy w odpowiednim czasie studia.

W hierarchii wartości spada ranga pracy i wykształcenia. Po prostu — nie ceni się tego, co można z łatwością zdobyć. Wśród młodego pokolenia coraz trudniej spotkać ludzi wyzywających się w pracy i zafascynowanych studiami. Panuje przekonanie, podzielane przez wielu pedagogów i publicystów, że w dzisiejszej Polsce nie opłaca się dobrze uczyć i pracować. Rosnące lenistwo umysłowe i fizyczne oraz brakობstwo mają wynikiem z warunków kryzysu i braku perspektyw. Jest to wyjaśnienie logiczne, zdroworozsądkowe, lecz rozminające się z prawdą.

Wystarczy podać, że w krajach zachodnich młodzież inaczej reaguje na trudności społeczno-gospodarcze. Jeden z członków francuskiego zespołu rockowego „Téléphone”, Louis, tak charakteryzuje zachowania rówieśników: „Młodzi chcą się jakoś załapać. Boją się bezrobocia. Gotowi są robić byle co. W szkole pracują więcej niż kiedyś. Zasuwają jak opętani”.

Podobnie zachowują się studenci duński. Profesor Uniwersytetu w Kopenhadze, Preben Hertoft, dostrzega bardzo wyraźną zmianę w sposobie studiowania. W rozmowie z Mikołajem Kozakiewiczem powiada: „Nie ma dawnego «bambanie» i rozrywkowego traktowania studiów, są oni dzisiaj nastawieni na uspołecznienie w nauce, a nawet rywalizację (i nie wiem, czy z tego trzeba się cieszyć), gdyż w obliczu kryzysu, trudności ze zdobyciem pracy no studiach, wiedza, że największe szanse na przeżycie będą mieli ci najmocniejsi, najlepszi”.

Natomiast u nas, zamiast ducha współzawodnictwa, mamy tendencje do przeciętności. Nawet osoby bardzo zdolne zdawałają się słabymi stopniami. Większość chodzi jedynie o zdobycie dyplomu jak najmniejszym wysiłkiem. Według badań

dobrze rządził. Podobne przesłają postawy występują w całym naszym społeczeństwie — ludzie chcą tylko demokratycznie wybierać przedstawicieli władzy, lecz sami rzadko mają ochotę rządzić. Interesujące przy tym, że 72 proc. młodzieży robotniczej, 64 proc. szkolnej i 59 proc. studenckiej zgadza się z poglądem, że Polacy są narodem potrzebującym rządów silnej ręki. Istnieje obecnie wyraźna tęsknota za silną władzą i charyzmatycznym przywódcą.

Pewien działacz organizacji katolickiej „Światło — Życie” twierdzi, że wartościowa i wrażliwa młodzież przystępuje do tego ruchu w poszukiwaniu dyscypliny, której nie znajduje w normalnym życiu społecznym. A tutaj chętnie podejmuje różne zobowiązania i podporządkowuje się. Być może racją ma bohater „Czarodziejskiej góry” Tommasza Manna, jezuita Leon Napha, że największą rozkoszą młodzieży wcale nie jest wolność, lecz „postuszeństwo”. W każdym bądź razie nie ulega wątpliwości, że młodzi lubią, gdy im się stawia ambitne i trudne zadania, które sami muszą zrealizować.

W porównaniu z pokoleniem ZMP i ZMS, współczesna młodzież mniej wagi przywiązuje do ideałów społeczno-moralnych i systemów ideologicznych. Jest za to bardziej praktyczna i zorientowana na realne życie; co jednak nie znaczy, że wszyscy mają postawy konsumpcyjne. W trzech najważniejszych dla siebie wartościach dobrobytu materialnego wybrało 23 proc. robotników, 19 proc. uczniów i 17 proc. studentów. A z drugiej strony, niemal respondентов najwyższej ceni wartości moralne (czyste sumienie, szacunek o-toczenia).

Paweł II, którego bardzo lubi i uwielbia 63 proc., a daisze 34 proc. darzy sympatią. Także byby prymas, Stefan Wyszyński, uchodzi w świadomości studentów za postać zasługującą na najwyższe oceny.

Religijność młodzieży nie ma jednak charakteru integralnego, lecz selektywny. To znaczy, że nie przyjmuje się w całości dogmatów i praktyk, jak powinno być, lecz samowolnie pewne elementy akceptuje, a inne ignoruje. Na pytanie — „Jaki jest twój stosunek do religii reprezentowanej przez Kościół Rzymskokatolicki?” — uzyskano następujący rozkład odpowiedzi wśród uczniów klas maturalnych oraz młodzieży akademiczkiej (dane w nawiasach): wierzę we wszystko, co podaje Kościół — 22 proc. (12), uznaję większość z tego, co głosi Kościół — 46 proc. (40), wierzę tylko w niektóre dogmaty religijne — 18 proc. (23), wierzenia religijne są dla mnie obojętne — 4 proc. (8), wcale nie wierzę w dogmaty religijne — 4 proc. (6), trudno powiedzieć — 6 proc. (11). Są to dane ze stycznia i lutego 1983 roku.

W tym samym czasie wierzyło w to, że Jezus Chrystus był synem Boga i przez to nie tylko był człowiekiem, lecz również Bogiem — 80 proc. uczniów i 66 proc. studentów. W istnienie życia pozagrobowego w niebie, czyscu lub piekle wierzyło już mniej respondentów — 69 proc. maturalistów w liceach i technikach oraz 53 proc. studentów. Jeszcze mniej było przekonanych, że zdarzają się cuda, czyli zjawiska nadprzyrodzone — 66 proc. uczniów i 57 proc. studentów kierunków humanistycznych. A w ukazywanie się wybranym ludziom Matki Boskiej wierzyło 63 proc. pierwszych i 43 proc. drugich respondentów.

Jedynie 12 proc. uczniów i 18 proc. studentów w ogóle nie uczestniczy w niedzielnej mszy świętej. Natomiast w każdej nie-

W-70 będzie 86 proc. W systemie monolitycznym płytowo-stupowym — 55 proc.

Monolit pozwala stosować na ściany działowe dowolny materiał w zależności od potrzeb, zrezygnować ze wstępnych wielomilionowych nakładów na budowę fabryk domów, zmniejszyć ilość ciężkiego sprzętu potrzebnego do wrotnego przewożenia materiałów budowlanych z fabryki domów na plac budowy.

W monolocie prawie cała produkcja odbywa się na placu budowy. Wymagane jest jedynie wyposażenie w węzeł betoniarstwa, pojemniki lub pompy podające beton, lekkie urządzenia podnośne oraz szalunki.

Twórcy memoriału radzili, aby w planie perspektywicznym ograniczyć produkcję wielkiej płyty do wielkości już istniejących, a w miarę starzenia się fabryk domów przystosowywać je stopniowo do produkcji kabin sanitarnych, biegów schodowych, płyt osłonowych z przeznaczeniem dla budownictwa monolitycznego. Memoriał otrzymał — Komitet Łódzki PZPR, Zjednoczenie Budownictwa oraz Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa. Za sprawą zjednoczenia trafił on do ministerstwa budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych.

Autorzy memoriału najwinnie wierzyli, że argumenty przez nich przedstawione wystarczą. Niestety, memoriał utknął gdzieś w biurkach urzędników ministerstwa, którzy widać mieli ważniejsze sprawy na głowie, niż zastanawianie się nad sytuacją w polskim budownictwie.

Andrzejewski nie daje za wygraną. Pisze do Komitetu Centralnego, oświadcza do sekretarza Edwarda Gierka. Pierwsze pismo pochodzi z grudnia 1975, drugie z 12 czerwca 1977. W tym czasie VIII Plenum Komitetu Centralnego Partii w punkcie czwartym uchwały wezwało do aktywnego uczestnictwa w tworzeniu warunków dalszego przyspieszenia realizacji programu mieszkaniowego. Twórca odpowiadając na apel kolejny raz przedstawił swoje argumenty, a w konkluzji napisał: „W tym stanie rzeczy postuluję ministerstwu budownictwa w zakresie dostaw materiałowych, szczególnie stali i cementu wydatkować się być niezasadne. Przecież resort nie robi w kierunku zmniejszenia zapotrzebowania na materiały, przez zastępowanie konstrukcji nieekonomicznych i materiałochłonnych — wielokopiowych, technologiami oszczędzającymi, na przykład szkieletowymi. W samych założeniach rozwoju budownictwa zawarte jest marotractwo”. Dalej deklaruje, że „Projekt techniczny budynku w technologii płytowo-stupowej mógłby być wykonany w ciągu roku, gdyby zaistniały ku temu sprzyjające warunki i zapotrzebowanie”.

W tym czasie ówczesny minister budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych Adam Glazur, twierdził, że jest w stanie wybudować każdą liczbę mieszkań, jeżeli tylko będzie miał wystarczającą ilość stali i cementu.

Kilka miesięcy potem inżynier Andrzejewski w czasie pobytu w Warszawie zajął do Komitetu Centralnego. Przyjął go jakiś urzędnik, w kancelarii na parterze. Zadzwonił do kartoteki. Powiedziano, że rzeczywiście takie pisma dotarły. Uznano, że są wagi państwowej i prze-

kazano tow. Szydłowski, który ma je na biurku. „Do Szydłowska nie dotarłem. Sądziłem, że temu człowiekowi będzie zależało na tym, żeby taniej i lepiej budować”.

W roku 1976 zainteresował się sprawą budownictwa monolitycznego red. Lech Niekrasz z „Życia i Nowoczesności”. Przeprowadził wywiad z naszymi bohaterami opublikowany pod tytułem „Płyta podparta słupem”. Artykuł wywołał sporą dyskusję. Do redakcji napływały listy. Głos zabrał między innymi Aleksander Włodarz — konstruktor budowlany. „Pełne gratulacje z okazji opublikowania wywiadu z Godyckim-Cwirko i Andrzejewskim. W szaleństwie, jakim dla większości z branży jest obecny stan budownictwa mieszkaniowego, nareszcie powiódł rozsądek. Wszystko to prawda. I materiałochłonność wielkiej płyty, i nonsens transportu ciężkich i prymitywnych elementów, i absurdalność organizacji wykonawstwa, preferująca rozwiązania drogie, i wreszcie obciążenie kosztami użytkownika czekającego w końcu około dziesięćtu

„Tu nie chodzi o problemy ekonomiczne — replikowali zwolennicy wielkiej płyty na stanowiskach — To jest kwestia postępu technicznego”.

Pod koniec lat siedemdziesiątych Prezes Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego Stanisław Kukuryka (obecnie minister budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych) postanowił zakupić nowe fabryki domów, tym razem do budowy domków jednorodzinnych. Andrzejewski jako jeden z ekspertów miał zaopiniować transakcję. Opinia była oczywiście negatywna. Mimo to kilkanaście fabryk zostało w Danii kupionych, a jedna z nich trafiła do Zakładu Remontowo-Budowlanego Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Łodzi. Efekt był taki, że cena domku jednorodzinnego budowanego przez ZBR w osiedlu Pienista skoczyła z 850 tys. złotych do jednego miliona ośmiuset tysięcy. Potem przez długi czas fabryka robiła pustaki i płyty chodnikowe. Taka jest cena postępu technicznego.

Perspektywy budownictwa?

lat na mieszkanie. No i nieelastyczność systemu wielkiej płyty. Czy zastanawialiście się w jakiej sytuacji znajdują się następnego pokolenia zmuszone do zamieszkania w ahumanitarnych, tandentnie wykonanych klatkach, bez możliwości jakichkolwiek zmian w ich rozplanowaniu.

Wielka płyta wymaga koniecznie zdemaskowania i zmiany, jeżeli mamy mieć naprawdę budownictwo zaspokajające potrzeby użytkowników, a nie wąskiej grupy wykonawców budowlanych. Każde takie demaskowanie jest do tej pory skutecznie cenzurowane na szczeblu dyspozycyjnym budownictwa. Każdy głos opublikowany liczy się więc wielokrotnie”.

„Życie i Nowoczesność” zamieszczało podobne listy zaledwie przez kilka tygodni. I tym razem dyskusja została ucięta przez cenzurę. Ministerstwo nie wycofało żadnych wniosków.

Od czasu do czasu udawało się jednak konstruktorom polemizować ze zwolennikami wielkiej płyty. W branżowym piśmie „Materiały budowlane” z lipca 1977 roku napisali: „Prof. A. Paprocki słusznie zauważa, że czy to nam się podoba czy nie, to beton będzie nadal głównym materiałem konstrukcyjnym w budownictwie mieszkaniowym. Nie jest to jednak, naszym zdaniem, argument przemawiający za wielką płytą, lecz raczej przeciwko niej, bowiem przy stosowaniu wielkiej płyty na ściany działowe i zewnętrzne konstrukcyjne walory betonu, o których wspomina prof. A. Paprocki, nie są w pełni wykorzystane. Są one natomiast wykorzystywane w żelbetonowej konstrukcji szkieletowej, dzięki czemu ciężar budynku zmniejsza się o dobrych kilkadziesiąt procent, a to w skali całego kraju oznacza na przykład odciążenie transportu, głównie kolejowego, o miliony ton przewożonego kruszywa i cementu”.

(1)

— Może nie potrafi pan odpowiednio uzasadnić swoich racji. Może używa pan tych argumentów?

— Nie wiem jakie argumenty przemawiają do ludzi, którzy powinni podejmować decyzje. Dla mnie, inżyniera, argumentem jest liczba, rachunek. Nie mam środków na stosowanie innych argumentów. Nie piję. Nie stać mnie na wydatkowe kolacje. Pokazuje analizy, z których wynika, że w technologii płytowo-stupowej z zastosowaniem mojej ściany osłonowej zużywa się mniej betonu, buduje więcej i lepiej. Czy to nie są wystarczające argumenty? Widzi pan co się dzieje. U nas w Polsce myślenie nie ma perspektyw. Jeśli pan chce myśleć i coś dobrego zrobić, to tylko na siebie bledy napyta. Zaczyna pana wytykać palcami zamiast pomóc.

— Może kłopoty biorą się z pana sposobu bycia. Wiem, że potrafi pan być nieustępliwy, bezkompromisowy, a to ludzi zraża.

— Kompromis byłby fantastyczny, gdybym powiedział, macie rację, wielka płyta jest doskonała. Wszyscy by mnie wtedy szanowali. Tymczasem ja mówię, że wielka płyta oznacza brak mieszkań i niestety sprawdziło się.

Mnie się wydaje, że każdego człowieka, a szczególnie fachowca trzeba słuchać, bez względu na to czy mówi mniej, czy bardziej ładnie, jak często się uśmiecha. Problem istnieje i to jest ważne. Tu chodzi o gospodarkę, o nasze bycie albo nie być, a nie o to, że się komuś moja gęba nie podoba.

Trzeba powiedzieć, że budynki monolityczne powstawały już przed pierwszą wojną światową, że technologia ta nie jest dla żadnego fachowca, tym bardziej dla inżyniera budowlanego, nowo-

ścią. W okresie międzywojennym w monolocie zbudowano Hotel Stolica w Warszawie, kilka budynków w Łodzi przy alei Kościuski, niektóre pomieszczenia magazynowe. „Płki zmieniły technologię, mieszkań po prostu nie będzie” stwierdza inżynier Andrzejewski.

Lata biega. Jest listopad 1981 roku. Mineło równo siedem lat od parnietnego memoriału. Inżynier Andrzejewski i prof. Godycki-Cwirko dostali do zaopiniowania od ministra Brzostka projekt decyzji nr 17. Minister słyszał o monolocie, czytał wypowiedzi konstruktorów i zainteresował się sprawą. Po spotkaniu z nimi powiedział, że to jest temat, który musi wejść do programu rządowego tzw. PR-5, rozwoju budownictwa. Znowu pech, minister Brzostek był szefem resortu tylko kilka miesięcy. Sprawa utknęła na jakimś czas. Dopiero sejmowa komisja budownictwa, konkretnie jej sekretarz mgr Pierzchała swoimi drogami uruchomił ministerstwo i tak do PR-5 weszły dwa tematy: konstrukcja budynku w systemie monolitycznym oraz nowy rodzaj ściany osłonowej, która jest wynalazkiem inż. Andrzejewskiego.

Nad ścianą osłonową konstruktor pracował w domu, po godzinach pracy. Jej idea polegała na rozdzieleniu warstwy nośnej od warstwy izolacyjnej — stąd nazwa. Nad wielką płytą ma tę przewagę, że jest „cieplejsza”, lżejsza, tańsza. Może być stosowana w monolocie lub w jakiegokolwiek innej technologii. Powstaje głównie na placu budowy, a nie w fabryce domów, poza tym wymaga precyzyjniejszego wykonania i to są jej dwie zasadnicze wady, bo przecież nasi budowlani odzwyczaili się od pracy na budowie i od precyzji.

Tematy miał prowadzić Inwestprojekt. Z dwóch powodów. Po pierwsze, że pracował tam Andrzejewski, ich rzeczywisty ojciec. Po drugie, że w biurze myślało już o monolocie od 1979 roku. Ówczesny dyrektor Kazimierz Kruciński (bardzo porządny człowiek, o szerokich horyzontach — stwierdza konstruktor) znał walkę Andrzejewskiego o tanie budownictwo. Z własnej inicjatywy polecił jednej z pracowni zajęcia się tematem. Pracownia niczego odkrywczego nie dokonała, ale zawsze.

Dyr. Kruciński ustalił także z architektem województwa, że dwa prototypowe budynki powstaną w osiedlu Widzew Wschód przy ulicy Puszkina. Teren jest w posiadaniu RSM Bawelna, więc niejako z przydziału spółdzielni stała się pierwszym inwestorem monolitu.

Kruciński został odwołany ze stanowiska w połowie 1981 roku. Jego miejsce zajęli inni ludzie, mniej przychylni dla nowatorskich rozwiązań.

— Pluję sobie w brodę — mówi Andrzejewski — że nie odszedłem z Inwestprojektu. Pracę mogłem rozpocząć wszędzie. Zainteresowane było Biuro Projektów Budownictwa Przemysłowego i Miastoprojekt. Mogłem przejść z tymi tematami do jakiegokolwiek przywódczego ośrodka, ale człowiek, tak jak kot przywiązuje się do starych śmieci, więc zostałem.

Dalsze losy inżyniera Andrzejewskiego i jego koncepcji — za tydzień.

CDN.
MAREK MAMOS

Azbest w mieście

Łódź jest największym w Polsce ośrodkiem przemysłu włókienniczego. Rozwija się także przemysł maszynowy, odzieżowy, elektrotechniczny, spożywczy, metalowy, chemiczny, drzewny precyzyjny, gumowy, środków transportu. Ale Łódź jest też miastem ludzi cierpiących na schorzenia, i to przewlekłe, górnych dróg oddechowych. Nieobecne są łodzianom astma, czy pylica płuc. Są to uboczne skutki pracy w przemyśle włókienniczym oraz wyciechania miejskiego powietrza. Łodzianie prowadzą walkę o zmianę tego stanu rzeczy. Znikają łódzkie kominy, swoimi dynamami i pyłami zatrzymujące atmosferę. Miasto ma zielone pluce — Park Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu. Szeroko propaguje się akcja: „Zielone Świadcтво Urodzenia”.

Twierdzą jednak, że jest to kropla w morzu potrzeb. Na łódzkich osiedlach wystarczy, że zawięta mocniej wiatr, jest już żółto od zabitego w powietrze kurzu, a złazka plauchu zasypała oczy i trzeszcza w zębach przechodniów. Rozwijająca się komunikacja samochodowa wiska do gardła, zwłaszcza w wąskich ulicach centrum. Kłęb duszących spalin. Mieszkańcy są już do tego przyzwyczajeni, ale mimo to często słychać, że Łódź jest szara i brudna wrecz dusząca. Zastanawia mnie więc fakt, że przy takim zanieczyszczeniu powietrza możemy pozwolić sobie na istnienie w granicach administracyjnych miasta zakładów azbestowych „Polonit”, których pro-

dukcja, jak powszechnie wiadomo, jest trująca zarówno dla samych pracowników, jak i dla otoczenia.

KŁOPOTY „POLONITU”

„Polonit” ma trzy obiekty: przy ulicy Piekarskiej, Suchej oraz Rewolucji 1905 r. Zatrudnia obecnie około 900 osób. Podstawą jego produkcji jest azbest, czyli minerały występujące w postaci włóknistych skupień. Włókna te są podatne do tkania i spliniania; w związku z tym używane są do wyrobu materiałów ogniotrwałych, izolacyjnych i kwasoodpornych, jak chociażby azbesto-cementu (popularnego eternitu), azbete-katolitu czy azbolitu. W dużej mierze wyroby „Polonitu” to podstawa dla produkcji przemysłu budowlanego czy motoryzacyjnego.

Tymczasem pod koniec lat 70-tych władze Łodzi zgłosiły się z propozycją wyprawa „Polonitu” z aglomeracji łódzkiej. Przychylił się do tego i zakład, który doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że przeprowadzka to szansa na nowoczesne hale i najnowsza technologia produkcji, a tym samym radykalne zmiany warunków pracy. Propozycja została przyjęta przez resort. Zgodnie z planem nowa inwestycja miała być ulokowana na Śląsku. Rozpoczęły się pierwsze przy- miarki do przeprowadzki. Łódź-

ka spółdzielczość mieszkaniowa poinformowana o tych planach weszła na plac budowy wokół zakładu przy ul. Piekarskiej. Szkoda przecież było tracić czas, skoro i tak zakład miał być przeniesiony, a na mieszkania czekali ludzie.

Przyszły jednak lata 80-te i okres załamania się inwestycji. Pomimo nalegań władz miasta, nie mogło już być mowy o nowej inwestycji na Śląsku. Sprawa postawiono niezwykłe jasno. „Polonit” musi zostać w Łodzi. W związku z tym zaczęło poprawiać warunki pracy załogi. Zmieniono technologię produkcji. Fakt ten miał bardzo duży wpływ na zmniejszenie szkodliwości dla zdrowia pracowników. Niestety, jeśli chodzi o wpływ zakładu na otoczenie, nie się nie zmieniło. A tymczasem wokół ulicy Piekarskiej wyrósł osiedle mieszkaniowe narazone na oddziaływanie „Polonitu”. Mogło być tylko jedne i nastuszniejże wyjście z tej sytuacji — jak najszybsze wyprawa zakładu z ul. Piekarskiej. Mieszkańcy okolicznych domów nie mogą być dalej truci.

Padła propozycja lokalizacji na Smulsku koło Retkini. Są tam nie wykorzystane hale, które mogłyby być zaczątkiem nowego obiektu. Teren jest izbrzojony, co pozwoliłoby zamknąć koszty w granicach i mił złotych. Lokalizacja pozwala na zachowanie przeszło 1 km strefy ochronnej, gdy tymczasem obecnie wymagają tylko 500 metrów. Jest więc nawet rezer-

wa. W sprawie lokalizacji pozytywnie wypowiedział się Wydział Ochrony Środowiska i San-epid. Podjęto też rozmowy z MPK w sprawie uruchomienia odpowiedniej komunikacji. I gdy wydawało się już, że wszystko jest na najlepszą drogę do rozwiązania problemu łódzkiego azbestu, niespodziewanie rozpoczął się drugi rozdział całej tej historii.

RETKIŃSKI BÓJ

Kiedy o planach na Smulsku dowiedzieli się RSM „Polecie” i samorządy mieszkańców Retkini, gorąco zaprotestowano. Pomimo argumentacji administracji dzielnicy i miasta, licznych konsultacji i spotkań nawet na szczeblu architekta wojewódzkiego i prezydenta, samorząd retkiński nie wyraził zgody na lokalizację „Polonitu” na Smulsku.

Nie chcemy azbestu, który nas będzie truć. To byłoby samobójstwo dla prawie 100-tysięcznego osiedla. Wiatr wszystkie pyły będzie znosił na nasze bloki, które i tak nie są zdrowe — taka była i jest spontaniczna reakcja mieszkańców Retkini. Jeden z działaczy samorządowych opowiadał mi, że o wszystkim dowiedział się przez przypadek od sąsiada, pracownika „Polonitu”.

— Proszę pani, do tej pory, chociaż historia jest już długa, około 90 proc. społeczeństwa retkińskiego nie wie o tych szaleńczych planach.

Działacze samorządowi i spółdzielcy, według własnej opinii, poruszyli w tej sprawie niebo i ziemię. Dotarli do naczelnika dzielnicy prezydenta przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Planowania, architekta woje-

wódzkiego, a nawet do Warszawy. Sprawa zainteresowała się radni i posłowie. W trakcie rozmów, wobec faktu podważania opinii ekspertów, padła propozycja opracowania przez specjalistów spoza Łodzi opinii w sprawie lokalizacji na Smulsku, aby wykluczyć wszelkie emocje. Ta opinia powinna przesądzić sprawę. W czerwcu 1984 roku odbyło się w Łodzi XVI Plenum KC PZPR. W jednej z licznych rozmów z członkami KC padł również problem azbestu łódzkiego. I tu zaczął się rozdział trzeci całej historii.

PRÓBA POROZUMIENIA

Padła propozycja podpisanie porozumienia między szefem resortu przemysłu chemicznego i lekkiego i prezydentem miasta. Niestety, nie mogłam zapoznać się z treścią tego dokumentu. Wiem tylko tyle, że jeśli porozumienie zostanie podpisane inwestycja na Smulsku nie dojdzie do skutku. Zostanie bowiem przeniesiona do innej, przemysłowej dzielnicy Łodzi na miejsce innej, wcześniej wstrzymanej budowy. Ale bez względu na to, jaki obrót obierze sprawa już wiadomo, że najbliższej do 1987 roku musi być przeniesiony zakład z ul. Piekarskiej, a rok później będą zlikwidowane oddziały z ul. Suchoj i Rewolucji 1905 r., oczywiście po opracowaniu dokumentacji technicznej. I to powinna zakończyć się historia łódzkiego azbestu, który niestety, nadal pozostanie „bódką”, ale

nie chciałby mieć za oknem, chociaż w odległości przepięsowej 500 metrów, zakładu azbestu, o którym powszechnie wiadomo, że po prostu truje.

Czy rzeczywiście ze względu na powietrze Łodzi i zdrowie jej mieszkańców stać miasto na luksus koegzystencji z zakładami azbestowymi? Twierdzą, że „Polonit” winna być wyprowadzony z granic administracyjnych Łodzi z jej gęstej zabudowy, zgodnie z ustawą o ochronie i kształtowaniu środowiska. Uważam też za wielkie nieporozumienie 500-metrową strefę ochronną w przypadku aglomeracji łódzkiej. To stanowczo za mało w warunkach, kiedy walczymy o każdy metr kwadratowy zieleni i metr sześcienny świeżego i zdrowego powietrza.

Wiadomo, że wielka płyta, z której zbudowano i buduje się nadal nowe osiedla jest niezdrowa, a na dodatek płyty, którymi ociepla się bloki są produkowane z azbestu, który truje. Pewien mądry człowiek tłumaczył mi, że wystarczy, iż wielokrotnie samochody zahamują na skrzyżowaniach, a wydziela się tyle azbestu z warstwy izolującej hamulca, jakby obok stał zakład uwalniający azbestu do produkcji. Czy więc cała Łódź nie ma dość azbestu?

WYJAŚNIENIE: Pod koniec pierwszej połowy br. po konsultacji z Sanepidem podpisano porozumienie między ministrem przemysłu chemicznego i lekkiego i prezydentem Łodzi, w wyniku którego lokalizację „Polonitu” przeniesiono na Dąbrowe, motywując to rachunkiem ekonomicznym. Tekst był pisany przed podjęciem tej decyzji.

EWA LACHOWSKA

banką, kurami, często woziliśmy ryby, których wówczas w Warszawie było pod dostatkiem. W Aleksandrowie była niemiecka „wacha”; mimo że ojciec miał „mocne” papiery parę razy ona nie skończyła się wypadką. Wtedy jeszcze wozilo się wiklinę „smykaną” ręcznie...

Przerwa w pół słowa, bo znów do sklepika wdziera się kolejna tura klientów. Dwóch młodzieńców szybko decyduje się na duże, prostokątne kosze (murowane — grzybiarsze...), tylko pięknie ondulowana blondyna ostro klóci się o cenę stojaka na kwiaty.

— No spuść pan chociaż ze „stówę”... — Może po wyborach? — przekomarza się koszykarz — wyhamujemy wtedy inflację i nowe wyroby też będą tanie jak barszcz. — Zbita z pantylaku placi już bez słowa i znika trzaskając drzwiami.

— Cóż to za „smykana” wiklina? — dopytują się uparcie nim znów ktoś nam przeszkodzi. — No dobrze, to zafundujemy sobie krótki, darmowy wykład. Przeciwnie sadzonki wikliny owocują około 18 lat, mamy w kraju rejony, gdzie hodują je prywatni plantatorzy, takie bardziej znane to Zbąszyń, Zbąszynek, tereny koło Radziwoła nad Wisłą. Najlepsza jest „amerykanka” czyli „kulturka” — odporna na zlamanie, na skłębienie, na „knykowanie”. Im mniej nawozów — tym surowiec lepszy, mocniejszy, nie łamie się, nie kruszy. Na grubszą rzecz — łódeczka, fotel, duże kosze bielińskie dobra jest też „konopka”. No i czasem używam najstabszej z nich — „zakaspijki” oraz „rogoziny” czyli trawy wodnej.

— Ale... — Cicho teraz, słuchaj pan, bo powtórki nie będzie. Jak się na wiklinowe tkanwa wybieramy to sierpniu, to taka wikła, „osmykana” czyli obrana z kory jest biała, natomiast w grudniu, styczniu...

— brązowa? — Dasz mnie pan dojść do słowa? Zimą wikliny się nie „smyka”, wiąże się w pecki i w stożkach przechowuje do wiosny. Potem się ją gotuje, zwykle w kolumnach parnikowych i wtedy lapie ten niepowtarzalny, brązowy kolor. A okorowuje się maszynowo.

— I polysk już ma? — Nie całkiem. To się ją moczy w wodzie — na słońcu. I tak parę razy. Nawet gotowy koszyk jak chcesz pan mieć ciemniejszy, to można go do wanny na godzinę wcisnąć i potem na balkon wystawić. Murowane ściemnieją.

— Pan garnął się do koszyków od dziecka pewnie? — Nie bardzo, powiem szczerze, czego ślady często na plecach nosilem. Ale pomagałem jak umiałem. Bo po fajerancie zaczynała się robota w domu! Niemki po kosze do kwiatów przychodzili, łódeczka, foteliki dziecięce. Kiedyś o mal nie zginieliśmy wszyscy — bomba rozniosła cały front przyległego budynku, róg Główniej i Sienkiewicza. Innym razem walnęła wprost w strop przewiorzonego schronu, na szczęście był nieocynpal. A później? Cóż, szła wyzwolenia, ojciec złożył się do II Armii, już jako podoficer walczył w ciężkich bojach nad Nysą Łużycką, a służbę zakończył jako dowódca strażnicy w Gubinie.

— Skąd wrócił do domu i do wikliny... — Zedyś pan wiedział. W „czterdziestym siódmym” otworzył warsztat w „Palestynie”, wielkiej, czworokątnej kamienicy na rogu Główniej i Targowej, której rzecz jasna dawno nie ma. Tam tworzył swoje kosze, a ja i mama sprzedawaliśmy je obok na Wodnym Rynku. Sporo Żydów, pamiętam, wtedy wyjeżdżało, to i najbardziej szły duże wiklinowe kufty i walizy...

Znów skrzypią drzwi, przymusowy antrak. Mama z córką i maleńkim jamnikiem, szukają zgrabnej budy. Rybiński prezentuje jedną, drugą. Córce się podobają, mamie — nie bardzo, „za duża jakaś...”. Mój rozmówca nieśmiało tłumaczy, że przecież piesek mimo wszystko trochę podrośnie, przynajmniej ogon. Mamę to nie przekonuje. Córka biegnie więc do taty, zalutawiającego jakiegoś sprawunki w sklepie obok. W sekundę wraca rozpromieniona: „Tatusz powiedział żeby brać!”.

— Pamięta pan ówczesną konkurencję? — Oczywiście: bracia Nowaki na Nawrocie, Skwarek, Wysocki, Mazurowski, Tomaszewski, Kępka — to ei co mieli warsztaty własne, nie tylko gotowymi wyrobami handlowali. Kilkanaście dużych, znanych firm, o jeszcze Zawalid na Regowskiej.

— Iiu wytrzymało do dzisiaj? — W Łodzi jest nas czworo: Skwarek Łosiał, Obin — junior, pani Pieszel po mężu, a ten przejął firmę po Mazurowskim, no i ja, po tacie.

— Co panu najbardziej z tych lat powojennych utkwiło w pamięci? — Parę spraw. Przede wszystkim — praca, której było morze i nikt się jej nie bał, a przeciwnie — wszyscy się rwali do roboty, jaka by nie była ciężka i choćby po dwadzieścia godzin na dobe. I nastrój jednego, wielkiego, rozdzignętego życia targowiska, jakim był co dzień Wodny Rynek i nasze kilkuletnie andrusów rozróby, sposoby zdobycia jedzenia, hubki czy ogórka choćby czy paru groszy przy roznoszeniu węgla. Eh, iza się w oku kręci. A te znowu, majówki to parku Kwella! Bo „park Zbrodziska” to wymyślono wiele lat później...

— A w czym tatą specjalizował się w wikliniarskim fachu? — Trudno powiedzieć, to był naprawdę świe-

ty fachowiec, również zgrabnie wychodził mi maleńki koszyk co wiklinowa ławca, czy kanapa. Bo faktem jest, że był taki okres kiedy robiliśmy dużo mebli — głównie foteli, stolików. Jeszcze inaczej by się trzeba zapotać: „Czegośmy nie robili”. Bo gdy znalazła nas ekipa organizująca rekwizyty do filmu „Kryzys”, to ojciec przy mojej pomocy wyplół im sanie i kolaskę dla Danusi, chyba dwa czy trzy „mókoszki” też robiliśmy i masę drobiazgów, których przeznaczenia już nie wspomnę. Było z tym zresztą masę kłopotu i nie tylko dlatego, że robota niestypowa. Zabiegali o precyzyjne wykonania, krótkie terminy, a później płacić nie miał kto; wiam, że ojciec jeździł po Polsce w poszukiwaniu swoich pieniędzy.

— Wspominał pan wcześniej, iż wasze wyroby można znaleźć między innymi w salach restauracyjnych Łódzkiego „Grand Hotelu”... — Wie pan, tych instytucji, dla których wykonywaliśmy różne roboty to wszystkich nie wymienię, bo pamięć zawodzi. Ale faktem jest,

tam był kiepski punkt, nie szło po prostu. No i splajtował. Poszedł później do spółdzielni koszykarskiej, która — też splajtowała. Ale wie pan, koszykarze musieli tam całą administrację utrzymać. Na swoim to jest inaczej: ja tu sprzątam, szyję myję, śnieg zimą odgarniam. I ja nie splajtuję bez przeze, portiera, księgowej i sprzątaczk.

— Wspominał pan, że tata robił piękne meble z wikliny. Pan dziś takich foteli, czy stolików klientom nie proponuje już? — Jak to nie — robie, tyle, że dużo mniej. Wie pan, te wyplatane stoły, huśtawki do ogrodu, „etażerki” całe komplety mebli ogrodowych — to jest bardzo pracochłonne, dość drogie, no i musi się znaleźć amator. Ale wykonam może zawsze, i to w kilku wzorach. O zaraz panu pokazę jakie.

I wyciąga pan Bogumił z szuflady plik zdjęć, na których prezentuje swoje wyroby, głównie te duże, których nie jest w stanie pomieścić w maleńkim sklepiku i pracowni jednocześnie.

A wiklinę na szychcie dobijemy klopajzem...

że w „Grandzie” koszyczki na pieczywo od nas mają, dla kilku szpitali robiliśmy też duże kosze do roznoszenia pieczywa, mniejsze — do lekarstwa, w którymś przedstawieniu balet Teatru Wielkiego wystąpił z koszami na kwiaty na plecach rodem z naszej firmy.

— Czy wikliniarstwa można się u nas jeszcze nauczyć? Są chyba jakieś specjalistyczne szkoły? — Tak, jest technikum wikliniarskie w Kwidzynie, w Nałęczowie, chyba działa jeszcze zasadnicza szkoła w Skwierzynie. Rzeszowskie, tarnobrzeckie, okolice Nowego Tomysła — tam całe wieś obróbką wikliny się zajmują i też z ojca na syna ten zawód przechodzi. No — dobrą szkołą są też niektóre zakłady karne, te o ostrzejszym rygorze, w Barczewie, Kamieńsku, w Czarnym. Ale ci już nie będą się z tego fachu na wolności utrzymywać, bo coż to za przyjemność wyplatać koszyki, gdy przez parę lat robiliem to za karę...

— A kiedy i dlaczego firma „Rybiński” przeniosła się do tej kłitki na ulicę Wschodnią? — O, jeszcze po drodze firma działała parę lat na placu Wolności, w podcieniach, które potem muzeum zabrało. Przenieśliśmy się jakoś tak zataz po wymianie pieniędzy. Pierwszy od rogu był Egierski — koszuł, potem my z wikliną, za nami Ślusarz, też dobry fachura. Zanim nas stamtąd wyeksmitowano sdażyliśmy te cudeńka do „Kryżaków” wykonać. Później ojciec działał krótko na rogu Wschodniej i Północnej, ale

Strasznie podobają mi się fotele, duże, rozłożyste, z wielkimi oparciami, z „krepkami” czy podwiniętymi poręczami i ozdobnymi „szyszkami” na nogach. Ale są i fantazyjne kanapy, i koszyki do przenoszenia... dzieci, są leżanki dla psów i zmysłne kłitki do transportu ptactwa, kotów, a także prozaiczne trzepaczki. Tak, miejsce na wiklinową trzepaczkę to się w każdym domu znalazło, ale ogromny „fotel babuni”? W blokach? — Ile u pana taki duży fotel kosztuje? — Około 6 tysięcy złotych, ale to jest kilka dni roboty i sporo wikliny wychodzi...

— A droga ta „amerykanka” czy inna? — Zawsze mówię żartem, że kilogram wikliny droższy niż kilogram wędliny. Bo taka niestety, jest prawda.

— A zastanawiał się pan kiedyś ile robi wzorów koszyków? — No chwila, niech pomyślę... Około 50 na pewno, może więcej. — Ale coś panu pokażę, to taka kasetka myślistka, tak ją nazywam, z przeznaczeniem dla myśliwych, choć nie tylko, paru gości z RFN ją kupilo.

Wyciąga pliki, pięknie lakierowany koszyk, walizkę raczej z dużą kłapą, po otwarciu której w środku ukazują się mniejsze i większe przegródki.

— Te dwie duże — to na buteleczki, a może

— na szklanecki. Na polowaniu czy na rybach — jak znalazł. — A pan łowi? — widzę, że mój gospodarz wpadł już w handlowy trans, bo wyciąga coraz to nowe egzemplarze swych dzieł.

— To jest koszyczek dla amatorów łowów na pstragi, z jednej strony jest płaski, by przylegał do boku, zapina go pan na pasek, przeplatając przez te otwory. Rece ma pan wolne, rybki w koszu przy pasku i nawet jak się pan w Dunajcu poślizgniesz i przewrócisz — to nie ucieknie.

Skrzypią drzwi. Kac-gigant, malujący się na twarzy starszego mężczyzny znajduje za chwilę potwierdzenie w drżących rekach i ochryplym barytonie.

— Kochany, pomóż pan, doradź coś... — to do właściciela. — W takim stanie nie mogę się po dwóch dniach w domu pokazać, staru mi nie pogoni jak nie — z rezygnacją macha ręką, niepewnie rozglądając się po wiklinowym wnętrzu. — Sprzedaj pan jakiś koszyczek, czy coś na kupałki, sam nie wiem, o rany, jak mnie ten łeb nawala... — Po chwili opuszcza nas z małym „holendrem” pod pachą, być może zostanie nieco łagodniej potraktowany...

— Dawno pan przejął po tacie firmę? — pytam gospodarza, który znów wdrapuje się gdzieś pod sufit, by pokazać mi specjalne legowisko dla... doga.

— Ojciec zmarł w 1978 roku; choć pracował do końca — było mu już bardzo ciężko. Wie pan — zawodowa choroba wszystkich koszykarzy — reumatyzm. Bez przerwy „bawię się” przecież w wodzie, wiklina musi być namoczona, bo inaczej ani jej pan nie skrećisz, ani zegniesz. Walczyłem pół roku, by dostać po nim ten lokal, nie było to takte proste, wie pan, zawsze są lepsi i gorsi, miała tu być i kwaciarnia i szycie spodni. W końcu sprawa oparła się aż o prezydenta, no i od 1 kwietnia 1978 roku tutaj działam.

— A wcześniej?

— Zdziwił się pan chyba. W koszykach robiłem jak mówiłem — od najmłodszych lat, ale mam i inny fach. Po nieukończonych studiach na WAT przeszedłem wszystkie szczeble w biurze projektowym, od pomocy technicznej do kierownika zespołu projektowego. Potem był „magneur gospodarczy”, inwestycje ograniczono, nie było pracy, nie było pieniędzy. Gdy tata zmarł — zdecydowałem się w sekundę i poszedłem na dobre „w koszyki”. I tu mi dobrze, to się sprzedam każdego dnia. I wstydić się swej roboty nie muszę.

— Narządził to pan tu zbyt wiele nie ma... rozglądam się po zatłoczonym wnętrzu.

— Bo i nie potrzeba, to co mam — to odziedziczyłem po ojcu; stare pomieściłki jeszcze, ale przetrzymują naszą krajowca. Zaraz je panu pokażę. Podstawa całego koszykarstwa to „spilorek” i austerecher, czyli nóż do obcinania — pan Bogumił bierze nie dokończony kosz i tłumaczy cierpliwie — Jak już mamy „szychte” założoną, a „sztaki” idą, o tu, z góry na dół, to co jakiś czas trzeba wiklinę na „szychcie”, między „sztakami” dobijne „klopajzem”. Jest jeszcze „bigaj”, którym wyciągamy grubszą przętę, na przykład do biegunów od kotyjski. Rozumia pan?

— Oczywiście... A ten wzór, ten splot, też ma jakąś nazwę?

— No pewnie, każdy. — Ten to „cuslak”, obok — „warkocz francuski” a jak chcemy konstrukcję kosza wzmocnić to przeplatamy go „kimą”.

— Pamięta pan jakieś zamówienie, którego nie był pan w stanie wykonać?

— Są i takie klientki, które przynoszą mi z ograniczonego magazynu, by im coś wykonać na wzór czy w konkretnym wymiarze. Z tym nie ma kłopotu. Choć pamiętam, jedna klientka zażyczyła sobie kosz na bieliznę w kształcie jakiegoś przedpotopowego jaszczura z otwartą paszczą, co się ogonem podpierał.

— I co?

— Nic, przekonałem ją, że może wyszć nieco mniej naturalnie niż w magazynie, po nocach będzie jak straszły i namówiłem na mój „brudniak”.

— Wielu ma pan starych klientów?

— Bardzo dużo, wszyscy tu tatę znali, szanowali go za dokładność wykonania, za jakość, jak raz ładną rzecz kupią — to już później przychodzą z rodzinami, ze znajomymi. Wczoraj dostatem kartkę z Australii, od starej klientki, która jest tam hodaj u córki Skoda, że mam w domu, bym panu pokazał. Pół kartki zajmują rysunki, opisy koszyków i kwiatników, jakie u mnie zamawia. Będzie na święta w Łodzi to odbierze. No i zrobię, niech jadą do Australii.

— Wie pan, bo ja właściwie też tu wpadłem po koszyk taki na grzyby...

— Dobrze, znajdziemy. Ale niech pan najpierw zobaczy jeszcze ten kuferek, prawda że ładny, mażonec się spodobą, albo ten „wiodęński”, może na taki się pan skusi, a jeszcze nie pokazywałem kilku nowych abażurów i koszy do owoców a co pan sądzi o tym, tak zwanym piknikowym, tak, tak z dwoma „łapami” otwieranymi na zewnątrz, mam tu jeszcze ciekawostkę, koszyczek gwiazdkowy, ten się otwiera do wewnątrz, albo pokażę panu... No, dlaczego pan już wręka? —

Bobyśmy najchętniej wzięli wszystkie drogi panie Bogumił...



DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Sprawa na pierwszy rzut oka jest banalna. Kradzieże w muzeach są częste, bowiem przechowywane tam eksponaty posiadają nieraz ogromną wartość materialną i jeszcze większą wartość zabytkową. Coraz częściej w prasie o włamaniu do któregoś ze znanych muzeów, o niepowetowanych stratach poniesionych przez kulturę narodową, o barbarzyństwie złodziei. Dlatego też, gdy pracownicy WUSW w Łodzi zaproponowali mi przejrzenie akt dotyczących włamania do magazynu Muzeum Historii Sztuki nie przejawiałem zbytniego entuzjazmu ich czytania ani pisanie o tuzinkowej przecież sprawie. Argumentem który mnie przekonał, że warto jednak zająć się bliżej tym tematem, był fakt, iż włamanie dokonał człowiek, który miał pilnować i chronić owe dzieła przed złodziejami. Ponadto okazało się, że gdyby ów złodziej wszedł nie wpadł w ręce organów ścigania, nikt w muzeum nie miałby zielonego pojęcia, że coś tam zginęło, gdyż inwentaryzacje przeprowadza się w tej placówce bardzo rzadko. Co kilka lat, a może nawet co kilkadziesiąt.

Podjętym o kradzież jest — zresztą przyznał się w śledztwie do popełnienia tego przestępstwa — Ryszard Władysław S., rocznik 1958, z zawodu cieśla, ale pracujący do listopada 1984 roku jako strażnik Miejskiej Straży Przemysłowej w Łodzi. Od tego czasu, twierdzi, utrzymywał się z posiadanych oszczędności, jakie zgromadził w ciągu swojej ciężkiej i odpowiedzialnej pracy. Jest właścicielem fiata 126p, który nabył za ćwierć miliona.

W swojej relacji składanej przed oficerem prowadzącym dochodzenie, opowiedział o swojej krótkiej, ale bogatej w wydarzenia historii. A więc od 1981 r. do lipca 1983 pracował, młody, jako wartownik Miejskiej Straży Przemysłowej. Miał broń i umundurowanie. Służbę pełnił w różnych instytucjach, m.in. w muzeach, radach narodowych, urzędach dzielnicowych, w niektórych zakładach i przedsiębiorstwach. Właśnie w lipcu 1983 r., pełnił służbę wartowniczą w magazynie Muzeum Historii Sztuki mieszczącym się przy ulicy Przedzalanianej (jest to filia Muzeum Historii Sztuki w ulicy Więckowskiego) w kompleksie budynków byłego pałacu Herbsta. Służbę rozpoczął o godz. 19, a skończył o 7 rano dnia następnego. Był sam. Wokół cisza, ciemność i spokój. Oczy się kleją choćby człowiek nie wiem jak starał się odgonić natarczywy sen. Owszem można chodzić (ale w końcu nogi odmawiają posłuszeństwa), można także zabrać ze sobą jakąś książkę (a jeśli się nie lubi czytać, co wtedy?), można zaparzyć herbatę lub kawę (tylko ile można tego wypić w ciągu nocy!), można też gapić się w przeciwną ścianę (wówczas zaśypia się nie wiedzieć kiedy), można też, zgodnie z regulaminem, co jakiś czas kontrolować wszystkie drzwi i zamki w powierzonym obiekcie (tylko komu się chce to robić?). Tak więc jest noc, cisza i sen czający się pod powiekami. Ryszard Władysław S. nudzi się jak przysłowiony mops i na wszystkie sposoby stara się nie zasnąć.

Na portierni w specjalnej szafce wiszą klucze. Są to klucze od wszystkich pomieszczeń magazynowych, które powierzono tej nocy pieczy strażnika Ryszarda Władysława S. Klucze mają tę właściwość, iż otwierają zamki bez ich uszkodzenia i nie zostawiają śladów. Ryszard Władysław S. obejrzał je dokładnie. Zważył w rękę. Właściwie nie się przecież nie stanie, jeśli otworzy nimi jakiś zamek, tym bardziej, że tego dnia nie założono na drzwi plomb. A w

ogóle to warto zobaczyć co jest w tych magazynach, których pilnuje.

„Zszedł na parter, otworzył drzwi. Ciemno. Przekreślił kontakt. Oho, ho! Tyle obrazów! Całe szeregi ustawione na regałach. Gdyby chciał je obejrzeć wszystkie nie starczyłoby mu nocy. Więc bodaj pobieżnie, na wrywki, byleby zaspokoić głód ciekawości. I nagle przyszedł mu do głowy niedorzeczny pomysł: a gdyby tak wziąć sobie co nieco? Tyle tego, że nikt na pewno nie zauważy. Ot, choćby ten: trzy gole kobiety, nawet niczego sobie babki. I może jeszcze ten przedstawiający trójkę koni. Ale Boh trojcu lubił, więc przyda się także i ten z głową rycerza. No i i proszę, prawie mają jednakowy wymiar, jakieś pół metra na czterdzieści centymetrów. Jeśli dobrze zapakować, będzie wyglądało, że jest to jakaś paczuska.

Ryszard Władysław S. jakoś tak odruchowo zapakował trzy obrazy w gazety i wyniósł na podwórce obok magazynu. Pakunek ukrył w trawie. Powrócił na portiernię i dalej pilnował, by nikt nie ukraść powierzonych jego pieczy

EUGENIUSZ IWANICKI

Kradzież w muzeum

dziel sztuki. Rano, gdy przyszedł zmiennik, zabrał obrazy i zaniósł do domu. Ryszard Władysław S. ma na utrzymaniu ojca inwalidę (bez nóg i bez jednej ręki). W obawie, by ojciec czegoś się nie domyślił, schował paczkę do tapczanu. Po jakimś czasie przeniósł ją do komórki.

Czas biegnie, minęło dwa miesiące, w muzeum nie mówiono o kradzieży. Wówczas postanowił przynieść obrazy do kolegi, który jest dozorcą w jednym z domów na ulicy Dąbrowskiego. Zdzisław C. nie pytał co chce przechować w jego komórce Ryszard Władysław S. Otworzył komórkę i pokazał gdzie ma położyć paczkę. To wszystko.

Kiedy w śledztwie zarzucono Ryszardowi Władysławowi S., że przywłaszczył obrazy celem ich sprzedania, kategorię przestępstwa. To nie jest prawda, po upływie jakiegoś czasu pragnął je powiesić w swoim mieszkaniu, gdyż lubi malarstwo, szczególnie to stare, z patyną czasu na płótnie. Nie ma pojęcia, ile taki jeden obraz jest wart, ale wie jedno: w jego mieszkaniu na ścianach wszystkie trzy prezentowałyby się doskonale.

Te wyjaśnienia mocno podważają zeznania jednego ze świadków, który uporczywie twierdzi, że Ryszard Władysław S. latem 1984 r. powiedział mu, że ma „do upłynięcia trzy obrazy”. Nawet je pokazał, bowiem miał je w swoim samochodzie leżące na tylnej kanapie. Świadek, co bardzo dziwi Ryszarda Władysława S., zapamiętał nawet co obrazy przedstawiały i do protokołu podał ich opis. Dziwnym trafem jest on identyczny z obrazami, które znaleziono w czasie przeszukiwania komórki u Zdzisława C.

Oto co było w paczce: „Sad Parysa” — zdjęcie nieznanego artysty z XVII w. Obraz wyko-

nany techniką olejną na blasze i oprawiony w bardzo cenną ramę o wymiarach 38 x 50,5 cm. „Sanna — trójka koni” Aleksandra Schwalbe z 1865 r. Technika olejna. Wymiary 34 x 51 cm. „Głowa rycerza w kapeluszu z piórami” nieznanego artysty z przełomu XVIII i XIX w. Olej. Wymiary 43 x 35,5 cm.

Najwięcej sporów jest przy określeniu wartości poszczególnych obrazów. Po pierwsze: czy zastosować wartość z roku 1983 czy też uwzględnić spirale cenową i oszacować je według obowiązujących stawek w dniu dzisiejszym? Po drugie: czy uwzględnić cenę, jaką uzyskalyby w „Desie”, czy też zdać się na ekspertyzę dokonaną przez pracowników muzeum, czy wreszcie przyjąć propozycje zgłoszone przez pracowników Muzeum Historii Miasta Łodzi, czy zgodzić się z kwotą podaną przez jednego z czołowych łódzkich plastyków? Te wątpliwości rozstrzygnie sąd, choć wątpię czy przyjdzie mu to łatwo.

W udostępnionych mi do wglądu aktach przy każdym skradzionym obrazie umieszczono ceny. „Sad Parysa” — 400.000 zł, „Sanna —

trójka koni” — 200.000 zł, „Głowa rycerza w kapeluszu z piórami” — 200.000 zł. W sumie wynosi to 800.000 zł. Ta wycena została dokonana przez zastępcę dyrektora G. Kacprzaka w porozumieniu z kustoszem. Natomiast pracownicy Muzeum Historii Miasta Łodzi uznali, że dzieła te posiadają wielką wartość muzealną, stanowią część naszej kultury i dlatego ich cena nie może być niższa niż pół miliona! Ale pracownicy Muzeum Historii Sztuki utrzymują, że wystarczy kwota 353.000 zł. „Desa” — trochę wyżej podniosła cenową poprzeczkę i proponuje 560.000 zł.

I tak spór został nie rozstrzygnięty, choć na dobrą sprawę nie wiem czy fakt ten powinien smucić czy cieszyć Ryszarda Władysława S.

A tak w ogóle, to Ryszard Władysław S. jest cholernym pechowcem. Oto w czasie przeszukiwania jego mieszkania znaleziono metalowe okucia (konsolki) do karniszy, które jak się okazało, pochodzą także z muzeum. Właściwie wydobyl je ze skrzyni znajdującej się za łóżkiem ojciec — inwalida. Oburzenie Ryszarda Władysława S. nie ma granic: on nawet nie widział na oczy tych okuć! Chyba — mówi — przyniósł je do jego domu Stanisław T., z którym razem pełnił kiedyś służbę w straży, a który jest dużo od niego starszy i raczej przyjaźni się z ojcem. Konsolki najprawdopodobniej zaginęły w czerwcu 1984 r., a ich brak odkryto dopiero po roku. Kiedyś muzeum zamówiło takich konsolk 28 sztuk. Zginęły 4, po 20.000 zł od sztuki. Też pieniądze.

Obrazy Ryszard Władysław S. zabrał gdzieś w lipcu 1983 r., a ich brak odkryto dopiero po dwóch latach. Czyli przez dwa lata nikt w muzeum nie przeprowadzał inwentaryzacji. Nie wiem jakie przepisy obowiązują placówki gromadzące zbiory sztuki, natomiast wiem, że

każde przedsiębiorstwo, każda instytucja lub zakład jest zobowiązany raz do roku dokonać tak zwanego spisu z natury, czyli, posługując się językiem naszego handlu, musi przeprowadzić remanent. Jestem pewien, że gdyby nie wpadka Ryszarda Władysława S. w Muzeum Historii Sztuki w Łodzi po dziś dzień nie wiadłano by, że czegoś tam brakuje.

By portret Ryszarda Władysława S. był pełny, zająłem do jego akt osobowych, kiedy pełnił jeszcze funkcje strażnika. Otd w Miejskiej Straży Przemysłowej jest dokument — umowa wraz z zakresem obowiązków, odpowiedzialności i uprawnień dotycząca Ryszarda Władysława S. Wynika z niej, że został on przyjęty do pracy w straży przemysłowej (wydano mu mundur i broń) 30.01.1981 r. Natomiast zakres obowiązków, odpowiedzialności i uprawnień podpisał był dopiero trzy lata później, 15.03.1983 r. Dziwne. Przecież taki układ można byłoby zinterretować następująco: masz tu mundur i broń i rób sobie co ci się podoba. Nie masz żadnych obowiązków, za nic nie odpowiadasz, jesteś niczym nie skrepowany. Bardzo to dziwne.

Ryszard Władysław S. w lutym 1983 r. przez pięć dni nie zjawiał się w pracy, za co otrzymał upomnienie. Później następuje przerwa w pracy i oto 17.11.1983 Ryszard Władysław S. ponownie zostaje przyjęty do Miejskiej Straży Przemysłowej, ale na czas ściśle określony, tj. tylko do 31.01.1984 r. Po tym terminie zostaje definitywnie rozwiązany z nim stosunek służbowy.

Dla ilustracji pracy w Miejskiej Straży Przemysłowej, przytoczę parę punktów z wytycznego z „zakresu obowiązków, odpowiedzialności i uprawnień”, jakie musza podpisywać strażnicy, a jakiego, jak pamiętamy, nie podpisał bohater niniejszej opowieści. Punkt 4. „W czasie służby wartownika winna cechować wysoka postawa moralna, przestrzeganie dyscypliny zawodowej, poczucie odpowiedzialności za powierzony mienie społeczne pod ochroną”. Punkt 5. „Powinien zdecydowanie przeciwdziałać próbom wrogiej i przestępczej działalności, takiej jak kradzież, sabotaż, marnotrawstwo, próba zakłócenia porządku publicznego itp.” W paragrafie dotyczącym odpowiedzialności, czytamy: „Odpowiada materialnie i prawnie za powierzony mienie na terenie ochranianego obiektu”.

Komendant oddziału Miejskiej Straży Przemysłowej wydając opinię o Ryszardzie Władysławie S., napisał: „Jako przełożony Ryszarda S. w okresie kiedy pracował on w MSP, uznaję, że był on wartownikiem bardzo przeciętnym, niezdyscyplinowanym, często spóźniał się do pracy. Czasami telefonował w ostatniej chwili, że nie będzie mógł objąć posterunku. Zdążyło się, że nie przychodził kilka dni do pracy, za co karany był dyscyplinarnie. Znaję, że były zgłaszane z zakładów pracy, gdzie pełnił służbę Ryszard S. skargi, iż stwierdzone fakty przeszukiwania biurka, z których ginęły różne przedmioty”.

Myślę, że obraz, jaki przedstawiłem w tym krótkim szkicu, jest wystarczająco wierny i przekonujący. Natomiast nie jest dla mnie jasny obraz stosunków panujących w Miejskiej Straży Przemysłowej ani nie rozumiem systemu pracy Muzeum Historii Sztuki. Gdyż zastanawiając się nad całością, dochodzę do wniosku, że tej kradzieży można byłoby uniknąć.

Są soliterami wielkich miast, wcepieni w jego krwiociąg, żyjący się jego sokami, jego krwią, syciącą i potem. Bez względu jak one same, obojętne na wszystko, całkowicie wyalienowani z tak zwanego społeczeństwa, choć bez niego nie mogłyby istnieć. Miasto dało im dworce, parki, całe dzielnice zamieszkałe przez obcych sobie ludzi. Wielkie miasto dało im także anonimowość, jak wszystkim innym.

Warszawa, dworzec „Śródmieście”, przedsmak tego, co będzie za kilka lat, a jeśli nie za kilka, to za kilkanaście, kiedy zacznie funkcjonować metro. Po godzinie 22 lustrzany peron odbija cienie niecierpliwych oczekujących na ostatnie pociągi pasażerów. W dusznej małej poczekalni kilkanaście kobiet i mężczyzn obsiadło podłużne ławki. Niektórzy rozłożyli się bez żenady, inni trwają w milczeniu, albo o czymś mówią.

Współczesny Manet powinien namalować ten piknik. Cała grupa jest pijana, albo trzeźwiejąca. To potomkowie Francoisa Villona: uliczne prostytutki, złodzieje, sutenerzy — ludzkie robotwo wyległe na sztuczne światło opustoszałej poczekalni.

Rej wodzi prostytutka o niemal kwadratowym masywnym ciele w nieokreślonym wieku. Mogłaby równie dobrze mieć lat czterdzieści, jak i dwadzieścia pięć. Na każdej twarzy widać zresztą ślad, jaki złości życie zdehumanizowane, oderwane od spraw tego świata. Kilkunastoletnia dziewczyna, która wydaje się być tutaj najmłodsza, pali spokojnie papierosa. Jakim cudem znalazła się pośród mętów? Nie widać, żeby była w tej grupie od dłuższego czasu, wskazuje na to jej ubranie, bardziej staranne, że śladami czegoś innego, jakby dotknięcia tamtego świata, z którego wyszła, delikatnego, ciągnącego się jeszcze za nią. I także jej twarz pozbawiona jest brzoźnienia doświadczeń, które stały się udziałem pozostałych, ich pustki i beznadziejności.

Wielka jak buldożer prostytutka wieździe jakąś ożywioną rozmowę z dwiema innymi. Po chwili oddala się od tamtych i zjawia się przed dziewczyną. Mówi coś do niej. Tamta milczy. Ręką zatacza zamazyste półkole i spada na policzek dziewczyny. Nie wiadomo, o co chodzi. Ciosy wymierzane otwartą dłońią spadają raz za razem. Gruba prostytutka robi to wyraźnie na pokaz. Może w tym celu, żeby również dać do zrozumienia pozostałym, kto ma tu najwięcej do powiedzenia. Od czasu do czasu przeladła tylko papierosa do drugiej ręki i rozpoczyna na nowo. Dziewczyna chwyciła się jak uderzone podmuchami wiatru źdźbło trawy.

— Oddasz, czy nie? — dopytuje jej gruba.

Po chwili oddala się. Bez zbytniego pośpiechu i z pewnym triumfem. Wydaje się, że to już koniec incydentu. Dziewczyna siedzi milcząca, apatyczna. Zakładła nogę na nogę.

Z grupki prostitutek zbliżyła się do niej jakaś inna. Staje przed dziewczyną i wymierza jej kopniaka prosto w twarz. Robi to kilkakrotnie. Pojawia się przy niej gruba i znowu zaczyna spadać na twarz tamtej miarowo wymierzane ciosy.

Reszta grupy wykazuje minimalne zainteresowanie tym, co się dzieje w poczekalni. Na czołowej twarzy widać bląkający się uśmiech. Dwoje podkruczyło kolaną i usługuje spać.

Prostytutki w końcu ściągają z dziewczyny bluzkę. Odchodzą, by powtórzyć całą scenę, po kolei zdejmując z niej wszystko. Za szybą oddzielającą poczekalnię od peronu gromadzi się trochę gapiów.

W poczekalni, pośród mętów, które nią zawładnęły, siedzi kilku oczekujących na podmiejski pociąg pasażerów. Jeden z pija-

nych mężczyzn pochyla się nad starszym mężczyzną z torbą na kolanach: — Pan nic nie widzi! — bełkotuje mu w twarz. Rękami robi taki gest, jakby rozciął przed tamtym niewidzialną zasłonę. Pantomima i słowa są zresztą zbyteczne — na pierwszy rzut oka staje się oczywiste, że mężczyzna nic nie widzi i nie słyszy. Co go to zresztą obchodzi? Dziewczyna nie jest lepsza od pozostałych, skoro znalazła się tutaj z nimi. To są ich sprawy, ingerencja nie jest potrzebna.

Kiedy dziewczyna zostaje zupełnie bez niczego, lumpy bez pośpiechu podnoszą się z ławek. Gruba prostytutka, trzymając ubranie dziewczyny pod pachą wychodzi na korytarz, a za nią reszta.

WŁADYSŁAW MALKA

Metro in future

Grupa oddala się i znika z peronu. Dziewczyna siedzi. Jakich czas nieruchomo, a w końcu rusza w ślad za tamtymi. Niewiele sobie robi ze spojrzeń stojących na peronie ludzi — ubranych, z teczkami pod pachą, z atrybutami ich normalnego świata. Co ją obchodzi ten świat, który z jakichś powodów odepchnął od siebie, choć równie dobrze mogło być odwrotnie? Tunnel, w którym zniknęła cała grupa, a za nią idąca naga dziewczyna, wchłania ich jak ostawiona czeluszka.

Dziś nie jest to jeszcze piekło, chociaż incydentów takich jak ten zdarza się tu niemało. Są zapowiedzią tego, co może się dzieć tam w niedalekiej przyszłości.

W tunelu ogromna plama krwi widniejąca na cuchnącej mozem posadzce, sięgająca ściany, ostrzega, że nie zawsze przejeżdżenie tamtąd może być bezpieczne. Gdyby na wędrującą bandę natknął się w owym momencie jakiś spóźniony pasażer, prawdopodobnie miałby kłopot z wydostaniem się na peron z własnym portfelem i zegarkiem.

Kradzieże są tam zresztą nagminne. W sezonie zimowym łatwo stracić futrzaną czapkę stojąc za blisko odjeżdżającego pociągu. Zawsze też warto uważać na bagaż, może on odjechać w nieznanym kierunku. I raczej, jeśli stało się to właśnie tam, nie należy specjalnie liczyć na biuro rzeczy znalezionych.

Podziemne pasażerki pobliskiego Dworca Centralnego o tej porze też nie są bezpieczne. Ale tu nawet w biały dzień można się natknąć na grupę wyrostków przejawiających ostentacyjną zuchepność. To już nie potomkowie Villona w prostej lufce, to zupełna inna formacja wyrosła pośród betonowej monotonii wielkich osiedli mieszkaniowych. Mieszkańcy anonimowych sypialni każdego dużego miasta dobrze znają ten widok i mają już wy-trenowany odruch pokory w obliczu najmniejszej próby zaczepki ze strony członków gangu. Dworzec taki jak ten, nie jest jeszcze ich właściwym rewirem. Są tworem życia zuniformowanego, zamkniętego w jałowej przestrzeni, gdzie pogrzebaną wartość jednostkową, ludzie zaś żyją odizolowani od siebie. Pojawili się

jako nieuchronny skutek rozrastania się miasta w takim właśnie kształcie.

Złoto-niebieskie pociągi nie docierają do odległych dzielnic, tylko łączą metropolię z jej satelitami takimi jak Grodzisk, Pruszków, Mińsk, Wołomin. Ale miasto ciągle pęcznieje i rozszerza swoje granice, które, nim staną się administracyjnymi, najpierw są faktycznymi. Niegdyśjszy Ursus jest już jedną z warszawskich dzielnic, trudno wątpić, że pierścieniu opasującej Warszawę granicy administracyjnej nie pęknie po pewnym czasie. W jego obrębie pojawi się tunel metra. Szybkie częste pociągi zwiększą łatwość pokonywania odległości między dzielnicami Warszawy, ale wpłyną także na większą anonimowość życia w tym mieście.

Warszawa mimo swej wielkości nadal posiada szereg cech prowincjonalnych, nie jest światową metropolią i zapewne dużo jeszcze musi w Wiśle upłynąć wody, nim taką będzie. Metro jest milowym krokiem do przodu i w rozlicznych przejawach codziennego życia przyniesie miastu coś nowego.

Czy opisany wyżej obrazek jest zapowiedzią między innymi i takich przemian? Symptomy pewnych zjawisk widocznych już dzisiaj wskazują, że tak być może. Wielkie miasta zawsze były idealnym żerowiskiem dla ludzkich hien. Większa anonimowość życia stanie się tylko dodatkowym dla nich atutem. Bez trudu można sobie wyobrazić, że w miejscach dużych skupisk ludzi połączonych z ich ruchliwością, jakimi będą stacje metra, raz po raz ktoś będzie sięgał do własnej kieszeni z lodowatym uczuciem w sercu stwierdzając, że brakuje w niej portfela...

Pociągi metra ułatwią swobodę poruszania się nie tylko zwykłym pasażerom. Pośród masy ludzi korzystających z szybkiej komunikacji podziemnej znajdują się ci, dla których celem nie będzie dojazd do określonej stacji. Metro zwiększy ruchliwość tych nieformalnych grup, których agresja i okazjonalna bądź permanentna przestępczość skupiała się dotychczas w rewirach trakowanych przez nich jako ich własny teren działania, jakimi są dotychczas duże osiedla mieszkaniowe. Adresatami tej agresji mogą się również stać pasażerowie metra.

Stacje metra przyciągną rozmaitych dewiantów, szajnesów i bezdomnych, jakich i dziś nie brakuje na warszawskich dworcach, którzy wręcz stanowią o ich lokalnym koloryte. Nie wydaje się, żeby z biegiem lat problem ten przestał istnieć, biorąc pod uwagę to, że istniał zawsze. Nie dysponujemy dotychczas ani dostateczną ilością domów opieki społecznej, ani szpitali psychiatrycznych, aglomeracja warszawska nie jest zapewne w lepszej sytuacji od pozostałych regionów kraju.

Określenie, w jakim stopniu metro warszawskie dając mieszkańcom tamtejszej aglomeracji określone dobrodziejstwo w postaci łatwej komunikacji nabierze cech negatywnych, gdy idzie o rozmaite implikacje społeczne, pozostaje zadaniem futurologicznym. Zbyt wielostronne są przyczyny nasilenia się lub zaniku określonych zjawisk ze sfery patologii społecznej. Zapewne też nie od razu wplecie się ono w strukturę metropolii w pełnym rozkwicie fenomenu cywilizacyjnego tak, jak pierwszy tramwaj konny nie tworzył jeszcze komunikacji masowej z jej przyszłymi implikacjami, jakkolwiek jak zwiastował. Dopiero wówczas, gdy tak się stanie, metro ukaze nam swoje oblicze, wizerunek wielkiej zbiorowości ludzkiej w określonym historycznie czasie, a także jej pasożytów wyhodowanych na jej wadach.

Przypomniane Sabinki

Dość osobliwa to sytuacja, żeby o autorze, którego sztuki grywano kilkadziesiąt lat temu na scenach Europy nie dochowały się w nowych źródłach prawie żadne informacje. Bo o tym, że wiedeńczyk Franz von Schoenthan był niezmiernie popularny na niemieckim obszarze językowym świadczą dawniejsze niemieckojęzyczne publikacje, z których dowiadujemy się, że z licznych fars największe wzięcie u publiczności miały, oprócz „Porwania Sabinek” także dziś już całkiem zapomniane (na polski może nigdy nie tłumaczone), jak „Nasza kobieta” czy „Sodoma i Gomora”, a ambitniejsze próby dramatopisarskie — najgłośniejsza z nich pt. „Ostatnie słowo” — nie potrafiły sobie zdobyć uznania.

Mówię cały czas o Franciszku Schoenthanie, niczego natomiast nie wyszperalam o Pawle, żadnego w ogóle śladu jego egzystencji, a na afiszu prapremierowym „Sabinek” z 1882 r. nie figuruje żaden współautor, mimo iż Franciszek kilka rzeczy na spółkę z innymi popisał. Program Teatru Nowego też niczego na temat owej rodzinnej spółki nie zawiera i ani słówka też o tym, na czym polegała adaptacja Juliana Tuwima, który, jak się okazuje, żywcem przeniósł treść sztuki i nawet przebieg akcji z prapremierowego egzemplarza.

I tu, i tam bohaterem jest łacinnik z prowincjonalnego gimnazjum, który w tajemnicy przed rodziną udostępnia dyrektorowi wędrownego teatru rękopis swojej młodzieńczej sztuki, następuje też nieoczekiwany powrót żony z córką z uzdrowską, mamy również wizytę przyjaciela, handlarza win i udział jego synalika w wędrownym trupie, jest także gosposia profesora, występuje nawet papuga sprawczyńi monstrualnej teatralnej kłapy. Jeśli do tego dodamy oledandy zamiast pinii i strażaków w kaskach, inwencja dramaturgiczna adaptatora w stosunku do oryginalnej wersji okazała się niezbyt bogata, pomijając zapewne warstwę dowcipu słownego i oczywiście cały zabieg „spolszczenia” sztuki przez usytuowanie jej akcji na galicyjskiej prowincji i zmianę nazwisk bohaterów. Jest też niewielka różnica, że mianowicie sytuację w spektaklu ratuje nie „Piękna Helena”, lecz „Córka Hasemanna” niejakiego l'Arroñge'a, Tuwim więc zapożyczył się dość mocno u Franciszka Schoenthana. I gdzież tu jeszcze wciągnąć jako pośrednie ogniwo owego mitycznego Paula, skoro wszystko co oglądamy w Teatrze Nowym jest w egzemplarzu prapremiery?

Ale oddajmy Tuwimowi, co mu się należy. Wiedziony niezawodnym zmysłem aktualizacji, nasz adaptator przesunął czas akcji do przodu o istotne dla zmian obyczajowych dwudziestolecie, celując dość precyzyjnie w okolice roku 1900, jak o tym świadczy jedno z odwołań w tekście. Rozegrała to też scenografia, dając po podniesieniu kurtyny secesyjną — na całą ścianę — okładkę „Tygodnika Ilustrowanego”. Aura fin de siècle bardziej przystaje do niefrasobliwej atmosfery farsy niż o dwa dziesięciolecia wcześniejsze lata akcji „Lalki”. Był Tuwim wytrawnym specjalistą od otrępywania z kuru staroci i przydawania im staroświeckiego wdzięku.

W tej sztuce akurat nasz znakomity adaptator trochę jednak zawiódł. Zapewne, i czas robi swoje, zmieniając nasze upodobania estetyczne i poczucie humoru, w każdym razie akt I powinien być znacznie skrócony, zostawić by należało, moim zdaniem, tylko to, co niezbędne do wprowadzenia widza in medias res (ach, ta łacina), czyli w perypetie II aktu, związane z bezpośrednimi przygotowaniem do wystawie-

nia dramatu naszego łacinnika. Nagromadzenie isticie farsowych sytuacji i dialogowych śpiew, rozegranych z brawurą i precyzją sprawiło, iż zabawa była o niebo lepsza niż w chybnym I akcie, gdzie co chwila „siadało” tempo i gaś nastroj.

Najbardziej popisowo wypadły sceny pomędzy dyrektorem Strzygą-Strzyckim, którego malowniczą postacią z pogranicza komedii i farsy z ciepłym humorem odtworzył Ludwik Benoit, a żoną profesora, graną z temperamentem i wokalnymi umiejętnościami przez Annę Grzeszczak, jak również między nią a zięciem lekarzem, Bogusławem Samotlikiem, nieśmiało ugrzecznionym w pochyleniu sylwetki, wywijającym tanczone podskoki z parodystycznym zacięciem. Duże brawa należą się zwłaszcza Ludwikowi Benoit za, żelganą na kanwie „Hallki” i świetnie ilustrowaną śpiewem, opowieść o rzekomym uwodzieleństwie doktora Justyńskiego. Grę tych trojga uzupełniał, wyrażając poprowadzoną rolę przyjeźdnego kupca Mieczysław A. Gajda.

W tym przedstawieniu ci właśnie aktorzy ujawnili najsilniejsze predyspozycje farsowe, w przeciwieństwie np. do Józefa Zbiroga (onże profesor łacinnik) bardziej stworzonego do ról komediowych, wymagających nie tyle technicznej sprawności i specyficznego „nerwu”, ile dyskretniejszego postugiwania się środkami, co można by też odnieść do Barbary Walkówny, grającej służącą profesora. Trochę też rozmiąły się z wymaganiami tego gatunku scenicznego, pełne zresztą wdzięku, Danuta Rynkiewicz i Teresa Makarska w roli córek. Zupełnym natomiast nieporozumieniem wydaje się powierzenie roli Emila Jackowi Gudejce, zbyt mało



Na zdjęciu: Jacek Gudejko (Emil), Danuta Rynkiewicz (córka), Barbara Walkówna (służąca).

Jeszcze doświadczonemu i raczej skłaniającemu się ku stylowi operetkowemu.

Akt III był znów mniej zabawny, dowcipy już się zanadto w ciągu minionych dziesięcioleci wyswiechtaly, za to w akcie IV mocną sceną dobrze rozegraną była relacja z nieudanego przedstawienia.

Biorąc pod uwagę całość sztuki i jej artystyczną spójność mam wątpliwości, czy należało wprowadzać do niej nowe teksty piosenek, ponadto zbyt uproszczone wydawało mi się opracowanie muzyki na dwa fortepiany przez Bohdana Pawłowskiego. Z uznaniem natomiast odnieśliśmy się do opracowania ruchowo-tanecznego całości.

Czytelnik nie znający tego przedstawienia mógłby sobie może pomyśleć, że w „Porwaniu Sabinek” rzecz dzieje się na zasadzie „teatru w teatrze”. W rzeczywistości jednak nie tylko nie oglądamy tu, wymyślonej przez Schoenthana młodzieńczej sztuki jego bohatera, ale nawet niewiele dowiadujemy się o jej akcji. Na dobrą sprawę możemy doskonale obejść się bez wiedzy o tym, kim byli Sabinowie, jak również zupełnie zbędna okazuje się znajomość łaciny dla odczucia komizmu sztuki, toteż dzisiejszy widz nie jest wcale w gorszej sytuacji niż inteligent sprzed pierwszej wojny, który z kulturą i sztuką antyku był za pan brat.

Zareczam, że nie trzeba się obkładać z filologii klasycznej, żeby się nieźle ubawić na tym przedstawieniu, którego premierą prasowa Teatr Nowy otwiera oficjalnie swój kolejny sezon. No i, bez wątpienia, kasa będzie murowana, o co też zapewne chodziło.

JERZY KWECIŃSKI

Franz i Paul Schoenthan: „Porwanie Sabinek”. Farsa muzyczna w czterech obrazach. Adaptacja i przekład Julian Tuwim. Reżyseria Maria Kaniewska, scenografia, Jolanta Bojanowska-Kunkiel, choreografia — Janina Niesobka, kierownictwo muzyczne — Anna Płoszaj, opracowanie muzyczne — Tadeusz Kierski. Premiera (prasowa) 15 września w Teatrze Nowym

Kronika kulturalna

6 WRZEŚNIA rozpoczął się sezon teatralny w Małej Sali Teatru Nowego spektaklem „Letni dzień” Sławomira Mrożka w reżyserii Wojciecha Piłarskiego. Scenografię przygotowała Iwona Zaborowska.

20 WRZEŚNIA w siedzibie Teatru Pinokio odbyła się konferencja prasowa poświęcona zamierzeniom artystyczno-programowym na rok bieżący

20 WRZEŚNIA w siedzibie Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego otwarta została wystawa pt. „EKSLIBRIS KRAJOZNAWCZY W ZBIORACH MIROSLAWA ZBIGNIEWA WOJALSKIEGO”. Wystawa czynna będzie do 30 października.

15 WRZEŚNIA odbyła się premiera w Teatrze Studyjnym 83. Przedstawienie nosi tytuł „Intermedia” i składa się z czterech oddzielnych części zatytułowanych: „Czynny strażnik”, „Stary zadrośnik”, „Falszywy Baskijski” i „Pieczara Salamanki”. Wszystkie są pióra Miguela de Cervantosa Saavedra w tłumaczeniu Zofii Szylen. Spektakl reżyseruje Paweł Nowicki. Grają Danuta Kłopocka, Tadeusz Teodorczyk, Anna Nowicka, Magdalena Mirek, Bohdan Graczyk, Andrzej Krukowski, Maciej Szrenica, Mirosław Henke.

W DNIACH 10—22 września w DKF „Elita” odbywało się seminarium filmowe pt. „Mitologia westernu”. Organizatorami seminarium byli: Klub Zakładowy „Eltus” przy FTiAT, Dzielnicy Dom Kultury Łódź — Baluty oraz Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna. W programie seminarium znalazły się wykłady teoretyczne i historyków filmu a także projekcje filmowe typowych dla tego gatunku utworów.

JUBILEUSZ 20-lecia istnienia obchodził Oddział Stowarzyszenia Archiwistów Polskich. Z tej okazji w miniony poniedziałek 23 września odbyło się uroczyste zebranie Oddziału SAP, na którym oprócz wygłoszonych okolicznościowych referatów wręczone zostały zasłużonym archiwistom odznaczenia i wyróżnienia.

PRZEZ trzy dni; piątek, sobotę i niedzielę w Łodzi trwały Dni Słupska. Goście z tego nadmorskiego miasta i regionu zaprezentowali bogaty program kulturalno-sportowo-rekreacyjny. I tak miłośnicy okazje obejrzed grupę baletową „Arabeska” i zespół ludzkiej „Bytów”. Zaprezentowała się także łódzkiej publiczności Słupska Orkiestra Kameralna.

17 WRZEŚNIA w Galerii Łódzkiej otwarta została wystawa grafiki, rysunki i malarstwa Andrzeja Gruna. W Salonie Sztuki Współczesnej czynna jest wystawa malarstwa Tadeusza Majdy. W galerii Stary Rynek obejrzed można Współczesną Sztukę Czeską, jest to druga kolekcja Janiny Ojrzynskiej. W Ośrodku Propagandy Sztuki czynna jest wystawa monograficzna Adama Narczyńskiego. Natomiast w galerii „Chimera” obejrzed można malarstwo i rysunki Jacka Markunasa. W Klubie Dziennikarza otwarta została wystawa obrazów Ludwika Kronica pt. „Portrety ludzi morza”. Ekspozycja zawiera 20 prac wykonanych techniką pastelową.

1 PAŹDZIERNIKA rozpoczyna się Międzynarodowy Konkurs Chopinowski. Zakwalifikowano doń 142 pianistów z 83 krajów. Najliczniej reprezentowane są Stany Zjednoczone — 27 osób, Japonia — 18 i Polska — 13 osób.

TEATR Nowy w najbliższym czasie zaprezentuje łódzkiej publiczności: na Dużej Scenie cieszące się powodzeniem sztuki: „Damy i huzary” Fredry i „Tango” Mrożka, a także „Rodzinę” Słonimskiego, o której popularności świadczy zbliżające się 150 przedstawienie. W przygotowaniu znajduje się niezmiernie interesujący „Zmierzeń” Babela. Dla najmłodszych widzów pozostaje w repertuarze „Przyjaciel weselnego diabła” Makuszyńskiego w Małej Sali oprócz „Letniego dnia” Mrożka, ujrzymy „Moralność pani Dulskiej” Zapolskiej, a już wkrótce „Wysokiego” Zawistowskiego, nową sztukę o wybitnych walorach artystycznych.

„Osnowa” czyli raptularz łódzki

Nie ma w zasadzie zwyczaju recenzowania czasopism literackich, miesięczników czy kwartalników. Uważa się — i słusznie — że o ich wartości decyduje sam czytelnik: zechce kupić bądź nie. Myślę jednakowoż, że warto czasopismom tym się od czasu do czasu przyrzec, wnikliwiej zastanowić nad ich zawartością, krytycznie przeczytać. Może z tego coś wynikać dobrego ku obopólnemu zadowoleniu redaktorów i potencjalnych czytelników?

Ukażal się oto podwójny numer „Osnowy”, „kwartalnika społeczno-kulturalnego”, którego sponsorem jest Wydawnictwo Łódzkie. Powojenne inicjatywy wydawnicze środowiska kulturalnego „ziemi obiecanej” z reguły cierpiały na zadyszkę (notabene i przed wojną nie bywało wcale lepiej): pomysły czasopiśmiennicze umierały śmiercią naturalną nim zdolały być się odróżnić. I „Osnowa” to zniknęła, to znów się odradzała. Aby ostatnio ukazywać się jakoś regularnie. Pisze „jakoś” bo informacja z okładki jest nader enigmatyczna: „nr 11/12, 1985 rok”. Numeracja ciągła dla kwartalnika zdaje się kamuflować obawy wydawcy? redaktorów? o to, czy sprostażą wymogom kwartalnego cyklu. Tak czy inaczej, trzeba satysfakcjonować się tym co jest, chociaż — niechaj trwa jak najdłużej — zabiegać o czytelnika, a przede wszystkim o dobre teksty.

Znane i niewspólnie do możliwości są potrzeby publikacyjne łódzkich środowisk intelektualnych i artystycznych. Próbuje im sprostać nasz tygodnik. Ważną tu rolę może pełnić właśnie „Osnowa”. Gdyby jeszcze była miesięcznikiem! Zanim jednak to się stanie, czasopismo winno każdym kolejnym numerem udowodniać, i przed autorami, i przed czytelnikami, swoją nie kwestionowaną wartość. I nie chodziłoby tu już o jakiś wprost sformułowany program (o to stosunkowo najłatwiej) ale o aktywną i inspirującą kwerendę wśród pisa-

rzy, artystów, tłumaczy, krytyków, esejistów, których w Łodzi przecież nie brakuje. Zresztą nie o Łódź tylko chodzi. Nie będzie dobrym żadne czasopismo, które chcąc służyć regionalnym potrzebom, nie stoi otworem dla autorów i spraw ponadregionalnych.

Jaka jest ta ostatnia, podwójna „Osnowa”? Na okładce tytuł „Raport z pewnej planety”, który sugeruje, iż tom zawiera jakiś zespół tekstów o charakterze monotematycznym, że proponuje jakiś monograficzny temat rozpisany na wiele głosów. Często to i sprawdzająca się w czytelnicy odbiorze praktyka redaktorska wielu „książkowych” czasopism. Ale o czym informuje tytuł „raport z pewnej planety”? O fragmencie powieści Jerzego Jesionowskiego. „Raport z planety Sol-3”? Przecież nie. A może „nasza planeta” to metafora Łodzi, a zatem „Osnowa” przynosi teksty, których tematem kluczowym jest nasze miasto? Albo „nasza planeta” to po prostu Ziemia, więc podwójny numer kwartalnika podejmuje najbardziej aktualne sprawy naszego ziemskiego „tu i teraz”? Doprawdy nie wiem, choć przeczytałem 230 stron dosyć dokładnie. Aby nie być posądzonym o demagogię i krytykancki ferwor muszę przyznać, iż formuła „raportu z pewnej planety” jest tak pojemna, że rzeczywiście wszystkie teksty z ostatniej „Osnowy” można w niej upchnąć, ale nie na tym chyba polegał pomysł „monografizacji” numeru. Jeśli już o to chodziło, to przecież jest w całym tomie kilka tekstów (Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Lesława Bartelskiego, Jana Meystrowskiego, Władysława Orłowskiego, Włodzimierza Krzemińskiego, Eugeniusza Iwanickiego i Honoraty Chróścielewskiej), które w sposób różnorodny (wiersz, wspomnienie, opowiadanie, fragment powieści, opracowanie historyczne) i interesujący podejmują jeden temat: czasy wojny i okupacji. Te, przede wszystkim, teksty

nadają dominujący ton w całym numerze kwartalnika i one mogłyby być wyeksponowane przez „monografizujący” tytuł. Z innego numeru są już wspomniane fragmenty powieści science-fiction, proza o rewolucji francuskiej, „humoreski” (?) Henryka Czyży, czy, tuż obok, socjologiczno-filmoznawcza rozprawa Jadwigi Łużyńskiej-Dorobowej o „ekranowym obrazie świadomości społeczno-narodowej chłopów”. Właśnie ten „porządek” raptularza albo innego silva rerum zdaje się jednoczyć teksty w „Osnowie” zawarte. Bo oto w samym środku duży tytuł „Varia”, a dalej — rzeczywiście mu odpowiadające — cztery listy Kazimierza Wierzyńskiego do Jerzego Wilmańskiego, a potem, ni stąd ni zowąd, dwa eseje: Henryka Pustkowskiego (o czterdziestolecu poezji w Polsce powojennej) i Stefana Melkowskiego (o prozie polskiej lat 1960—1975), które uznać trzeba za prawdziwą, krytycznoliteracką ozdobę całego tomu (tu może „Osnowie” zadrościć sama „Twórczość”). W tychże „Variach” są i inne godne uwagi wiersze (np. Mirosławy Marinow) i teksty np. „filmoznawczy” esej bez tytułu (?) Ignacego Szczepańskiego. Następnie w „dziale” „Łódź Fabryczna” instruktywny poznawczy tekst Bogdana Mazana o obrazie Łodzi na łamach dziewiętnastowiecznego „Przeglądu Tygodniowego”. Na sam koniec (nie licząc części recenzyjnej) pod tytułem „Życie jest piękne” trzy bardzo dobre wiersze Andrzeja Cezarego Sawcenki i znakomite „Marginalia” albo uwagi niejakiego Jarmola, o zachowaniu się przy stole miast traktatu, manifestu et cetera” Jerzego Jarmołowskiego (tu niechaj zadrości „Poezja”). Po ich przeczytaniu tytuł „działu”, w którym je umieszczono zaczyna pobrzmiewać ironicznie. Czy o to chodziło?

Przecież zachęcam do kupna numeru 11/12 „Osnowy”. Kilka tekstów stricte literackich i esejistycznych, które w recenzji podkreśliłem zasługuje ze wszech miar na lekturę. One też każą wierzyć, że „Osnowa” nie musi być łódzkim raptularzem.

GRZEGORZ GAZDA

Marek Chorabik

Pan młody

L. Dziedzińskiemu

przez próg
przenosi resztę życia
o podłogę
tłucze na szczęście
szklane pokłony
pamięta tylko
ciasny krawat
na oczach wszystkich
za pięć dwunasta
zsiadł

W powieściach Mirosława Kuźniaka wątek miłosno-mażeń-
ski odgrywa istotną rolę. Stano-
wi punkt wyjścia do szeregu
obyczajowych i psychologicz-
nych obserwacji. Mażeńskie po-
rypete porażają narratorów ko-
lejnych powieści. Kuźniaka ku
nowym przegodom i doznanom
w imię rodzinnego świętego spo-
koju — jakby uwspółcześnionej
zasady „Treuha Dei”. Tak dzie-
je się również w „Telefonie do
losu”. Uległość wobec składi-
nów słusznych, ekonomicznie u-
zasadnionych, postulatów świe-
żo poślubionej kobiety doprowadza
narratora, absolwenta u-
czelni humanistycznej, nie po-
zbawionego ambicji, lecz pozba-
wionego zupełnie znajomości
życia, do podjęcia pracy w prze-
dawnym instytucji, której pełnia
razem brzmi: Zakład Informacji

tem. Następuje jednak otrzeź-
wienie i młody człowiek odpo-
wiada zgrzywa na zgrzyw. Ale
nie ma szans w tej konflicto-
waniu. Ratuje się zatem paniczną
ucieczką. I to jest właśnie jego
„tramwaj przeznaczeń” — jak
w zacytowanym na zakończenie
powieści fragmencie wiersza Jer-
zego Waleńcyka — bańso-
wanie między rzeczywistością i
niereczywistością, trwanie w
zaczynnym azylu rodzinnego
gniazdka.

Odnoszę wrażenie, iż autor
chciał wyjść poza zaprawione
gorzką ironią współczesne ob-
służki obyczajowe i poku-
sić się o pewną diagnozę tej
sfery życia społecznego, którą
zwykle w naszej publicz-
styce określać mianem nierze-
czywistości, a która polega na

nie padaje — choć być jedynie
tak zwanym porządnym człowie-
kiem. Obecnie jest mu obuda, z
którą — niestety — styka się
na każdym kroku, aż tej prae-
wie w końcu ulega. Początko-
wo bawi, a później już go tyl-
ko drażni wszechobecna prze-
ciwność. Jego wejście w ży-
cie w niczym nie przypomina
„wejścia smoka” — konfronta-
cja wyniesionych ze studiów
wyobrażeń z trudnymi realiami
nie może być wesoła, ale bar-
dziej przygnębia poczucie wia-
snej bezużyteczności. Bohater
powieści Mirosława Kuźniaka
ponosi klęskę nie dlatego, że
okazuje się zbyt subtelny w o-
toczeniu z grubą ciosanymi o-
sobnikami, po prostu nie potrafi
walczyć z przeciwnościami lo-
su. Na razie salwuje się dezor-
cją. A co będzie potem? Co

Z półki recenzenta

ROLAND TOPOR

Jest znany przede wszystkim jako rysownik,
a przedstawiany przezeń świat jest tyleż okrutny
co absurdalny. Ta niezwykłość widzenia
zdominowała także twórczość prozatorską Ro-
landa Topora. „Cztery róże dla Lucienne” jest
drugą książką tego autora, która ukazuje się na
naszym rynku czytelnicy (w 1980 r. mieli-
śmy możliwość czytać jego „Chimerycznego loka-
tora”). W prezentowanej dziś książce znajdujemy
ów specyficzny czarny humor, czasem
wręcz odrażający makabryczny, który mimo
wszystkiego nie zniechęca do lektury, a raczej
podsyca ciekawość czytającego.

Przekład Tomasa Matkowskiego.

Roland Topor: Cztery róże dla Lucienne. Wyd.
Lit. 1985. Str. 162. Cena 130 zł.

JAK KRAŚĆ DUSZE

Nie jest to poradnik dla satanistów. Jerzy
Lovell w najnowszym zbiorze swoich wspom-
nień-impresji wrócił do uniwiersyteckiego
piero rękawka, a wraz z nią środowisko ar-
tystyczno-dziennikarskie. Sporo więc jest tu o-
pisów, wiele postaci, dużo historycznych, du-
żo refleksji, ale nade wszystko w tej niewiel-
kiej książeczce powstał „zatrzymany czas w ka-
drze”. I choć jest to opis subiektywny, nieraz
bardzo intymny — to przecież lektura zmusza
czytającego do refleksji ogólnych, wymykają-
cych się daleko poza stare mury Krakowa.

Jerzy Lovell: Jak ukradłem duszę. Wyd. Lit.
1985. Str. 170. Cena 90 zł.

INNY SIMENON

Książka nosi tytuł „Śmierć Augusta”, ale tak
naprawdę, to nie jest żaden „Kryminał”, choć
przywykliśmy łączyć nazwisko Georges Simen-
ona z tego rodzaju gatunkiem literackim. Powie-
ść, o której mowa, jest próbą nakreślenia
portretów psychologicznych ludzi, których łą-
czy bliskie pokrewieństwo, a którzy na skutek
presji współczesnego, konsumpcyjnego życia,
stają się sobie obcy, by nie powiedzieć wro-
dzy. Jest to książka gorzka, a jednocześnie jakże
prawdziwa w swojej warstwie obserwacyjnej,
sociologicznej i psychologicznej. Warto po nią
sięgnąć.

Przekład Renaty Opęchowskiej.

George Simenon: Śmierć Augusta. Wyd. Lit.
1985. Str. 180. Cena 100 zł.

POWIEŚĆ JAPONSKA

Przeżyjemy kolejną modę na Japonię i ja-
pończyznę: w tv trwa festiwal japońskich se-
riali, w księgarniach pojawiają się książki au-
torów japońskich. Jedną z nich jest opowieść
Tomie Oohary pt. „Nazywano ją En”. Jest to
refleksja z życia rodzinnego skazanej na więzie-
nie za winy popełnione przez głowę rodu, która to
rodzina spędziła w odosobnieniu całe 40 lat!
Dzieje się to w czasach nie tak znów odległych
— w XVII w. — ale dla nas karmionych se-
rialami w tv są to zdarzenia egzotyczne, pełne
niezwykłości i prawie bajkowe. Polecam tę
książkę.

Przekład Zdzisława Reszelewskiego.

Tomie Oohara: Nazywano ją En. Wyd. Lit. Str.
190. Cena 100 zł.

GRA W KLASY

Ukazało się już trzecie wydanie głosnej w
swoim czasie książki Julio Cortazara „Gra w
klasy”. Byłoby ignorancją i niepotrzebną stratą
czasu opowiadać jej treści. Bo jest to książ-
ka, którą można nie tylko czytać na dwa spo-
soby, ale interpretować jej zawartość wciąż na
nowo i na nowo. Mimo to nigdy nie będzie się
milo pewności, że odczytało się zawarte na
kartach przesłanie prawidłowo, czy klucz, ja-
kim posłużyliśmy się, spotwierca wszystkie
drzwi pozwalające nam zejść do wnętrza o-
wej skomplikowanej budowli, jaką jest „Gra
w klasy”.

Przełożyła Zofia Chądzyńska.

Julio Cortazar: Gra w klasy. Wyd. Lit. 1985.
Str. 516. Cena 330 zł.

NOWELE STRINDBERGA

Augusta Strindberga znamy przede wszyst-
kim jako autora dramatycznego. Jego dorobek
prozatorski pozostał — i nadal pozostaje —
w cieniu „Panny Julii”, „Ojca” czy „Tańca
śmierci”. A przecież pozostał Strindberg po-
sobie wiele powieści, nowel i opowiadań. Wła-
śnie w „Bibliotece Narodowej” ukazał się wy-
bór jego nowel w przekładzie Zygmunta Łano-
wskiego. Zaletą publikacji wydawanych w tej
serii przez Ossolineum jest bardzo wnikliwe o-
pracowanie tekstów, a także rzeczowy wstęp
dotyczący życia i twórczości Augusta Strind-
berga oraz przebieg recepcji jego dzieł w Pol-
sce.

August Strindberg: Wybór nowel. Zakł. Nar-
tm Ossolińskich. 1985. Str. 408. Cena 310 zł.

W stronę niereczywistości

Naukowo Opracowanych. Już
ten ironiczny wyróżnik wskazu-
je, że jest to instytucja rodem
z powieści Kafki — istnieje
chyba z tej tylko racji, że raz
puszczonych w ruch trybów
biurokratycznej maszyny nie
można zatrzymać niczym utopi-
ego perpetuum mobile. Młody
człowiek, zrzuciwszy z siebie lo-
su dostał się w owe tryby prze-
żywa coś w rodzaju makabry-
cznego snu. Doznaje rozdwój-
nia jaźni: „Te niereczywiste
rzeczywistość zadawali ludzie,
którzy pozornie wydawali się
podobni do tysięcy innych, coś
mówili, coś starali się robić, a
le ich słowa i czyny były tak
nieprawdziwe, że przetrwały ich
możliwemu istnieniu. Należało
niezwykle było to, że nie zauwa-
żyłem w ich zachowaniu cho-
by próby dystansu, cienia us-
miechu, znaku, że jest to gra,
udawanie, zgrzywa dla zarywu...
Chciałem mówić językiem
jakiegoś nie ma na świecie. Być i
zarazem nie być”. Stopniowej
destrukcji podlega osobowość
narratora — staje się on robo-

wspólnym niedostrzeżeniu kło-
potliwych czy dokuczliwych o-
czywistości. W tym momencie
nasuwa się pytanie, czy aby za-
krzyknąć, że król jest nakił mu-
siał bohater powieści przyjąć
odwagi wspomnieć ożerczą? Dia-
gnozę Kuźniaka jest stosunkowo
prosta i nie wykracza poza wy-
mowę prawd codziennych: oto
nagromadziło się w naszym ży-
ciu społecznym wiele zławisk,
których istota polega na pozor-
nej działalności, na udawaniu, na
bezczywności usprawiedliwionej
porozumiewawczym przyrzu-
nieniem oka etc. Wrosły one w
polski krajobraz na tyle głąbo-
ko, że rozstanie z nimi stało
się chyba praktycznie niemożli-
we. W każdym razie sugeruje
to defetyzm bohatera powieści.

Defetyzm ów wynika zapewne
z faktu, iż sprawy społeczne
interesują bohatera powieści
nie jako mimochodem, mar-
tyz on przede wszystkim o za-
ciszu domowym. Coś robi, bo
z czegoś trzeba przecież żyć.
Na bohatera pozytywnego się

przyniesie kolejny telefon do lo-
su?

Na to pytanie powieść nie
przynosi żadnej odpowiedzi. Jej
akcja urywa się gwałtownie —
jakby gwoli zademonstrowania
potęgi losu, wyekspozowania ro-
li przypadku w życiu. Ow in-
determinizm pośrednio uspra-
wiedliwia bohatera, człowieka
przytłoczonego w jednakim stop-
niu rzeczywistością i nierze-
czywistością.

TADEUSZ
BŁĄŻEJEWSKI

Mirosław Kuźniak: „Telefon do
losu”. Krajowa Agencja Wy-
dawcza Łódź 1985. s. 144. Na-
kład 29 625 + 875 egz., cena zł
15.—

Biografia niezwykła czyli „Potrójne życie Juliusza Verne'a”

80 lat temu, 24 marca 1905 r.,
zmarł w Amiens pisarz fran-
cuski Juliusz Verne, genialny
wizjoner, który trafnie przewi-
dzał postęp techniczny naszych
czasów. Wprawdzie zarówno da-
wniej, jak i dziś oficjalna hi-
storia literatury odmawia mu
nałęcznego miejsca wśród naj-
wybitniejszych pisarzy świata,
to przecież od ponad stu lat je-
go twórczość wywiera poważny
wpływ na rozwój świadomości
czytelniczej młodzieży wszyst-
kich kontynentów a tajemni-
czy kapitan Nemo wciąż jeszcze
cieszy się sympatią młodocia-
nych czytelników.

Nie słabnące powodzenie przy-
godowych i fantastyczno-nauko-
wych powieści Verne'a wpły-
wa na wzrost zainteresowania
biografią pisarza i recepcją je-
go twórczości. Po od dawna wy-
czerpanej na rynku księgarskim
o autorze „Tajemniczej wyspy”,
napisanej przez Nadzieję Dru-
cką („Czarodziej z Nantes”,
Warszawa 1963) ukazała się bi-
ografia pisarza pióra Kiriya An-
driejewa „Potrójne życie Juliu-
sza Verne'a” w zainaugurowa-
nej nią przez Wydawnictwo
Łódzkie serii „Opowieści nie-
zwykłych”. Dobrze się stało, że
tymczasem Konrad Frejdllich do-
stępni polskiemu czytelnikowi
ciekawie napisaną, o dużych ra-
dziejckiego pisarza, znanego ve-
nisty i znawcy literatury scien-
ce-fiction.

Andriejew odkrył wiele o-
złoniętych tajemnic szczegółów
z życia Verne'a, przedstawiając
zarazem rozwój osobowości pi-
sarza nie wolnej od kryzysu na-
technienia, wlotów i rozczaro-
wań. Głębokie osadzenie biogra-

fii Verne'a w realiach historycz-
no-politycznych epoki przybliżył
czytelnikowi postać samonika z
Amiens, już za życia otoczone-
go legendą.

Książkę uzupełnia „Kalenda-
rium życia i twórczości Juliu-
sza Verne'a”, rejestrujące naj-
ważniejsze zdarzenia z barwnej
biografii pisarza. Oprócz kalen-
darium Konrad Frejdllich do-
łączył do przekładu kilkunasto-
cowy szkic własnego autorstwa
„Verne a Polska”, w którym
usystematyzował na podstawie
dostępnych sobie źródeł to, co
o francuskim pisarzu w Polsce
pisano, spóbował też odpowied-
dzić na pytanie, dlaczego w
twórczości Verne'a tak mało
odniesień do sprawy polskiej,
bulwersującej go upadku po-
stawiasta styczińskiego francuska
opinii publicznej. Ta próba re-
konstruansu w mało zbadaną sprawę
recepcji twórczości pisarza w
Polsce powinna zainteresować
badaczy literatury. Dodać tu
warto, że przekłady polskie po-
wieści Verne'a ukazywały się
niemal równocześnie z pierw-
szymi drukami francuskimi, tyle,
że na łamach prasy codziennej i
pism młodzieżowych. Kwerenda
bibliograficzna przeprowadzona
przez piszącego te słowa przy
współudziale Włodzisława Łach-
cińskiego (zresztą z jego inspi-
racji) ujawnia imponującą liczbę
przekładów dzieł Verne'a, sta-
wiających Polskę w ścisłej czo-
łówce światowej, gdy chodzi o
zaspokajanie potrzeb czyteln-
skich młodego pokolenia. Dość
wspomnieć, że już w 1865 r. na
łamach „Gazety Polskiej” uka-
zała się entuzjastyczna charak-
terystyka dorobku literackiego
Verne'a. Anonimowy ko-
respondent paryski tak przedsta-
wiał polskiemu czytelnikowi ver-
nejskich bohaterów: „Fantastycz-
ni turyści unoszą się balonem
nad Afryką Środkową spuszcza-
ją kraterem wywołanym woz-
nątą ziemi, na księżyc wy-

zuca ich strzał potwornej or-
mady. Obok nich Cyrano Ber-
gerac wydaje się tchórzem (...)
Kto nie czytał, niech czyta te
książki spadle z księżyc, wy-
rzucone z balonu i wulkanu”.

Czytajmy więc raz jeszcze „te
książki spadle z księżyc”, za-
poznawszy się wprzód z nie-
zwykłą biografią Verne'a.

Warto tylko poprawić przed-
tem pisownię nazwiska ojca Si-
mionki (s. 166) — błąd powsta-
ły zapewne w wyniku nie kon-
trolowanej translacji tekstu ro-
syjskiego. Ow ojciec Siemion-
ko to w rzeczywistości Piotr Se-
menenko (1834—1886), współza-
łożyciel Zgromadzenia Zmart-
wychwstańców.

Koniecznym trzeba poprawić
błędy powstałe w wyniku nie-
chłujnej korekty, za co odpo-
wiada korektor Wydawnictwa.
Sporo jest opuszków i przeta-
wek literowych — to mniejsza,
gorzej, gdy trafiają się błędy or-
tograficzne (s. 72, 78, 240).

Wydawnictwo Łódzkie w serii
„Biografie niezwykłe” zapowia-
da opublikowanie jeszcze w tym
roku książki René Fulongera
i kobiety”.

ANDRZEJ KEMPA

Kiriya Andriejew: Potrójne
życie Juliusza Verne'a. Przekł.
Konrad Frejdllich Łódź Wy-
dawnictwo Łódzkie, 1985 — 249
1) s. — zł 180.—

Plażowanie

cieple wydm przeważane szafkiem
spacerują
pod moimi powiekami
z ich niepokojem
tego radosnego
stanu dzieciństwa
wiem
że zbliża się
godzina przepływu

Blysk

to przychodzi samo
ani razu Muza
czy też rumak
w podniebnym galopie
nie gubia kropki
z ni pokrene
choć czekasz
z otwartymi ustami
a palce
jak w tańcu Chaczaturiana
ścisnął płóro
by błysnąć
złota stalówka
iskry bożej

Z CYKLU „UPADEK PINAKOS”

Podział

w krainie Pinakos
chleb kraje się sam
na równe części
dla wszystkich obywateli
cudzoziemców pomaz
po spożreniu
bolesnym
jak nóż

Barbarzyństwo

wraz z wejściem do Pinakos
obcych wojsk
zamknięto galerie
zarekwirowano lustra

konsekwencja tego barbarzyństwa
był wzrost liczby długowłosych brodaczy
malarzy pokolowych
o subtelnych spojrzeniu

Wszystkie świętości

w czasie pokoju
mieszkańcy Pinakos
wzgardzili przepowiednią
ślepego starca

dziś kłina się
na wszystkie świętości
że był to agent
obcego mocarstwa

KONKURS O NAGRODĘ „CZŁOENKA TKACKIEGO”

WYJAŚNIENIE

W związku z notatką dotyczącą „wybryków” organizatorów Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego o Nagrodę Człoenka Tkackiego wyjaśniamy co następuje:

— Otrzymałmy pismo z datą 29 marca br., w którym Redakcja Waszego pisma informuje nas, że w miarę swoich upodobań i możliwości będzie mogła wydrukować wszystkie, lub niektóre z nagrodzonych prac nadesłanych na nasz konkurs.

— W komunikacie ogłoszonym na temat konkursu jeden ze współorganizatorów stwierdza niejako zwansem, że prace nagrodzone będą drukowane w „Ogłoszeniach”, licząc na to, że przy dobrej woli znajdzie się na to miejsce na łamach Waszego pisma.

— Nazwanie Redakcji „Ogłoszeń” współorganizatorem wynika stąd, że drukując nagrodzone prace, „Ogłoszenia” weźmie na swój sposób udział w całokształcie prac związanych z konkursem.

— Nikt z organizatorów konkursu nie oczekuje od Redakcji pomocy finansowej przy fundowaniu nagród, czy organizowaniu uroczystości.

— W związku z powyższym, nieporozumienie wypłynęło z niefortunnie użytego sformułowania, a nie z wybrykowej próby wrobiaenia kogokolwiek w organizację naszego konkursu.

— Za nieporozumienie przepraszamy i, licząc na dalszą owocną współpracę z Redakcją „Ogłoszeń”, piszemy się z wyrazami szacunku i poważania.

KLUB MŁODYCH PISARZY „WIADUKT”

I CO DALEJ Z WADAMI BUDOWLANymi?

Teresa Jerzykowska w numerze 32/85 „Ogłoszeń” opublikowała artykuł pt. „Oczekiwania na pierwszego bankruta”. Informację tę przyjąłem bez zbytniego zdziwienia, gdyż poprzedzona ona była już wcześniej różnymi notkami o trudnościach ŁKB „Zachód”.

Nie zgłaszam więc do treści publikacji zastrzeżeń, choć warto by może wspomnieć na częściowe usprawiedliwienie Kombinat o „wepchnięciu” mu w ramach trzech „s” amortyzacji fabryki domów, której produkty od początku nie spełniały założeń normy cieplnej ścian, a strona ekonomiczna tego przedsięwzięcia była co najmniej kontrowersyjna. Nie wnioskuję również w sferę ocen, czy „administracja” ratuje Kombinat, czy też należy mu dać spokojnie spłatawać, jak również — w sferę decyzji, od czego należy zacząć „uzdrawianie” gospodarki.

Wybiegam jednak w przyszłość i zakładam, że do bankructwa dojdzie. Ot — pewnego dnia ŁKB „Zachód” przestanie istnieć. W ramach zwykłych publikacji prasowych przeczytałem zapewne, że uchył w Łodzi przedsiębiorstwo, które bądź co bądź dawalo społeczeństwu pewną ilość łb, a więc oczekujący na mieszkania będą musieli nęstęty udrobić się o dodatkową cierpliwość itp. itd. Prawdopodobnie wywoła to szereg listów i interwencji i oczywiście, szczególnie niewygodne oburzenie części społeczeństwa.

Oczekując na mieszkania przeżywają regularne rozdwójnia jawni: przed przydziałem radzi by przyjąć byle co, nawet z dużymi wadami. Gdy już mieszkania otrzymają — nie konczy się lista skarg i zarzutów pod adresem wykonawcy i spółdzielni, czemu to otrzymali bubel.

Nie mamy wprawdzie jeszcze praktyki w tych sprawach, się na logikę rzecz biorąc — jeśli coś przestaje istnieć, to nikt nie przejmie jego praw i obowiązków (bo niby w imię czego w ramach trzech „s” wkładają dobrowolnie głowę w gilotyne, i w tym miejscu powstaje zasadnicze pytanie: co się będzie działo z wadami technologicznymi („szczęśliwie uciążliwymi”) na kilkudziesięciotygodniowej Retkini? A wady te — to przemazanie ścian i przecieki przez „węzły konstrukcyjne”, woda w piwnicach budynków, przy realizacji których swego czasu zbyt pochopnie odstąpiono od drenażu opaskowego, to pękające panele. Także zamiar docieplenia generalnego ścian, które od początku nie mają właściwego współczynnika „K”. I co z tego, że część rozstrzeżeń prawnych, wynikających z tego stanu rzeczy Spółdzielnia „Polesie” może mieć zagwarantowane? Kto to zrobi? I na czyj koszt? Z czym zostaną więc mieszkańcy Retkini — członkowie RSM „Polesie”? Jak Zarząd Spółdzielni będzie się tłumaczył przed swoimi członkami?

Członkiem RSM „Polesie” nie jestem, lecz sprawy te nie są mi obce — nie miałbym czystego sumienia, gdybym wątpliwości publicznie nie przedstawił. Jeśli jeszcze toczą się jakies rozmowy o perspektywach ŁKB „Zachód” — to warto by nie ograniczać się tylko do problematyki przyszłej produkcji, lecz pamiętać i o zaszłościach.

Usilnie więc proszę o wydrukowanie tej wypowiedzi.

W. AFELT

REGULAMIN OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU OTWARTEGO NA WSPÓŁCZESNĄ PIOSENKĘ DZIECIĘCĄ

1. Organizatorami Konkursu są: Stowarzyszenie Artystyczne oraz Rozgłośnia Polskiego Radia w Łodzi pod patronatem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi.

2. Celem Konkursu jest pozyskanie wartościowych artystycznych utworów dla dzieci o dowolnej tematyce i formie, dostosowanej do możliwości wykonawców dziecięcych.

3. W Konkursie mogą brać udział członkowie związków twórczych oraz twórcy nie zrzeszeni. Ilość utworów nadesłanych przez jednego autora nie jest ograniczona.

4. Rozpatrywane będą utwory łączące na głos z fortepianem z podpiśnianymi słowami oraz załączonymi pięcioma egzemplarzami tekstu.

Każdy utwór winien być opatrzony godłem. W załączeniu należy nadesłać zaklejoną kopertę, opatrzoną tym samym godłem, zawierającą nazwiska twórców i ich adresy.

5. Powołane przez organizatorów jury przyznaje następujące nagrody (dla autora i kompozytora łącznie):

- I nagroda — 50.000 zł.
 - II nagroda — 40.000 zł.
 - III nagroda — 30.000 zł.
- oraz 3 wyróżnienia po 15.000 zł

Fonadto przewidziane są nagrody specjalne.

Przewiduje się również formę zakupu utworów zgłoszonych do Konkursu w celu premierowego ich wykonania oraz wydania drukiem w formie śpiewnika.

Prace nagrodzone i wyróżnione stają się własnością organizatorów.

6. Autorzy winni przedstawić utwory oryginalne, nigdzie dotychczas nie publikowane i nie wykonywane publicznie.

7. Prace należy nadsyłać pod adresem: Stowarzyszenie Artystyczne w Łodzi, ul. Moniuszki 1a, 91-101 z dopiskiem na kopercie „Ogólnopolski Konkurs na Piosenkę Dziecięcą”.

8. Termin nadsyłania prac konkursowych upływa z dniem 20 stycznia 1986 r.

Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi do 20 lutego 1986 r.

OBUSTRONNA NIEUFNOŚĆ

W nawiązaniu do treści artykułu red. Jolanty Wrońskiej pt. „Obustronna nieufność”, zawartego w nr 32 „Ogłoszeń” z dnia 1985.08.10 składamy wyjaśnienia (sprostowania) oraz stanowisko kierownictwa, Rady Pracowniczej i organizacji społeczno-politycznych KPKS Oddział III w Łodzi.

1. Oddział III posiada trzy magazyny spedycyjne, do których dostarczane są przesyłki drobnicowe z zakładów przemysłu lekkiego. W magazynach tych kompletowane są przesyłki całopojazdowe wg kierunków przewozu na teren całego kraju. Nie są one typowymi magazynami np. wyrobów gotowych; a towar przechowywany jest średnio w ciągu 2-3, a w wyjątkowych przypadkach kilkunastu dni. Dlatego nie jest prowadzona w nich typowa dokumentacja magazynowa, gdyż ewentualne braki ujawniane są niezwłocznie, tzn. w momencie wydania przesyłki.

2. Obrót magazynowy w porównaniu do 1979 r. zmniejszył się o 40 proc. Do końca 1979 r. praca w magazynach przebiegała w systemie dwuzmianowym, siłą istniała konieczność zatrudnienia 10 robotników magazynowych, brygadzysty, magazyniera i kierownika. Aktualnie w magazynach (w tym również przy ul. Gdańskiej) pracuje 6-8 robotników magazynowych, brygadysta, magazynier i kierownik. Nie są to jak sugeruje artykuł — łacowacze, a robotnicy magazynowi i magazynier (nie konstytka).

3. Średnie wynagrodzenie robotników magazynowych w I półroczu 1985 r. wynosi 18-20 tys. zł (w ub. r. 10-12 tys. zł) i są to najwyższe (poza kierowcami) płace w Oddziale (wg artykułu podano 12-14 tys. zł). W placach tych wliczone są wszystkie składniki płac wynikające z zakresu uprawnień, obowiązków i odpowiedzialności.

4. Konflikty w magazynie przy ul. Gdańskiej rzeczywiście wystąpiły w lutym 1985 r. na nie odpowiedzialności za wykonywanie obowiązków służbowych. Robotnicy magazynowi stwierdzili, że nie będą odpowiadać za ilościowe i jakościowe przyjmowanie przesyłek magazynowych. W związku z tym w dniu 22 lutego 1985 r. odbyło się spotkanie kierownictwa Oddziału z wszystkimi pracownikami. Na spotkaniu tym omówiono problem organizacji pracy, płacy oraz zabezpieczenia interesów społecznych. W wyniku 2-godzinnej dyskusji wspólnie ustalono, że:

- 1) zabezpieczenie techniczne (przed kradzieżą) magazynu jest właściwe (wizja lokalna wszystkich bram);
- 2) robotnicy magazynowi będą otwierali tylko te bramy, przy których występuje przyjmowanie i wydawanie przesyłek;
- 3) robotnicy magazynowi będą pracowali „dwójkami” w celu podwojnego przeciekania oraz sprawdzania stanu przesyłek;
- 4) w momencie przebywania robotników w głębi magazynu będą zamknięte wygodzone siatki boksów magazynowe (przy wejściu do magazynu), uniemożliwiające wejście osób postronnych do magazynu;
- 5) zostanie zwiększony nadzór i kontrola nad pracą magazynu ze strony kierownictwa magazynu oraz administracji Oddziału;
- 6) od maja 1985 r. zostanie wprowadzona premia motywacyjna za właściwe wykonywanie obowiązków służbowych.

Ustalenia powyższe zostały przyjęte przez pracowników do bieżącej realizacji. Stwierdzili, że stan liczbowy pracowników gwarantuje prawidłową pracę magazynu pod warunkiem przestrzegania powyższych ustaleń. Jednocześnie wykazano pracownikom, że ich dotychczasowa praca niezgodna była z obowiązującymi przepisami i wymogami kierownictwa Oddziału. Ponadto w sposób szczegółowy omówiono niecelowość zwiększenia ilości magazynierów, wyjaśniając, że:

— po pierwsze, trudno sobie wyobrazić, aby ludzie mający fizyczny dostęp do przesyłek nie byli za nie współodpowiedzialni,

— po drugie, gdyby odpowiedzialni mieli być tylko magazynierzy, to oni musieliby stać się bezpośrednimi wykonawcami czynności ładunkowych (konieczność sprawdzenia stanu każdej przesyłki).

— po trzecie, każdy pracownik w przedsiębiorstwie musi ponosić odpowiedzialność za ilościowe i jakościowe wykonanie swoich obowiązków,

— po czwarte, przyjęcie koncepcji robotników magazynowych zwiększyłoby zatrudnienie na stanowiskach nierobotniczych o 8 pracowników, a ilość pilnujących byłaby niemal równa ilości pracowników fizycznie pracujących.

Ustalono, że stan liczbowy magazynu będzie zwiększany w miarę wzrostu masy towarowej.

W wyniku zwiększenia ilości kontroli i wizytacji (średnio raz w tygodniu) oraz obserwacji pracy magazynu przy ul. Gdańskiej stwierdzono, że ustalenia nie są w pełni realizowane, za co udzielono 3 nagan, 1 upomnienia, potrącono premię motywacyjną, a w maju 1985 r. 2 robotników magazynowych przeniesiono do innej pracy. Ponadto ujawnione niedobory spowodowały, że postanowiono sukcesywnie wymienić załogę magazynu, przy czym decyzja taka została podjęta przed konfliktem czerwcowym. Wydarzenie to jedynie miało wpływ na przyspieszenie realizacji tej decyzji.

Na spotkaniu 1985.06.29 pracownicy magazynu w obecności kierownictwa Oddziału, przewodniczącego Rady Pracowniczej, sekretarza KZ PZPR oraz sekretarza NSZZ jednoznacznie stwierdzili, że nie będą odpowiadać za ilościowe i jakościowe wykonywanie swoich obowiązków. Długotrwała rozmowa i wyjaśnienia nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. W związku z tym po wnklivej analizie sprawy postanowiono:

- 1) ukarać wszystkich pracowników naganami za samowolne przerwanie pracy;
- 2) wymienić całą załogę magazynu, gdyż obecna nie gwarantuje prawidłowej pracy i nie chroni w dostatecznym stopniu interesów Oddziału;
- 3) zaproponować nowe warunki pracy wszystkim pracownikom bez obniżania wynagrodzenia (między innymi na Komisji Pojedynczej), gdyż nie udowodniono pracownikom kradzieży, z możliwością przeniesienia do pracy w innych magazynach spedycyjnych, pod warunkiem wyrażenia zgody załog magazynu.

Pragniemy podkreślić, że rzeczywiście pracownicy nie otrzymali pisemnej odpowiedzi na swoje pismo. Byli jednak kilkakrotnie informowani o stanowisku kierownictwa przez kierownika Działu Przewozów Towarowych i Spedycji.

5. Wyłączenie z prac magazynu przy ul. Gdańskiej nie spowodowało zatrzymania przyjmowania przesyłek do przewozu. Obowiązki magazynu przy ul. Gdańskiej przejęły inne maga-

zyny, a praktyka zamykania magazynu w okresie letnim była stosowana w ubiegłych latach (spadek produkcji w tym okresie).

6. Zmiana organizacji pracy w magazynach spedycyjnych uwarunkowana jest stanem technicznym magazynów. Mieszczą się one w starych budynkach, które zostały jedynie przystosowane do potrzeb magazynowych, a magazyn przy ul. Węglowej nie posiada nawet rampy.

Organizacja pracy polegająca na rozdzieleniu czynności załadunkowych oraz wydzielaniu osiatkowanych pomieszczeń dla poszczególnych przesyłek wymaga wybudowania nowego magazynu. Koncepcja taka istnieje już 20 lat, jednak z różnych względów nie może doznać się realizacji. Nie oznacza to, że nie można osprawniać organizacji pracy w istniejących warunkach technicznych. Wykazano to jednoznacznie na spotkaniu z pracownikami w lutym 1985 r.

Uwarunkowane to jest przede wszystkim sumiennym wykonywaniem obowiązków służbowych przez wszystkich pracowników, bez względu na zajmowane stanowisko. Brak sumiennosci, rzetelności, dbałości o wspólne dobro oraz systematyczne niewykonywanie poleceń i ustaleń kierownictwa doprowadziły i musiały doprowadzić do wymiany załogi w magazynie spedycyjnym. Stwierdzenia pracowników na spotkaniu 1985.06.29 — że „nie zamierzają odpowiadać za jakość pracy” musiały spotkać się z dezaprobatą nie tylko kierownictwa, ale i Rady Pracowniczej oraz organizacji społeczno-politycznych.

Magazyn przy ul. Gdańskiej uruchomiony zostanie we wrześniu 1985 r. i pracować będzie w nowym składzie osobowym. Z poszczególnymi kandydatami do pracy w tym magazynie spedycyjnym przeprowadzono rozmowy, a w dniu otwarcia odbył się spotkanie kierownictwa Oddziału i organizacji społeczno-politycznych z załogą magazynu w celu przedstawienia właściwej organizacji pracy, zadań i obowiązków stojących przed każdym z pracowników.

Przewodniczący Zarządu
ZZ KPS w Łodzi — Oddział III
MIROSŁAW GÓRECKI
Sekretarz KZ PZPR
JÓZEF KOJDER
Dyrektor
mgr JÓZEF BUDZICHOWSKI

KONKURS IM. FRANCISZKA GILA

Konkurs nawiązuje do dorobku twórczego Franciszka Gila, który małopolską wieś uczynił terenem płodnych obserwacji dziennikarskich i literackich. Organizatorom zależy więc na reportażach ukazujących w sposób pełny i artystyczny, wszechstronny rozwój życia na wsi, kształtowanie się i dojrzewanie postaw ludzi i zespołów będących współtwórcami socjalistycznych przemian, z ukazaniem trudności, konfliktów i sukcesów. Intencją organizatorów jest również uzyskanie prac, będących plonem obserwacji i analiz złożonej sytuacji społecznej wsi, miejsca w niej dla organizacji samorządowych i społeczno-zawodowych oraz postaw ludzi tworzących na wsi klimat dla społecznej aktywności swego środowiska.

Konkurs jest otwarty, o zasięgu ogólnopolskim. Nagrody w nim mogą być przyznane jednak wyłącznie za reportaż nie publikowanej wcześniej w jakiegokolwiek formie. Organizatorzy nie ograniczają rozmiaru prac. Przewiduje się przyznanie następujących nagród i wyróżnień: I nagroda — 50.000 zł, II nagroda — 35.000 zł, III nagroda — 25.000 złotych oraz wyróżnienia po 15.000 złotych.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród, a także zmiany ich wysokości, z tym jednak, że ogólny fundusz przeznaczony przez organizatorów na nagrody, nie ulegnie zmniejszeniu.

Organizatorami konkursu są: Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL w Rzeszowie, redakcje: „Nowiny” i „Profile”, Rozgłośnia Polskiego Radia i TV, Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej w Rzeszowie, Zarząd Główny ZSPM, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie oraz Rzeszowskie Towarzystwo Przyjaciół Prasy, Książki, Radia i TV.

Uczestnicy konkursu proszeni są o nadsyłanie tekstów, podpisanych godłem, w trzech egzemplarzach pod adresem: Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, al. Komunistów 10, Rzeszów, z dopiskiem: „Konkurs im. F. Gila”. Do przesyłki należy dołączyć zaklejoną kopertę, zawierającą imię i nazwisko oraz adres autora.

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa 30 października 1985 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 4 grudnia 1985 r. w rocznicę urodzin Franciszka Gila.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwodruku prac nadesłanych na konkurs oraz opublikowania ich w formie książkowej.

W BRATNIM IWANOWIE

Literaci i dziennikarze Iwanowa, miasta współpracującego z Łodzią i obwodu iwanowskiego, współpracującego z województwem skierniewickim odnotowali dwa kolejne szczególnie znaczące fakty, świadczące o wzajemnym poznawaniu, zbliżaniu i umacnianiu przyjaźni i współpracy.

Oto w numerze 23 dziennika bratniego miasta i obwodu — „Raboczyj Kraj” — z 21 kwietnia 1985 roku opublikowano notę o 40-leciu Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej między ZSRR i Polską, noty o autorach polskich i ich prace — Jerzego Wilmańskiego — „Łódź w styczniu”, Rafała Orlewskiego — „Być może”, Tadeusza Chróściewskiego — „Przebudzenie”, Władysława Strzeleckiego — „Promienie” i Marka Nejmana — „Bulany”. Wiersze polskich poetów tłumaczyli — Wasyl Kocznow i Siergiej Maszkow, a prozą Marka Nejmana Bella Wendler.

W numerze 167 tegoż pisma z 22 lipca 1985 r. pod zapowiedzią — „Jutro Święto Polskiej Republiki Ludowej” — Dzień Odrodzenia Polski — zamieszczono esej Wasyla Kocznowa „Zaoczna znajomość”, rzecz o synu Iwanowa Nikołaju Gaworkowie, poecie i żołnierzu, wywołicielu Łodzi, redaktorze frontowej gazety wojskowej „Zwycięzcy wroga”, zorganizowanej i wydawanej właśnie w tym mieście, fragment powieści Henryka Jachimowskiego pt. „Siła ziemi” i wiersz Bogusława Sikorskiego, dedykowany miastom pobratymcom Łodzi i Iwanowowi — „Wiśniarskie miasto” i Władysława Strzeleckiego — „Ziemia”. Wiersze polskich poetów tłumaczyli — Wasyl Kocznow i Siergiej Maszkow, a prozą Henryka Jachimowskiego Bella Wendler.

W.S.

Lódź nie miała stałej areny cyrkowej. Od biedy zastępowała ją w drugiej połowie lat trzydziestych sala obrad Rady Miejskiej. Sesje w gmachu przy ul. Pomorskiej 16 (Nowotki) niemal z reguły przekształcały się w jeszcze efektywniejsze widowiska niż zapasy atletów na macie. W turniejach walk francuskich obowiązywały jakieś granice w stosowaniu chwytów, tutaj wszystkie były dozwolone, w każdym razie tolerowane. Słowem — wolnoamerykańka, catch as catch can, chwytaj jak potrafisz, jak możesz.

Chwytało jak można i... co można. Kiedy zawodziły słowne argumenty, sięgano po oprawione w grubym karton roczne sprawozdania z działalności poszczególnych resortów, expose budżetowe, a także kalamarze i różne elementy umebliowania sali. Z owych to czasów zachowała się zagadka: co to jest, ma cztery nogi i fruwa? Krzesło w Radzie Miejskiej.

Rej wiedli radni spod znaku Stronnictwa Narodowego. W polemice z przedstawicielami innych ugrupowań politycznych zamiast konkretnych wniosków i programów z dziedziny gospodarki komunalnej zgłaszali demagogiczne żądania, zawsze stając okoniem „na złość Żydom i socjalistom”. Nawet wówczas, gdy szło o załatwienie najistotniejszych spraw. Wystąpienia ich, kierowane do motłochu, w motłoch trafiały...

Przewodził łódzkim narodowcom osławiony adwokat Kazimierz Kowalski, obdarzony nadmiarem braku inteligencji. Jego spicze poza oburzeniem wywoływały powszechną wesołość, stąd przylgnął doń przydomek „koziółek-matolek”. Był ulubionym tematem łódzkich karykaturzystów.

To właśnie w światłym umyśle pana mecenasza („meczynasa”) zrodził się pomysł okupowania budynku Rady Miejskiej na znak protestu przeciw jakiejś uchwałce. Okupacja zakończyła się fiaskiem: po nocy spędzonej w gmachu radni z kwaśnymi minami poczapali do domu, nie nie wskórawszy. O ile pamiętam, karykaturzysta pokazał adwokata Kowalskiego jak z nocnikiem w ręku opuszcza Radę Miejską.

Niesłychane brewerie wynikły, kiedy jeden z radnych przytoczył jako curiosum moje rewelacje z „Republiki” o otwarciu pod patronatem Stronnictwa Narodowego przy ul. 11 Listopada — Chrześcijańskiego Domu Odzieżowego, gdzie wbrew głoszonemu hasłu „*Swoją do swego po stoje*” wyprodukowane przez żydowskich chałupników wyroby konfekcyjne sprzedawano po cenach o wiele wyższych niż identyczne, z tego samego źródła — w sklepach żydowskich! Oburznie o tym moim odkryciu napisałem w nierzadym tomie „Reportera przed konfesjonalem”.

Radni endeccy zareagowali kocią muzyką. Adwokat Kazimierz Kowalski zerwał się z miejsca i zawołał do przewodniczącego obrad:

— *Odebrać mu głos! Żyd nie ma prawa przemawiać w Radzie Miejskiej!*

— *A co pan mecenas robi, jeśli wszystkim Żydom odbierze się prawo głosu? Z czego pan będzie żył? —* odezwał się jakiś głos z ławy radnych PPS.

Wyszło na jaw, że ultra-super-narodowy adwokat był radcą prawnym żydowskiego przemysłowca Toronicyzka i występował — fin done — w obronie żydowskiego fabrykanta przeciwko polskiemu robotnikom!

Nienawisć rasistowska głoszona przez narodowców na forum Rady Miejskiej wydała zafrutowane owoce. W mieście poczęły się mnożyć napady na sklepy żydowskie i na przechodniów o semickim wyglądzie. Jan Antczak, członek i komendant straży porządkowej Stronnictwa Narodowego, przysłuchiwał się na galerii Rady przemówieniu pana mecenasza. Nie uronił ani słowa, wyszedł podbudowany na miasto i przyniesionym z domu tasakiem zamordował na rogu Kilińskiego i Narutowicza wysiadającego z tramwaju Jakuba Glicensztajna, a dwóch innych przechodniów — Grynsztajna i Czaryńskiego — ciężko zranił.

Mordercy udalo się zbiec. W pięć miesięcy później, 27 stycznia 1937 roku, w lokalu Stronnictwa Narodowego w Łodzi odczyt „ideologiczny” wygłosił sławetny ksiądz Trzebiak. Jednym ze słuchaczy był ten sam Antczak, który „uszedł i zmylił pogonię” policji. Po odczytaniu „na ul. Sterlinga osiem noża fińskiego w plecy zaszytych” 21-letniego przechodnia, Szymona Chelennera.

Nazajutrz członkowie Rady Miejskiej zebrał się na posiedzenie. Radny Lewin napiętnował ohydny zbrodnie wnosząc o przyznanie odszkodowania rodzinie zamordowanego. Z ław endeckich padły okrzyki:

— *Tylko jednego zamordowano? Mało. Ja bym was setkami na godzinę zżnął!*

— *Bravo, bravo!* — rozległy się głosy.

Ponoć wyszły one z ust radnych Kowalskiego i Czernika. Pociągnięto ich do odpowiedzialności za publiczne pochwalanie zbrodni. Rozprawa sądowa zakończyła się nieoczekiwanym epilogiem. Przewód dostarczył dowodów winy obu oskarżonych. Stenografistki Rady Miejskiej — Milewska i Brzozowska — potwierdziły, iż okrzyki wznosili radni Kazimierz Kowalski i Antoni Czernik. Potwierdził to również kierownik wydziału prezydiального, Polt. Tylko świadek ze Stronnictwa Narodowego oświadczył, że nie pamięta kto krzychał. Wówczas przewodniczący, sędzia Głowczewski, zwrócił się do adwokata Kazimierza Kowalskiego:

— *Pytam pana jako adwokata, człowieka z wyższym wykształceniem, prezesa Stronnictwa Narodowego i działacza: czy może mi pan dać słowo honoru, że nie wypowiedział inkryminowanych słów?*

Adwokat Kowalski dał słowo honoru, przewodniczący zamknął przewód sądowy i po przerwie ogłosił wyrok uniewinniający obu oskarżonych. Sprawiedliwość stała się żądostą.

Burzliwe sesje Rady Miejskiej, procesy sądowe Gorgonowej, małżonków Maliszów z Krakowa, oskarżonych o zamordowanie i ograbienie listonosza, wampira Cybulskiego ze Lwowa, mordercy prostytutki, toczyły się poza zasięgiem moich kompetencji. Co gorsza — nasiem-

cowe sprawozdania wyplerały mnie z łamów gazety. Coraz częściej kłęska suszy nawiedzała moje poetkio wierszówkowe.

Użaliłem się przed naczelnym.

— *Głowa do góry, panie Kiepusa. Już niedługo damy panu możliwość powiększenia zarobków.*

— *Bardzo dziękuję, panie redaktorze... To dostanę jakąś stałą pensję?*

— *O tym niech pan nie marzy. Wydamy specjalny numer „Republiki”, poświęcony rozwojowi naszego województwa. Będzie pan miał okazję zarobić na ogłoszeniach. Piętnaście procent prowizji.*

Członkiem Syndykatu Dziennikarzy nie wolno było zajmować się akwizycją. Groziło za to skreślenie z listy członków, praktyki te słusznie określono w statucie jako niemoralne, nie liczące z godnością wykonywanego zawodu. Ale chyba bardziej niemoralne było zatrudnienie dziennikarzy bez jakiegokolwiek stałego wynagrodzenia! Tą sprawą Syndykat się nie interesował...

Nie zastanawiałem się długo. Do Syndykatu nie należałem i na razie żadne sankcje mi nie groziły. Pobrałem z administracji bloczek z deklaracjami ogłoszeniowymi i... zasiadłem przy telefonie, aby tą drogą, jak przy zbieraniu wiadomości, osiągnąć zamierzony cel. Poszło mi dość gładko. Co któryś z wydzwanianych wias-

W krótkim czasie pod egidą Wojewódzkiego Komitetu Niesienia Pomocy Bezrobotnym powstało w Łodzi 13 bezpłatnych kuchni. Największa przy ul. Wierzbowej 17 wydawała do pięciu tysięcy obiadów dziennie. Po 1—2 tysiące — kuchnie przy ul. ul. Smugowej 6, Lokatorskiej 12, Drewnowskiej 72, Młynarskiej 32, Zgierskiej 160, Piotrkowskiej 226, Kilińskiego 152, Zeromskiego 88, Solnej 14, Zgierskiej 7, 11 Listopada 4, Napiórkowskiego 164.

Powstała też, w lokalu YMCA przy ul. Piotrkowskiej 89, pierwsza bezpłatna kuchnia dla bezrobotnych inteligentów. Poprzedniczką jej była „tania kuchnia dla bezrobotnej inteligencji” w parku Sienkiewicza, w oddzielnym pawilonie, przy wejściu od ulicy Kilińskiego. Miała dwie obszerne sale — na górze i na dole. Część stolików różnieszczono na oszklonej werandzie. Obiad kosztował złotówkę, stosunkowo niedrogo dla człowieka zarabiającego, ale dla bezrobotnego, który musiał wykupywać po kilka obiadów dziennie, dla siebie i rodziny, wydatek taki przekraczał jego możliwości.

Obiady w parku wydawano na miejscu i na wynos. Właściciel nie w tym nadzwyczajnego. Przecież w ten sposób reklamowały swe usługi wszystkie piacówki, kulinarne w mieście. Tak, ale tutaj, w taniej kuchni magistrackiej dla bezrobotnych inteligentów, fakt ten miał głębszą wymowę społeczną. Obiadów „na wynos” kuchnia serwowała o wiele więcej niż do konsumpcji na miejscu. Przeważnie zgłaszały się po nie...

lub „pan wie, w tym trzypiętrowym domu obok pałacu Geyera”.

Wiele ulic nosiło inne niż dzisiaj nazwy. Gdańska była Długa, Zeromskiego — Pańska, Nowotki — Pomorska, a jeszcze dawniej — Średnia, Sienkiewicza — Mikołajewska, przedtem Grafa, przedtem Dziąka. Obecna ul. Próchnińska nazywała się jak jej przedtem — Południową. Dopiero w r. 1839 przemianowano ją na Zawadzka ku czci Jana Zawadzkiego, pełniącego funkcję „dozorcy miast” w obwodzie łódzkim. Brał on czynny udział w pierwszej regulacji Łodzi.

Zamenhofska nazywała się Nawrot — od Piotrkowskiej w obie strony. W r. 1873 zmieniono jej nazwę na Rozwadowska na pamiątkę komisarza Rozwadowskiego, wydziału administracyjnego rządu gubernialnego.

Obecna ul. 23 Lipca, przedtem 6 Sierpnia, była ongiś Krótka (tak samo jak dzisiejsza Traugutta), później nazwano ją Benedykta — od nazwiska Benedykta Tykela, nadzwyczajnego komisarza sekcji fabrycznej przy województwie mazowieckim.

Andrzeja Struga, tak jak jej przedtem — nazywała się Przejazd, potem nazwano ją Andrzeja dla upamiętnienia prezydentury Andrzeja Rosickiego, który na stołcu prezydenta Łodzi zasiadł w latach 1862—1866.

Łódź zawsze była miastem fabryk, ich właściciele mieli niejedno do powiedzenia w sprawach administracyjnych, nie zatem dziwnego, że znalazło to swoje odbicie i w nazewnictwie arterii miasta. Dzisiejsze ulice Zwirki i fragment al. A. Mickiewicza od S. Zeromskiego do Piotrkowskiej nazwano Karola i Anny — od Anny i Karola Scheiblerów, al. 1 Maja — pasażem Schultza, Moniuszki — pasażem Meyera.

Z tym drugim pasażem wiąże się pyszna historyjka. Ulica ta stanowiła własność prywatną pana Meyera. Odgrodził ją barierą i przy barierze posadził sobie stróża polecając mu surowo, aby przepuszczał tylko „porządne osoby”. Rzecz w tym, że pasaż upodobały sobie wesołe dziewczynki urządzając tu polowania na przyjezdnych (niedaleko Dworzec Fabryczny). Na cześć owych dziewcząt skomponowano nawet popularną przyspiewkę:

„A w pasażu Meyera!
panna szuka frajera!”

Dopiero w 1900 r., gdy widmo plaży rajzowało w oczy panu Meyerowi, oddał swą ulicę najpierw w użytkowanie, a potem na własność — miastu: pasaż Meyera został udośćpiony przechodniom i pojazdom.

Ulica Drewnowska zyskała swą nazwę od Piotra Drewnowicza, burmistrza Łodzi w latach 1793—1801, ulica Podrzeczna od przepływającej w tym miejscu rzeczki Łódki, ulica Cegielniana (dziś Jaracza) do 1821 r. nazywała się ulicą „Pod Cegielniami”, znajdowały się tu bowiem pierwsze miejskie cegielnie, a ul. Czerwona — od znajdującej się tu farbiarni „*czerwień tu-reckiej*”, wypuszczającej na cały świat słynne ze swej jakości tkaniny purpurowe. Farbiarnię w r. 1828 zakończył Jan Traugott Lange.

Najstarszymi ulicami łódzkimi, które za trzy dziesiątki lat obchodzić będą 200-lecie istnienia, są: Zgierska, Wojska Polskiego (Brzezińska), Kościelna, Wolborska, Stodoliniana, Drewnowska, Podrzeczna. Istniały już przed 1821 rokiem.

Zabierając się do jego felietonu wspomnieniowego wyszperałem spis wszystkich ulic łódzkich z 1938 r. i obliczyłem, na 157 ulic do wojny zmieniono nazwy aż 34 ulicom!

Zniknęły piękne, często poetyckie nazwy... Zgierska nazywała się kiedyś Cygańska, tedy ciągnęły do miasta kolorowe tabory wspaniałych nomadów, którzy tu się osiedlali. Zielony Rynek był Rynkiem Wiazowym, Wolborska miała historycznie uzasadnioną nazwę Wólka, Kątna znana była jako Kąta, Lutomska była Jagodnicą. Śladu nie zostało po pięknie brzmiących nazwach: Złote Wesołe, Młyn Wójtowski, Lamus, Holendry, Karkoczek, Pogorzal, Pomiar, Powłóczki, Lipinki... Nawet no wywołaniu ulice Kamienna, uwieczniona walkami z zaborną w 1905 r. i w poezji (Tuwim, Kwiaty polskie) przezczczono na Włókiennicza. Dlaczego? Ano bo w okresie międzywojennym przy ulicy tej prosperowało wiele domów publicznych, więc nie wypada, sami rozumiecie, taki afront dla lokatorów...

Zmieniano nie tylko nazwy ulic.

— *Więc chce pan zmienić nazwiska? —* sprzął urzędnik penta w jedwabnej kaptocie, mąskiego nerwowo jarmulke w ręku.

— *Tak jest...*

— *Jak się pan nazywa?*

— *Dębowski.*

— *A jakie nazwisko chce pan przybrać?*

— *Sosnowski...*

— *Nie rozumie... —* urzędnik zrobił duże oczy. — *Czy Dębowski to niedobre nazwisko?*

— *Bardzo dobre, ale widzi pan, to jest tak. Jak mnie się pytają jak się nazywam, to ja mówię Dębowski. A przedtem. To ja muszę powiedzieć prawdę: Mimoszundst. A tak, to ja będę się przedstawiał Sosnowski. A przedtem? Przedtem — Dębowski...*

O ile ta zmiana miała określony cel i jakiś sens, to nazwy ulic łódzkich przed wojną i niestety w latach późniejszych zmieniano bezkrytycznie, głupio. Przecież z każdą taką nazwą związany jest fragment dziejów miasta. Nazwy ulic mówią o czasach zamierzchłych, gdy Łódź z małej osady przeistaczała się w znaczny ośrodek przemysłowy. Mówią o tradycjach, zwyczajach, o ludziach, którzy odegrali pionierską rolę w budowie grodu. O jego powiązaniach terytorialnych z przyległymi miejscowościami.

Łódź się rozrasta, urbanizuje. Powstają nowe ulice. Jedną z nich proponuje nazwać — *Bezmyślność*. I osiedlać tam tych wszystkich, co tak bez troski obchodzą się z pamiątkami związanymi z powstaniem, rozwojem i historią miasta.

Wspominam Łódź sprzed pół wieku

W Radzie Miejskiej i na wynos

ADAM OCHOCKI

cieli firm wyrażał zgodę na zareklamowanie go w „numerze specjalnym”. Deklaracje do podpisu wysłałem gońcem lub pocztą, jakoś głupio mi było pałętać się po kantorach firm. Raz przecież zrobiłem wyjątek i dobrze na tym wyszedłem, że wyszedłem z redakcji...

Adolf Horak, prezes zarządu i właściciel zakładów włókienniczych w Rudzie Pabianickiej (wybudowanych z fundusów baptystów), nie widział potrzeby reklamy; inletry z jego fabryki znane były z doskonałej jakości w kraju i za granicą. No dobrze, inletry inletemi, ale jak przepuścić taką nadzianą firmę?

— *Panie prezesie, wobec tego zróbmy inaczej. Wiedzę pańską fabrykę i napiszę reportaż o nowoczesnych urządzeniach, damy to na całą stronice ze zdjęciami. Pan zapłaci wydawnictwu jak za ogłoszenie, wtedy nikt nie będzie mógł nic zmienić w tekście. I ja będę w porządku, bo przecież nie mnie pan da pieniądze...*

Propozycja przypadła prezesowi do gustu, moi szefowie byli wniebowzięci: taka cała stronica kosztowała tysiąc złotych (tyle wynosiły miesięczne zarobki dwóch średnio zarabiających dziennikarzy). Najbardziej jednak ja się cieszyłem — poza prowizją wypłacono mi jeszcze tytułem premii wierszówkę.

Do „numeru specjalnego” dostarczyłem szefom ogłoszeń za kilkanaście tysięcy złotych i podreperowałem nieco swą kieszę.

Wyruzuty sumienia jakoś mnie nie dręczyły. Rozgrzeszyłem się całkowicie, wyniuchałem bowiem, że castronowice ogłoszenia Rzeźni Miejskiej, Dojazdówce, Kolei Elektrycznej Łódzkiej, Gazowni, Elektrowni itd. załatwiali dwaj moi starsi koledzy redakcyjni... członkowie Syndykatu Dziennikarzy. Mieli w tych instytucjach platne referaty prasowe. Dla uniknięcia draki deklaracje podpisali za nich pracownicy biura ogłoszeń, którym odpalili jakąś dołę.

Jeszcze głębsze refleksje wywołał we mnie potop ogłoszeń włoskich towarzystw asekuracyjnych w całej polskiej prasie — bezpośrednio po tym jak przedstawiciele sanacyjnej Polski, jako pierwszego w świecie państwa, uznali w Genewie podbój Abisynii przez kohorty Mussoliniego.

„Numer specjalny” nie na długo wspomógł mój budżet. Powtórzenia premiery rychło nie mogłem się spodziewać. Numery takie wydawałyśmy raz do roku, a ja miałem taki cudaczny żolałek, co domagał się strawy codziennie. Permanentna akwizycja nie uśmiechała mi się. Mierziła mnie perspektywa pętania się po firmach i firmkach. Odrożyłem zatem bloczek z formularzami ogłoszeniowymi i wróciłem do codzienniej sieckiej dziennikarskiej.

Informatorzy z drugiego końca przewodu telefonicznego często odprawiali mnie z kwitkiem. Mój pierwszy szef, redaktor Stanisław Jasiński z „Polpressu”, miał rację: przez telefon najłatwiej się odmawia. Nastawiłem się na minireportaże z miasta. Tu nie musiałem nikogo maglować o wiadomości, poza tym to się i pisało i czytało lepiej, a zatem szanse ukazania się w druku były większe.

Chętnie składałem wizyty w bezpłatnych kuchniach dla bezrobotnych. Można tam było podpatrzeć życie na gorąco, otrzeć się o nędzę ludzką i podzielić z czytelnikami wrażeniami. Miaso nie mogło sobie pozwolić na sfinansowanie tych przybytków, potrzeby były olbrzymie, środki znikome. Odwołano się do społecznej ofiarności. Na rzecz zredukowanych pracowników fizycznych opodatkowały się instytucje i prywatni ofiarodawcy. W gazetach, na ulicach, w tramwajach pojawiły się slogany i hasła o miłości bliźniego, o gorących sercach, które „zwalczą mroź”, ogrzeją bliźniego i osuszą łąz.

dzieci bezrobotnych. Rodzice wstydzili się tu przychodzić, jakby to oni byli winni temu, że ich zredukowano, że do określenia „pracownik umysłowy” życie dorzuciło im jeszcze jedno: bezrobotny.

Kuchnię dla pozostających bez pracy inteligentów prowadził p. Wróblewski, były kucharz „Teatralnej”, elegancki, elitarnego lokalu gastronomicznego. „Wróbel” bezrobotnych karmił obiadami, a nas... ploteczkami, miał ich zawsze mnóstwo.

— *Widzi pan tego gościa w czarnym palcie koło okna? Panie, jakie pieniądze miał ten facet! Co wieczór przychodził do „Teatralnej”, zamawiał najdroższe frykasy i trunki. A dziś? Raz zupka z chlebem i mielony kotlecik z jarzynką!*

Koleje losu sprowadziły tu zamożnego ongiś kupca, właściciela dobrej prosperującego składu win i wódek oraz czynszowej kamienicy. Pod wpływem niepowodzeń materialnych staczał się coraz niżej, wreszcie przepił swój interes. Kamienica, aż został bez środków do życia z żoną i dziewięciorgiem dzieci. W drodze wyjątku przyznano mu cztery bezpłatne obiady. Odbierało je najmłodsze dziecko, a w domu cztery porcje dzielono na jedenaście...

Siarczyste mrozy dokuczały wszystkim. Dla mnie bywały zbawieniem. Gdy zawodził golfstrom, „*kapryjer Europy*”, gdy rękę w termometrach gwałtownie spadała, automatycznie rosła moja wierszówka. Bo jaki redaktor nie zamieści opisów przepolawianych mrozem drzew (jak siekierą!), rozszadzanych nimb dynamitem rur wodociagowych, dramatycznych scen na cementarzu, gdy nie można było rozkopać skamieniałej ziemi, by pochować nieboszczyka wędrowek „*kiciarzy*” za wozami z węgłem, stacjonujących ze sobą regularne boje o czarne grudki, zbierane również do teczek przez panów w paltach i kapeluszach?

Nic nie trwa wiecznie. Po luty mrozach przychodziła wiosna, osuszająca źródła tematów. Przyroda budziła się do życia, rozkwitały pąki i miłość, poeci pisali wiersze, a my, reporterzy, musieliśmy łamać sobie głowę nad znalezieniem innych, niezależnych od pory roku tematów.

W takich jałowych okresach chętnie sięgałem do przeszłości, do dawnych dziejów miasta. A jeśli dawne dzieje — to oczywiście ulice, ich powstanie, zapomniane nazwy. To zawsze chętnie czytano. Tym bardziej dzisiaj niejedna informacja z historii ulic łódzkich zaskoczy czytelnika.

Czy wiecie, że ongiś wszystkie przecznice Piotrkowskiej miały jednakową nazwę po obu jej stronach, na całej swej długości? I tak dzisiejsza Zielona nazywała się Dzielna, bo stanowiła naturalne przedłużenie ul. Dzielnej (Narutowicza), a nazwano ją tak, ponieważ dzieliła dwie osady. Tak samo jedną ulicą były Przejazd (Tuwima) i Andrzeja, a także Wigury i Zwirki. Rozdzielona je dopiero w r. 1873.

Nazwy ulic łódzkich przez długie lata były zakonspirowane. Znali je rewirowi, stróże, właściciele domów i ci, co przy tych ulicach mieszkali. Dopiero w r. 1888 na skrzyżowaniach przybyłano polakierowane na kolor granatowy tablice z lanego żelaza z nazwami ulic w języku polskim i rosyjskim. Numerację domów, wzorem stolicy, ulice łódzkie otrzymały w 1900 roku, przy czym numery domów na wszystkich przecznicach Piotrkowskiej — od niej brzoł początek. Jak było przedtem? Ano istniały tylko numery hipoteczne, toteż nasi przodkowie zapraszają się do siebie mówili: „*Racz nas pan odwiedzić, mieszkać na Głównej w domu pana Gottlieba*”, albo „*Vis a vis hotelu Victoria*”,

Pieniądże odgrywają w sporcie dużą rolę; za oglądanie imprez sportowych widzowie muszą płacić, niezawodowi zawodnicy pobierają wynagrodzenia w brzojęcej monetcie, a różne firmy wspierające sport w zamian za pieniądze uzyskują coraz większe wpływy. W amatorskim ruchu sportowym pieniądze zawsze były sprawą kontrowersyjną a nawet wstydlivą, ponieważ zlem koniecznym. W ostatnich latach, być może dlatego, że sport stał się w znacznym stopniu również biznesem, na sprawy te zaczęto patrzeć z mniejszą hipokryzją. Problemem sportu i zjawiskom towarzyszącym jego rozwojowi Michel Castaing poświęcił cykl artykułów na łamach LE MONDE.

NIE MA JUŻ LIPNEGO AMATORSTWA

Sześć milionów dolarów — tyle właśnie zarobił John McEnroe w jednym tylko 1984 roku. Niesłychane: 160.000 — 170.000 franków francuskich dziennie! Nawet jeżeli amerykański fiskus natychmiast interweniuje, to i tak pierwszemu tenisistce świata pozostają nie garście, ale całe naręcza dolarów. A McEnroe ojciec, biegły w sprawach finansowych adwokat z Wall Street, lepiej niż ktokolwiek potrafi zarządzać fortuną swego marnotrawnego syna.

Zapewne, jest tylko jeden John McEnroe, ale w czasach kryzysu, jaki ogarnął cały świat, suma ta może przyprawić o zawrót głowy. Co za dużo to niezdrowo. Prezes Francuskiego Komitetu Olimpijskiego i Sportowego (CNOSF) nie jest jedynym, który przepowiada, że tenis zawodowy pewnego dnia padnie ofiarą własnego braku umiaru i będzie leżał jak diabeł.

"Szybciej, wyżej, dalej!" to olimpijskie hasło da się zastosować również do spirali pieniędzy, która winduje dziś niektóre dyscypliny sportowe (od tenisa przez narciarstwo, żagle, sport samochodowy i piłkę nożną po golf), podczas gdy inne, również szlachetne (atletyka, pływanie, wioślarstwo, gimnastyka, dźdu, szermierka itp.) też nie ograniczają się już do oferowania swym mistrzom „wspaniałych dzieł sztuki". Taki np. Carl Lewis może żądać 10.000 dolarów za mityng — mimo wszystko drogo każdemu sobie płacić za każdy krok! — chociaż w wypadku tego czterokrotnego złotego medalisty z Los Angeles, który uczestniczył zaledwie w 5 poolimpijskich spotkaniach, pokusa zysku nie wydaje się głównym motorem działania.

Nie trzeba się łudzić; w 1985 roku nikogo już naprawdę nie szokuje to, że jakiś sportowiec ciągnie korzyści ze swego talentu, niezależnie od tego, czy jak w krajach wschodnioeuropejskich jest on na etacie państwowym, czy też jak gdzie indziej ma status zawodowca lub amatora.

Nie ma już lipnego amatorstwa; jeżeli nawet nadal obowiązuje zakaz brania pieniędzy za udział w Igrzyskach Olimpijskich, to nie już nie stoi na przeszkodzie, by oficjalne instytucje otwarcie wynagradzały swych mistrzów. Tak np. francuscy laureaci z Los Angeles pobrali z kredytów pozabudżetowych przyznanych Krajowemu Funduszowi Rozwoju Sportu (FNDS) 100.000 franków za złoty medal, 50.000 franków za srebrny i 30.000 franków za brązowy.

Określenie „sport amatorski" zniknęło z karty olimpijskiej przy okazji letnich igrzysk w Monachium w 1972 roku i, wbrew uporczywej legendzie, baron Pierre de Coubertin nie słubował niewinności. Zapewne, odnowiciel Igrzysk, który był przede wszystkim humanistą, twierdził: „Pracowaliśmy nie po to, aby zyskiwały na tym jakieś interesy merkantylne lub wyborcze". Ale zapewniali także: „Amatorstwo to stara mumia, którą okresowo wyciąga się z lamusa. Tym, co się liczy jest nastroj". Jeżeli nawet tacy ludzie, jak Guy Druet, czy Ingemar Stenmark, zostali ukarani, to tylko dlatego, że za dużo powiedzieli, albo że dużo zrobili...

Międzynarodowa Federacja Lekkoatletyki (IAAF) podczas kongresu w Atenach w 1982 r. zezwoliła — art. 17 — na otwarcie „kont" dla zawodników; w poszczególnych krajach kontami tymi zarządzają władze związku krajowego. W praktyce jednak, co potwierdza dyrektor administracyjny Federacji Francuskiej, Pierre Weiss, honorarium, którego wysokość została wynegocjowana z mistrzem, jest wypłacane z ręki do ręki przez każdego organizatora mityngu, w gotówce i w dolarach.

Nawet jeżeli decyzja podjęta przez IAAF jest obwarowana zdecydowanie rygorystycznymi rozporządzeniami, to i tak jest ona równoznaczna z oficjalnym uznanieniem: zawodnik może otrzymywać pieniądze. Odległe są już czasy, kiedy chcąc uniknąć gniewu zmarłego w 1975 roku amerykańskiego prezesa Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, Avery Brundage'a, zawodnikowi wolno było przyjmować wynagrodzenie tylko w naturze: Michel Jazy np. zabrał w ten sposób nieliczną kolekcję sprzętu gospodarstwa domowego.

ZAMKNIĘCI W SOBIE

Tak więc w sprawie samej zasady nikt się już nie oburza; wraz z rozwojem środków audiowizualnych, sport stał się w 100 proc. widowiskiem, które porywa ogromne audytoria — prawie 2 miliardy widzów pasjonują się letnimi igrzyskami olimpijskimi czy Pucharem Świata w piłce nożnej, będącymi niejako „uniwersalnymi" zawodami. Przy wsparciu środków przekazu i agentów od reklamy sport ściągają wielkie tłumy, oczywiście, o ile spektakl jest tego wart: w Los Angeles rozprzedano 87 proc. miejsc i, w ostatecznym rozrachunku, amerykański komitet organizacyjny osiągnął zysk w wys. 150 mln dolarów, które potem rozdzielili.

Od tego czasu nie wydaje się już rzeczą gorsząca to, że artyści bieżni czy boiska są wynagradzani tak jak artyści sceny czy ekranu, zwłaszcza, że z oczywistych względów fizjologicznych długowieczność sportowców jest mniejsza: kariera wyczynowa rzadko trwa dłużej niż 10 lat, o ile oczywiście nie przemknęła jak meteor po niebie chwały. W miarę rozwoju techniki i coraz większej konkurencji,

coraz mniej będzie takich zawodników jak Raymond Poulidor — z wyjątkiem, być może, kilku mniej wyczerpujących dyscyplin, jak golf czy jeździectwo. Mistrz musi więc bardzo wczesnie zacząć myśleć o tym, co będzie, jak zakończy karierę, to jest o swym ustawieniu się (a nie powrocie do dawnej pozycji — zwraca uwagę prezes CNOSF) społeczno-zawodowym.

Co powiedziawszy, trzeba stwierdzić, że stosunki między sportem a pieniądzem rozwijają się pod znakiem nierówności, niesprawiedliwości i dysproporcji. Podbijanie cen — nikt nie będzie się temu dziwił — przychodzi ze Stanów Zjednoczonych. W 1984 roku między 22-letnim Steve Youngiem a klubem Express z Los Angeles został zawarty najbardziej nieprawdopodobny kontrakt, do jakiego kiedykolwiek doszło w sporcie drużynowym, w tym wypadku chodzi o futbol amerykański: 42 mln dolarów. Suma zawrotna a kontrakt równie oryginalny; pieniądze mają być wypłacane stopniowo aż do roku 2027, kiedy to Steve Young będzie miał 65 lat i oczywiście od dawna już nie będzie grał. Ale ten młody zawodnik może

Sport i pieniądze

przynajmniej spokojnie czekać na wiek emerytalny.

Inne kontrakty, prawie równie wysokie, podpisał w ubiegłym roku koszykarz Earving „Magic" Johnson (23 mln dolarów w ciągu 23 lat), baseballista Dave Winfield i hokeista Kanadyjczyk, Wayne Gretzky (21 mln dolarów w ciągu 10 lat).

Przy tak obłądnych sumach niewiele brakuje, a człowiek zaczyna się lutować nad kierownicami Formuły 1, narciarstwa i narciarskimi „białymi cyrkami" oraz elitą golfa. Jest to, oczywiście, żart; nawet jeśli prezes międzynarodowej i francuskiej federacji sportu (samochodowego) Jean-Marie Balestre uważa, że jego dyscyplina „nie jest sportem bogatym, lecz sportem kosztownym", wirtuozii jednoosobowych samochodów nie żyją przecież na poziomie minimum socjalnego. Ograniczają się do jednego przykładu: Alain Prost zarobił w 1984 r. 18 mln franków. Są to tylko dane szacunkowe: ludzie związani z Formułą 1 dostownie i w przenośni tworzą obwód zamknięty i bardzo trudno dotrzeć do finansowych tajemnic asów kierownicy. Kiedy ich się o to nagabuje, kierownicy wysycigolw zamykają się w sobie, albo stają dęba całą mocą swych koni mechanicznych. Wydało się jednak prawdopodobne, że taki Niki Lauda musi zarabiać w ciągu roku tyle, ile John McEnroe zgarnie w ciągu półroczka, nie ma natomiast absolutnie żadnego porównania między ryzykiem fizycznym, na które są narażeni obaj mistrzowie. Wszystko jest więc względne...

IGRZYSKA OLIMPIJSKIE DOSTĘPNE DLA WSZYSTKICH

To samo prawo zatenowanego milczenia panuje za kulisami „białego cyrku". Być może dzieje się tak tylko ze względów podatkowych; różnica między deklarowanymi sumami a rzeczywistymi dochodami jest bowiem tak wielka, jak między widzialną i niewidzialną częścią lodowca. Mówi się, że Perrine Pelen zarobiła w 1984 roku 500.000 franków.

Podobnie jest w piłce nożnej: Michel Platini oficjalnie zarabia w turyńskim Juventusie 2 mln franków rocznie. Suma ta nie obejmuje premii za mecze, kontraktów reklamowych, emisji telewizyjnych i innych wpływów, a właśnie to wszystko bardzo się liczy. Wobec tego, że stał się jedną z gwiazd, a być może po prostu gwiazdą światowego futbolu, oczywiście dzięki swemu talentowi, Michel Platini jest idealnym przykładem „mgławicy", jaką jest sport-biznes.

Krótko mówiąc, przybytkom sportu daleko jeszcze do skłanych przejrzyści domów, chociaż się w nich coraz więcej różnych kupców i pośredników i to mimo podejmowanych tu i ówdzie, w szczególności przez władze olimpijskie, wysiłków w celu wyjaśnienia sytuacji. Przewodniczącą MKOl, Juan Antonio Samaranch stopniowo kładzie kres hipokryzji, aludując pod płócioma kórkami olimpijskiego sztandaru znanych zawodowców: gdyby francuska drużyna piłki nożnej składała się wyłącznie z amatorów, to nigdy nie zdobyłaby w Los Angeles tytułu. I można przewidzieć — dialecko nie miałyby to nastąpić przy okazji 100 rocznicy wzniesienia Igrzysk, przypadającej w 1996 roku — że pewnego dnia Igrzyska Olimpijskie, na wzór Pucharu Davisa, będą dostępne dla wszystkich.

Jednakże wciąż jeszcze pozostają rozległe strefy cienia, tym razem poza Igrzyskami; dotyczą one przede wszystkim transferu zawodników w sporcie drużynowym: jeżeli sport amerykański, mimo swego braku umiaru, może być wzorem, to właśnie dlatego, że za Atlantykiem starają się wszystko wykładnąć na stół, a nie ukrywać pod kocem.

DIABELSKI TRÓJKĄT

Sportowa Europa nie dojrzała jeszcze do takiej mentalności: Stary Kontynent nie może rywalizować jeśli chodzi o sumy milionów dolarów, natomiast robi się tu ze wszystkiego tajemnicą, a takie nastroje prowadzą do smutnych historii, jak np. sprawa „lewej kasy" z Saint-Etienne. We Włoszech, w Jugosławii, w Belgii wybuchły podobne skandale. Ale nie došlo do nich w Stanach Zjednoczonych, gdzie — o ile nam wiadomo — nigdy nie było sportowego Watergate.

Im niżej schodzi się w Europie w hierarchii wartości, tym więcej jest małych tajemnic. Wstydlivą jak wsiadająca na rower staruszka, lider kolarskiego Tour de France chętnie ukrywa „listy płac", a wypłaty nie są znów tak bardzo oszalałymi, chyba że należy się do zwycięskiego zespołu: należy do tradycji, że zdobywca złoty koszulki oddaje zarobki swym 9 kolegom z drużyny. Tak np. w ubiegłym roku partnerzy Laurenta Fignona oficjalnie podzielili między sobą ok. 300.000 franków, a zwycięzca „wielkiej pętli" — podobnie jak reszta czołwki — miał zagwarantowany udział w ok. 30 kryteriach po co najmniej 40.000 franków każde. Ale w takich pokazowych rundach lider zbiera mimo wszystko nie tylko drobne kwoty.

Jednakże między nim a Johnem McEnroem rozciąga się cały ocean złota, podobnie jak morze pieniędzy dzieli Alaina Prosta od Bernarda Hinaulta. Jak np. w boksie można porównywać Marvin'a Haglera z tymi wszystkimi, którym siła pięści udaje się zaledwie zarobić na kawałek chleba? Czarny pięściarz amerykański otrzymał oszałamiającą sumę 5,5 mld dolarów — ponad 43 proc. wpływów — za swa ostatnią „walkę stulecia" (uczestniczył w wielu takich walkach) zorganizowaną, jak należy, w Las Vegas. Z pewnością, jest gwiazdą ringu, ale za taką cenę wielu byłoby skłonnych ścierpieć wszystko — jest to właściwe słowo — wolałoby raczej to niż zabawę w wojsko w drubobu zimowym.

Nierówność: obo — zostało to już powiedziane — określenie charakteryzujące relację sport-pieniądże. Mody gwiazdy, entuzjazm publiczności, widowskowie dyscypliny; oczywiście głównie za ich sprawą tak się dzieje. Jednakże tym, co sprawia, że jedno wydarzenie wydaje się bardziej fascynujące niż inne, tym co wprowadza mistrzów sportu na piedestał albo ich z niego sprowadza, jest diabelsko zręczny trójkąt: reklama, patroni i środki audiowizualne.

TELEWIZJA MA WSZYSTKIE PRAWA

Takim zawartym w tytule stwierdzeniem rozpoczyna autor swój wywód. Przede wszystkim ma prawo placenia organizatorom imprez sportowych, które transmituje. Rzecz urosła do przegromnych rozmiarów, większych nawet niż namiętność jakie wzbudza sport. Naturalnie, gigantyzm w tych sprawach przyszedł ze Stanów Zjednoczonych.

Dzika przepychanka, w jaką co rusz wdają się trzy wielkie amerykańskie sieci telewizyjne (ABC, NBC i CBS), aby wydrzeć sobie wyłączność, z biegiem lat zdumiewająco podbiła ceny na tej licytacji. Dzień w dzień dochodzi między nimi 60 walki w porównaniu z którymi to co się dzieje na aukcjach roczników, w Deauville jest tylko parafialną loterią fantowa.

W ciągu 8 lat (1976—1984) cena placona za transmitowanie Olimpiady wzrosła z 34 do 231,5 mln dolarów (+687 proc.). W tym samym okresie koszt prawa transmitowania Zimowych Igrzysk Olimpijskich podskoczył z 1,6 do 102,4 mln dolarów (+6311 proc.). A ponieważ „biały cyrk" olimpijski ze swymi głównymi przybudkami (hokej na lodzie, łyżwiarstwo figurowe) w lutym 1984 roku będzie się odbywał na terytorium północnoamerykańskim, w Calgary (Kanada), ABC — doprowadzając swymi działaniami do tego, że podkoczyły wszystkie barometry inflacji — uzyskała dla siebie wyłączne prawo transmitowania tej imprezy za sumę 309 mln dolarów. Jest to trzy razy więcej niż placono w 1984 roku w Sarajewie.

Przedtem CBS zagarnęła dla siebie rynek futbolu amerykańskiego, zawierając na 5 lat (1982—1988) rekordowy kontrakt obejmujący na sumę 2 mld dolarów. W tych czasach kryzysu takie liczby mogą przyprawić o mdłości, albo o zawrót głowy. Co prawda, jedna godzinna transmisja sportowej kosztuje 6 razy taniej niż realizacja godzinny spektaklu teatralnego.

We Francji wszystko ma o wiele skromniejsze wymiary: stosunki między piłką nożną, a telewizją nigdy nie układały się dobrze, a każda ze stron regularnie występowała przeciwko wymaganiam strony przeciwnej; w ostatnim sezonie francuska TV-1 podpisała kontrakty zaledwie na sumę 10 mln franków. Jednakże wraz z odnową „jednostki" w barwach narodowych i pojawieniem się „Canal Plus", który podpisał kontrakty na transmitowanie 25 meczów, po 320.000 franków każdy, administrator generalny pierwszej ligi piłkarskiej, Jacques Thebaud przepowiada „wrażną poprawę" finansową, rzecz oczywista, w następnych latach.

PLATNICZY I DECYDENCI

Telewizja ma wszystkie prawa: te, za które płaci i te, do których z tego tytułu zgłasza roszczenia. W niektórych wypadkach placący nie chcą być tylko doradcami, chcą także decydować. Telewizja, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, jest pewna siebie i władza, jest bowiem świadoma ogromu swej władzy — nad tym nie ma potrzeby się rozwodzić — współczesnej fascynacji widowskiem sportowym, stale rozszerzającego się kręgu kibiców, którzy głośno oklaskują oraz wyrachowanej namiętności speców od reklamy. Do tego stopnia, że pewnego dnia TV być może będzie w stanie

sama zabić kury znoszące jej złote jaja, czyli bożyszcza stadionu.

Świadczą o tym chociażby rozmowy, jakie toczyły się między ABC z jednej strony a Międzynarodowym Komitetem Olimpijskim i międzynarodowymi federacjami z drugiej w sprawie transmisji Olimpiady z Seulu. Amerykańska sieć telewizyjna zaproponowała interes — od 600 mln do 1 miliarda dolarów, to jest dwukrotnie, a nawet trzykrotnie więcej niż w Los Angeles, pod jednym ewidentnie drakońskim i nie do przyjęcia warunkiem: żądała mianowicie, aby wystarczająco dużo finałów atletycznych, pływackich i gimnastycznych itp. rozgrywano tak, aby — uwzględniając różnicę czasów — Wujek Sam mógł swoje ulubione konkurencje oglądać bezpośrednio i nie w szlafnocy. W przeciwnym razie ABC miała o połowę obniżyć swą ofertę.

W ostatecznym rachunku wszystkie zainteresowane federacje międzynarodowe zgodziły się, aby finały zaczynały się od godz. 12.00. Z wyjątkiem finałów w lekkiej atletyce, które będą się odbywały wczesnym popołudniem, ABC zapłaci 750 mln franków.

Eurowizja nie jest bynajmniej bardziej w tych sprawach niewinna: na skutek jej nalegań Międzynarodowa Federacja Piłki Nożnej (FIFA) zgodziła się zaprogramować na przedpołudnie niektóre spotkania w ramach Pucharu Świata 1986 w Meksyku, tak aby Stary Kontynent mógł się bezpośrednio podłączyć w godzinie wieczornego aperitif. Grać w piłkę nożną w południe, w samym środku czerwca, w Meksyku, na wysokości 2.250 m, to czyste szaleństwo!

Pogarda dla zawodników i widzów, uprzejmość dla telewizorów. Mój odbiornik to rzecz święta... Nawet kacykowie z Wimbledonu ujęli się przed NBC, zrywając z odwieczną tradycją: finały słynnego turnieju tenisowego od 1982 roku odbywały się w niedzielę.

Bywa jednak, że nie uwzględnia się tak bez rezerwy upodobań telewizorów. Tak np. sondaż przeprowadzony w 1980 r. przez I kanał francuskiej TV — od tego czasu moda mogła się jednak zmieścić — ujawnił, że pod wpływem kobiecej części widowni, we Francji najbardziej oglądaną dyscypliną była jazda figurowa na lodzie, która uzyskała 75 proc. odpowiedzi pozytywnych, przed gimnastyką (65 proc.), narciarstwem (59 proc.), lekkoatletyką (57 proc.), kolarstwem (55 proc.), piłką nożną (54 proc.), pływaniem (52 proc.) i tenisem (43 proc.). A jednak, według przeprowadzonego w 1982 roku przez służbę śledczą programu audiowizualne sondażu, I kanał francuskiej TV i Antenna-2 godzinowo wyraźnie preferowały tenis i piłkę nożną, które pod względem liczby godzin transmisji znacznie wyprzedzały kolarstwo, lekkoatletykę, rugby, sport samochodowy, łyżwiarstwo figurowe i narciarstwo.

KRÓLEWSKIE PROWIZJE

Itak telewizja, ale również jak tenis. Sprawa na czasie: Wimbledon po turnieju na kortach Roland-Garros Przez cały czas turniejów o Grand Prix Federacji Międzynarodowej — było ich 73 w 1985 roku, a łączna suma nagród wyniosła 16 mln dolarów — bierze się prawie zawsze tych samych zawodników i zaczyna się od początku. Ale to się podoba, właśnie to popiaca. W Porte d'Autueil — mówi zastępca dyrektora kortów Roland-Garros, Hervé Dutreil — obroty osiągnęły w ostatnich dwóch tygodniach 60 mln franków, z czego połowa w banknotach (14 tys. platnych miejsc na jednym korcie centralnym), a druga połowa w reklamie i w honorariach telewizyjnych. Zwycięstwo w finałach gry pojedynczej panów przyniosło Matsowi Wilanderowi sumę 1.338.200 franków.

Gwiazdy tenisa są globotroterami i nie mają czasu, a często także chęci, albo też po prostu nie potrafia, zarządzać swoim majątkiem. Robią to za nich inni. I tak, dwie wielkie firmy amerykańskie, International Management Group (IMG) oraz ProServ, załozone odpowiednio przez Marka McCormacka i Donalda Della — obaj są adwokatami posiadającymi dyplomy Uniwersytetu w Yale — konkurują ze sobą w dąpieniu do przyłączenia mistrzów tenisa, a także mistrzów innych dyscyplin sportowych.

Tak np. ProServ „napędza" Jimmiego Connorsa, Ivana Lendia, Yannicka Noaha. Jak wyjaśnia dyrektor generalny paryskiego biura ProServ, Philippe Pimpaneau, jego firma podejmuje się nie tylko negocjowania w imieniu zawodnika kontraktów z firmami sportowymi czy pozasportowymi, ale także prowadzi jego sekretariat, księgowość, wypełnia nawet jego deklarację podatkową...

Oczywiście nie świadczy tych usług bezpłatnie. Donald Dell pobiera od każdego kontraktu królewską prowizję w wys. 20—25 proc. W adresowanym do szefów przedsiębiorstw biuletynie ProServ bynajmniej nie kryje swych motywów działania, deklarując „pomoc w uzyskaniu maksymalnych zysków z patronatu zawodnika lub też z jego udziału w jakimś wydarzeniu". „Patronowanie — dodaje — jest czynnością dynamiczną; na wydarzenie w równym stopniu powinny się składać marka, gwiazda sportowa i sam sport".

Wyraźniej ująć tego nie można. Chyba, że się słucha Bernarda Tapie, który zapewnia: „Lepiej wydać 10 mln franków na drużynę, która została mistrzem świata, niż milion franków na jakiś zespół trzeciej ligi". Ten wielki „wskrziesiciel trupów" (przemysłowych), człowiek interesu, Francuz, który „przywrócił do życia" Bernarda Hinaulta wraz z jego grupą La Vie Claire (ma teraz równoważny budżet w wysokości 20 mln franków rocznie) i który wprowadził z trudności finansowych firmę Leek (wiązania do nart) świecie wierz w moc bożyszcza stadionu. „Kiedy jest się dobrym, zawsze przyciąga się tłumy. A kiedy jakiś mistrz wychwala zalety takiego czy innego produktu, ludzie mu wierzą". I dodaje: „Kiedy Renault użyskiwał wyniki w formule 1, widnie przedsiębiorstwa nigdy nie pytały, ile to kosztowało".

CDN.

— Ja bym powiedział, że zrobiliście krok do tyłu. Cele dla obłąkanych stosowano już w dziewiętnastym wieku.

— Cóż? — Anneliese określiła się na pięcie i teatralnie zlustrowała pokój. — Dlaczego cęla?

— Dlatego, że jestem tu więziony.

— Aj — jej dłoń znów powędrowała ku jej piersi. — To nieporozumienie. Nikt cię tu siłą nie trzyma. — Szturchnęła mnie w ramię. — Możemy cię wypisać w każdej chwili. Jeżeli chcesz, zaraz zawiadomię ordynatora...

Przerwałem jej.

— Te drzwi otwierają się z zewnątrz, prawda? Trzymacie mnie stałe pod kluczem. Dopiero po tygodniu dowiaduję się o ciebie, że siedzę tu z własnej woli.

— Myślałam, że Myrna ci o tym mówiła — Anneliese sprężyła pomaszzerowała w głąb pokoju, ominęła tapczan i stanęła przy stoliku nocnym. — Popatrz. Tym czerwonym guzikiem włącza się radiofonie wewnętrznej. Wystarczyło go przycisnąć i powiedzcie, że chcesz stąd wyjść. W ciągu kwadransa znalazłbyś się za bramą.

Nagle uświadomiła mi się przedmowa taka, jaka jest naprawdę — nie ta ekstrawagancka dziewczyna w jaskrawoczerwonych spodniach i w kanarkowym, rozciągniętym swetrze, wścibska, egzaltowana i nieco bojaźliwa, ale energiczny konował w spodniach, który rozkazem, gestem i szturchaczkami zaprowadza porządek wśród biednych wariatów. Potem to wrażenie osłabło. Anneliese wetknęła ręce do kieszeni kity i spytała:

— Mam zawiadomić ordynatora?

Było w tym pytaniu rozczarowanie, zniechęcenie i wzgarda. Anneliese dawała mi do zrozumienia, że wyznaczyła mi doniosłą rolę, ale ja nie stanąłem na wysokości zadania, więc spisuje mnie na straty. Zraniło to moją męską ambicję. Nie mogłem pozwolić, żeby mnie tak traktowano. Poza tym ona nadal kwiliła przy nocnym stoliku, niebezpiecznie blisko czerwonego guzika. Uważałem, że nie powinna go dotykać.

— Sam to zrobię — powiedziałem.

— Dobrze. Doktor Rettman jest akurat na miejscu.

Uwaga:

«Każy z nas ma swego anioła stróża. Kiedy ze Szkoły Lotniczej kierują cię do Ośrodka Kosmicznych Statków Zalogowych, twój anioł stróż już tam czeka na ciebie. Przechodzisz próby w komorze ciszy, on waruje pod drzewami. Odbytwałeś zlecony rejs — siedzisz w o-ka psychoanalizując swoje meldunki. Odczasz w stan spoczynku — przysyła do twojego domu swoich tajnych agentów, co w zakamarkach jaskrawoczerwonych spodni ukrywają strzałkawkę z paralizującym płynem. Trafiasz do Zakładu Rewalidacji Psychicznej — on już jest w nim ordynatorem, bo chytrze zmienił stanowisko.

Tylko na długi spacer do Parku Bohaterów anioł stróż pozwala ci pójść samotnie. Twoje prochy w urnie nie go nie obchodzą.»

XI

Doktor Rettman przyszedł do mnie ósmego dnia, w porze, którą mu wyznaczyłem.

Po wyjściu Anneliese Bragg wielokrotnie przysłałem nad nocnym stolikiem wpatrując się w czerwony guzik. W komorze ciszy wyłoczone pod tasterem litery tworzyły napis: STOP. W Zakładzie Rewalidacji Psychicznej, na moim nocnym stoliku nie było żadnego napisu, mimo to, a może właśnie dlatego myśl, aby przycisnąć ów guzik, napawała mnie lekciem. Wnęce kuchenną z kuchnią zlokalizowaną w piwnicach Zakładu łączyła osobna, niezależna sieć radiofonii wewnętrznej. W futrynie okienka dźwięku, oprócz mikrofonu i głośnika, zainstalowany był także guzik, także czerwony, lecz posługiwalem się nim bez obawy. Guzika na stoliku nocnym nie śmiałem dotknąć.

W notesie napisałem:

«Czekam na Rettmana jutro, zaraz po śniadaniu.»

Wyrywałem te kartkę i wsunąłem ją w szpary pod drzwiami.

Tego samego dnia po południu sporządziłem szkic swego lokalu. Zmierzyłem długość i szerokość pokoju oraz długość i szerokość wężki łazienkowej i kuchennej posługując się w tym celu własną stopą. Po przeliczeniu wyniku na jednostki miar układu SI okazało się, że pokój ma rozmiary cztery na cztery metry, każda zaś z wnek — dwa na dwa metry minus grubość przedzielnego je przepierzenia.

Nazajutrz rano postanowiłem jeszcze raz to wszystko zmierzyć za pomocą okładki dziennika. Okładka była tekstolitowa, z nadrukiem niemieckiej firmy „Hoechst”, i jej krótszy bok miał długość dokładnie taka sama jak rozstęp między moim kielikiem a palcem wskazującym, czyli 22 centymetry. Kleknąłem w kącie, by pomiar zacząć od rogu pokoju, i wówczas z bliska zobaczyłem powierzchnię tapety. Pokrywały ją aksamitne, gęste włoski w kolorze popielatym. Ściana była miękka i ugięła się w miejscu, gdzie opierałem o nią dłoń.

Wymierzyłem jej cios. Pięść odskoczyła od niej jak od tenisowej piłki. Na tej czynności przyłapał mnie doktor Rettman.

— Dzień dobry panu — powiedział, taktownie odwracając wzrok od kątów, w którym na kleczkach boksowałem ścianę. — Na swojej kartce nie podałeś pan podżyny, ale wydaje mi się, że chodziło o te porę.

Był bez kity, w spranej kurtce z trawlastego drelucha i w beżowych spodniach. Prawa ręka podparła łokieć lewej ręki, która skubała korniszek ucha, pochylając głowę, jakby zaskarżony perspektywa spędzenia reszty życia wśród wszystkich tych dewiatów.

Wstałem i odłożyłem na tapczan okładkę dziennika.

— Sprawdziłem pewną rzecz — bąknąłem. — Przyniosę panu krzesło z kuchni.

— To zbędne. Jeżeli pan pozwoli...

Przykucał przy stole imitującym drewno płyt, wybrał z niego trzy elementy i sprawnie zmontował z nich krzesło z wysokim oparciem.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Anastasis

JACEK SAWASZKIEWICZ

Było identyczne jak to kuchenne. Wąskie, ale solidne.

— Można z tego skleić także biurko — powiedział spoglądając wymownie w kierunku nocnego stolika, gdzie urządziłem prowizoryczny warsztat pisarski.

— Nie zamierzam tutaj zostać aż tak długo. W każdym razie wpięć muszę coś ustalić.

Doktor Rettman usiadł na zmontowanym przez siebie krześle. Znowu zbliżył się do rękusztowania i zaczął skubać korniszek ucha.

— Rozumiem — powiedział patrząc pod nogi. — Te elastyczne ściany.

— Nie odzywalem się.

— To spadek po moim poprzedniku — mówił dalej Rettman. — Facet był entuzjastą terapii Mority. Właśnie pan, w dwudziestym wieku leki zrewolucjonizowały psychiatrię i zakłady psychiatryczne przestały wrzeszcząc przypominać areszty z więziami ubranymi w kaftany bezpieczeństwa. Terapia Mority wyrosła na gruncie negacji bezkrytycznego stosowania lekarstwa. Wzoruje się na systemie Zen i dąży do naturalnego rozwoju w człowieku potrzeby akceptacji rzeczywistości. Ale mój poprzednik nadał tej terapii skrajną postać, w ogóle odrzucił całą farmakopeę. To zdawało egzamin w przypadkach neurastenii, nerwic lekowych czy natręctw, zwłaszcza że chorzy cierpiący na te zaburzenia są spokojni. Zdarzają się jednak pacjenci pobudzeni ruchowo, albo z rozmawianym osłupieniem katatonicznym. Te ściany miały im zastąpić chloropromazynę.

— Niech się pan nie wysila, doktorze. Na chwilę przerwał to skubanie ucha.

— Pan mi nie wierzy?

— Ani trochę.

— Więc? — poruszył dłoń, nieprzypadkowo wskazując kąt, w którym kilka minut wcześniej kleczałem pod ścianą.

— Jeszcze nie wiem — odparłem. — Ale dojdę do tego. Na razie zastanawiam się, po co mnie tu trzymacie. Chronicie Sterna?

— Kto to jest Stern?

Widowiec udawał durnia.

— Stern — wyjaśniłem — Max Stern to ten, co tydzień temu w moim domu podrygiwał na mojej żonie, na Leslie. Człowiek o dokładnie pięćset twarzy. „DELIMALE uczyni ją powolną twoją woli”. Zarządzała gwiazda reklamowy mimicznej.

Doktor Rettman podniósł się z krzesła i wolno podszedł do nocnego stolika. Stanął do mnie tyłem, przygarbiony nad białem. Nie wiedziałem, czy patrzy na mój warsztat pisarski, czy na czerwony guzik.

— Jest pan pewny — spytał — że to był Max Stern?

— Proszę?

— Dobrze mu się pan przyjrzał, panie Cesara? Mówię o tym mężczyźnie, którego pobili pan wtedy w swoim domu.

— Wiem, do czego pan zmierza, doktorze. To się panu nie uda. Widzę pańską trajektorię. Chce mnie pan zbić z tropu.

Rettman odchrząknął.

— Przeprowadził pan w kosmosie ponad sto czterdzieści miesięcy — ciągnął. Zwracał się do mikrofonu na stoliku nocnym, jakby rozmawiał z mną za pośrednictwem radiofonii wewnętrznej. — Przez ponad sto czterdzieści miesięcy przebywał pan w warunkach sprzyjających rozwojowi zespołu osamotnienia. Każdy lot jest stego rodzaju urazem psychicznym i prowokuje kształtowanie się reaktywnych stanów paranoidalnych.

— Mój dom to nie stacja zalogowa, doktorze. Stoł w sąsiedztwie innych domów. Na Ziemi. Na betonowych fundamentach. I miałem za soba najdłuższy w swojej karierze zawodowej okres readaptacji, kiedy walifem po pysku tego gościa.

Rettman usiadł na skraju tapczanu. Paznokciem tracił niedbale pokrętkę pod skalą radioodbiornika.

— Można mieszkać między ludźmi, na Ziemi, a mimo to żyć jak na stacji zalogowej — powiedział. — Taką postawę wobec świata weterani OKSZ przyjmują powszechnie i to wcale nie wynika z ich cech osobniczych, chociaż...

Płocł to ludzie o wyjątkowej odporności psychicznej, ale lata przepracowane w kosmosie nie mają bez śladu. Nadmierna drażliwość, wybuchowość, malejąca zdolność do właściwej oceny sytuacji, omamy, urojenia...

— Omamy? — przerwałem mu śledząc ruch jego ręki na białej stolika.

Zawahał się, po czym podjął:

— Zaburzenia te ustępują, to prawda. Obozy readaptacyjne, długie urlopy, intensywne kontakty towarzyskie skutecznie przywracają równowagę psychiczną. Ale po jakimś czasie przestaje to wystarczać i może nadejść taki moment, że nawet tutaj, na Ziemi, w odpowiedzi na całkiem nikły czynnik urazowy wystąpią nagłe objawy psychotyczne.

— Zaraz od pana usłysze, że to, co zobaczyłem w tamtym pokoju, było wytworem mojej fantazji.

— Pan już raz uległ złudzeniu i popełnił podobną pomyłkę w ocenie sytuacji. Dowodzi tego jedna ze scen w pańskiej książce.

— Pan ją czytał?

— Owszem. Nie lubię współczesnej literatury, bo w tym kokieterijnym bełkotcie nie ma żadnej prawdy o człowieku, ale pańską książkę przeczytałem z zainteresowaniem.

— Dziękuję, Pan mi pochlebia. Ja...

Nadal bawiąc się pokrętkami na stoliku ostrzegawczo uniósł do góry palec, jakby chciał uprzedzić moje minoderyjne protesty.

— To nie jest komplement. Jeżeli mówię o zainteresowaniu, to nie z powodu fabuły. Lektury nie przerywałem okrzykami zachwytu. Zainteresowały mnie przeżycia narratora, tylko one i tylko w takim stopniu, w jakim były przeżyciami pańskimi.

— „Publiczna pralnia twojego sumienia” — zacytowałem z pamięci. — Tak tę książkę nazwała Leslie. Pralnia mojego sumienia. Pan chce, żebyśmy zrobili dla pana jeszcze jedną przepierkę? To nie nie da. Zapewniam pana, że w tamtym okresie życia, który opisuje w swojej książce, raczej trzeźwo oceniałem sytuację. Nie ma mowy o jakiegokolwiek pomyśle. Miałem wówczas trzydzieści osiem lat i już wiedziałem, że jeżeli kobieta leży z rozchyłonymi nogami pod chłopem, to nie po to, żeby się przed nim chwalić nową kcieką.

Doktor Rettman patrzył prosto na mnie.

— Pan mówi o... Przepraszam, o czym pan mówi?

— O tej sytuacji, którą rzekomo mylnie oceniałem — odpowiedziałem. — Mówię o tym, że wtedy po obiedzie moja pierwsza żona postanowiła pokazać Sternowi swoje najnowsze kreacje. Poszli oboje do jej buduaru i kiedy zajrzalem tam dziesięć minut później, oni się parzyli, chociaż pan utrzymuje, że uległem złudzeniu.

— Nie to miałem na myśli, panie Cesara.

— Nie to?

— Pamięta pan ostatni dzień swojego pobytu w komorze ciszy?

Przytaknąłem. Tego dnia nigdy nie zapomnę.

— Wrzaz z lekarzem i sanitariuszem — rzekł Rettman — do pańskiej wyszłł kommandor Bragg.

— A ja zlamalem mu szczękę, bo wziąłem go za Maxa Sterna.

— I te samą pomyłkę popełnił pan teraz.

— Co?

— Uważam, że powinien pan przyjąć do wiadomości.

Siedział na łóżku wpatrując się we mnie

nieruchomo i beznamietnie, a ja wpatrywałem się w niego. Nic nie dalo się wyczytać z jego twarzy.

— Ze jak? — spytałem. — Ze to nie był Max Stern?

— Pan dobrze wie, że to nie mógł być Max Stern od roku nie żyje.

— Więc kto to był? Joseph Bragg?

— Joseph Bragg.

Jak żywy stanął mi przed oczami tamten pokój. Mężczyzna leżał na brzuchu i podrygiwał zapalczywie, sapać i dzwoniąc kłamrą rozpiętego pasa. Na poduszce, tuż przy jego głowie, pod grzywą rozczochranych włosów, rozlewał się zachwycająco radosny uśmiech niedorozwiniętej Evelin. Potem jej rysy weszła sala pościel i widziałem tylko maskę — białą i nieokreśloną.

Leslie i Joseph Bragg? Leslie i ten pedał? W gruncie rzeczy to wcale nie jest takie absurdalne — pomyślałem, ale zanim pogodziłem się z tą myślą, doktor Rettman znów zaatakował:

— Nie była to jedyna pańska pomyłka tamtego dnia. Pomylił się pan także co do kobiety.

— Evelin? — to imię powiedziałem mimowolnie.

— Evelin? — powtórzył Rettman odziedzicząc sylaby. — Nie, nie Evelin. To była pańska pierwsza żona, panie Cesara. Emmelina. Emmelina Raya.

XII

Wstał i raptem kadencje toccaty organowej wypełniły pokój i wprowadziły powietrze w wibrację. Ta muzyka, włączona przekornie i podstępnie, tak teraz niestosowna, opadała mi na wszystkie strony i uderiała mi się do mózgu — pewnie dlatego, żebym nie mógł się skupić nad niewiarygodnym oświadczeniem Rettmana.

— Po co włączył pan radio? — zapytałem.

— Mary Smalldon-Lopez — powiedział Rettman w przestrzeń. — Co za talent. Pomyśleć, że ma zaledwie siedemnaście lat.

— Ten hałas mnie rozprasza, doktorze.

— Przepraszam. — Z wyciągniętą ręką pochylił się nad stolikiem i zapadła kojąca cisza.

— Ona bodaj lepiej gra niż komponuje. Hiszpańska „sangre”.

Przejmujące, groźne echa odczywały się w moim umyśle.

— Proszę?

— Pan o niej nie słyszał? No tak, to przecież pan napisał, jak dużo traci się w kosmosie.

— Ale to słowo: „sangre”. Pan powiedział: „sangre”?

— Zapozyczyłem je z prasy. Karol Langer, mój ulubiony felietonista uznał, że słowo „sangre” podkreśli pochodzenie tej artystki i przęga autentyzmu i oryginalności całego sformułowania. — Rettman skubnął ją w ucho. — Czy w panu wywołuje to jakieś skożerzenia, „cuate”??

Wciągnąłem z sykiem powietrze.

— „Cuate”? — powiedziałem. — „Sangre”?

— Podniosłem głos, by opanować jego arżenie.

— Prowadzicie naukę języków obcych w tym Zakładzie?

— Proszę mi wybaczyć — odrzekł Rettman. — Nie chciałem pana zdenerwować.

— Nie jestem zdenerwowany!

Zacisnąłem zęby nakazując sobie spokój. Patrzyłem, jak on mozolnie pracuje nad przyszłym, wydłużonym kształtem swojego ucha.

— Oczywiście, oczywiście — zagruchotał ciepło — i pojednawczo, chociaż na jego twarzy gościła zamysłona abojetność. — Pan zawsze tak reaguje na hiszpański?

— O co, u diabła panu chodzi?

— Spojrzał na zegarek i opuścił ręce. Taksującym wzrokiem zmierzył mnie od stóp do głowy, westchnął i przemówił rzeczowo:

— Jeżeli chce pan stąd wyjść, proszę mi to powiedzieć, panie Cesara. Wypuszczę pana natychmiast.

— Pasknąłem śmiechem czując, że śmiech ten ma historyczne zabarwienie.

— Wolnego, doktorze. Poczekam, aż wy sami postanowicie skończyć ten eksperyment.

Śmiałem się jeszcze po jego wyjściu. Było jasne, że szukał głupca.

XIII

»Tak, eksperyment, eksperyment. Bo zostałem poddany nowemu testowi.

Lokal ten jest czymś do rodzaju komory ciszy. Rozkład pomieszczeń, ich wielkość potwierdzona drugim pomiarem, który przeprowadziłem za pomocą tekstolitowej okładki dziennika, hegemonia białej, czarnej i kolorów pośrednich, drzwi zamknięte od zewnątrz, gąbczasta wykładzina ścian, tablica rozdzielcza w uersji stolika nocnego — kiedy to podsumowałem, pierzchył wszelkie wątpliwości.

Test ten zdaje się być łatwiejszy od tego, co poprzedzał wyprawę naszej sześcioposobowej grupy na „Titanie”. Przypomina moją pierwszą „próbę ciszy” — tę sprzed ponad dwudziestu lat, przeprowadzaną na kadetach Ośrodka Kosmicznych Statków Zalogowych — ponlewa nikt tu nie nęka mnie przesadnymi ograniczeniami! Mam nawet większą swobodę. Mogę czytać, pisać, rozwiązywać zadania logiczne, śpiewać, krzyczeć tańczyć, montować i demontować meble, słuchać radia, oglądać filmy i programy telewizyjne i porozumiewać się ze światem zewnętrznym.»

C.D.N.

*) Krew.
**) Bracie!

1

Tylko jeden postulat

Znak drogowy nakazywał ograniczenie szybkości do 30 km na godzinę, nad nim trójkąt z wykrzyknikiem przestrzegał, że „niebezpieczeństwo”. Specjalnie się nie boję — jechałam więc sobie nieco szybciej, powiedziałam o 10 km, rozglądając się, jakie też niebezpieczeństwo czyha na wąskiej, ale nieźle utrzymanej drodze, z wyraźnie nowym dywanikiem asfaltowym. Nagle tuż za mną pojawił się inny samochód. Jego kierowca sygnalizował zamiar wyprzedzenia — ale ponieważ nie mógł — było zbyt wąsko — trąbił na mnie i wygrażał. Pokazałam mu język — przecież to ja miałam rację, jadąc z nakazaną szybkością, Wreszcie ograniczenie szybkości zostało odwołane — niebezpieczeństwo nie pojawiło się byłoby bowiem znak pozostawiony po dawno zakończonych robotach drogowych.

Przejeżdżając drugi raz tą samą trasą wiedziałam już, że wyprzedzający mnie kierowca miał rację — zachował się co prawda niezgodnie z przepisem, ale za to rozsądnie — i sama nie zwolniłam ani trochę, lekceważąc że ustawiony znak.

Podobnie — wielokrotnie już — lekceważyłam napis „nie deptać trawnika”, jeśli właśnie przez trawnik prowadziła najkrótsza droga od mojego domu do sklepu czy przystanku. Ze mną ja jedna — świadczyła zwykle wydeptana tuż obok tabliczki ścieżka.

Zdarzały mi się poważniejsze „przestępstwa” — zabierałam na wczasy psa albo niby dlatego może on przebywał w luksusowym hotelu Orbisu a nie może w brudnym osrodku dwudziestej piątej kategorii?, piłam koniak już o godz. 12, łamiąc bezsensowny punkt ustawy, paliłam papierosa stojąc pod tabliczką „palenie zabronione” (a co miałam zrobić, skoro nigdzie w pobliżu nie było tabliczki z napisem „tu wolno palić?”), a nawet sprędałam z niewielkim zyskiem spódnice, która już na drugi dzień po kupieniu przestała mi się podobać, ale nie mogłam zwrócić jej w sklepie, bo zgubiłam paragon.

Podobne małe i większe wykroczenia popełniałam całe mnóstwo moich znajomych — przy czym nikt nie ma z tego powodu żadnych rozterek moralnych. A przecież omijając jakieś przepisy — nawet dotyczące spraw bardzo drobnych — nie respektując zarządzeń, zakazów i nakazów — także łamiemy prawo. Oczywiście popełnianie trawnika jest zupełnie nieporównywalne z wyciągnięciem portmonetki z kieszeni starszki — ale jedno i drugie jest właśnie czynem zakazanym i obwarowanym sankcjami.

Dlaczego tak się dzieje, dlaczego ludzie bynajmniej nie sąsiadujący na określenie margines społeczny, cieszący się szacunkiem otoczenia tak często po pełniają właśnie owe małe grzeszki, dlaczego sporą popularnością cieszy się i jest realizowane w praktyce hasło „przepraszam cię, ale nie omijaj”? Wydaje się, że w niemalym stopniu przyczyniają się do tego przede wszystkim, autorzy rozmaitych przepisów, rozporządzeń norm itp. — choć intencje ich są zgoła odwrotne.

Trafiając raz i drugi na przepis lub zakaz w sposób ławny sprzecywny ze zdrowym rozsądkiem, przestarzały lub wydany

na wyrost, na przepis, który po prostu trzeba złamać — po prostu uczymy się tego. Po kilku czy kilkunastu takich doświadczeniach będziemy lekceważyć nie tylko to, co bez sensu, ale także i to, co, choć mądre, nam po prostu z jakichś względów nie odpowiada — a tak się przecież na ogół w drobnych sprawach dzieje.

Nie mam zamiaru twierdzić, że osoba, której uszła na sucho kilkakrotnie jazda bez biletu uzna, iż uniknie kary również w przypadku zamordowania teściowej, nie przypuszczam również, aby ludzie, którzy bez żadnych wyrzutów sumienia łamią niektóre punkty ustawy dewizowej — bo nie mając legalnego konta chcą jednak kupić coś w Pewexie — również beztrosko dopuścili się zdrady państwa. Chciałabym jednak doczekać czasów, w których wszyscy zwykli ludzie z respektom odnoszą się będą do wszystkich przepisów — nie w obawie przed karą, ale po prostu z szacunku dla prawa: prawa mądrego, zgodnego z logiką i społecznym poczuciem sprawiedliwości, prawa które raczej chroni i nie kępuje możliwości działania tych, którzy go przestrzegają, niż straszy i grozi; prawa zrozumiałego dla wszystkich i stabilnego.

Wkrótce rozpocznie się nowa, IX kadencja Sejmu. Zapewne pojawią się nowe ustawy — a w ślad za nimi kolejne rozporządzenia resortów, zarządzenia władz terenowych itd. Jeśli będą to kolejne ustawy już w chwili uchwalenia wymagające nowelizacji, bądź też pozostające jedynie na papierze, nie realizowane praktycznie czy takie których niektóre postanowienia stają się tematem żartów domorosłych i zawodowych satyryków — uczynimy kolejny krok na drodze prawnej demoralizacji społeczeństwa.

Czego konkretnie dotyczyć mają najbliższe ustawy — o tym zadecydują sami posłowie. Nie ma jak sądzić powodów, aby Sejm zajmował się drobnymi sprawami, podejmował próby szczegółowych regulacji spraw codziennych. Jeśli jednak dobre będą te najważniejsze akty prawne — może znacznie potrzeba wydawania aż tylu zarządzeń i rozporządzeń, przepisów, zakazów i nakazów, które tylko prowokują do tego, aby je omijać bądź łamać? Doprowadzenie do sytuacji, w której „prawo zawsze prawo” wymaga czasu dłuższego niż okres jednej kadencji sejmowej — ale zwrócenie szczególnej uwagi na tę sprawę jest jedynym postulatem, jaki mam do przyszłego Sejmu.

AGATA

2

Nagle zastępstwo

Pomysł starszej pani

Radia słucham głównie z rana — prawie codziennie docierają więc do mnie rewelacyjne komunikaty, z których wynika, że jest godzina osma trzy, że słońce zajdzie i to nawet o ściśle oznaczonej godzinie. Można wiedza zostaje poszerzona także o to, że są imieniny Mściwoja, Damazego, Uwelinalego

i Zenka Krawczyka. Z ostatnich audycji czuję także podstawową wiedzę z dziedziny współczesnej muzyki rozrywkowej — zapoznałam się z rewelacyjnymi perełkami poezji w rodzaju „Daj mi te noc...”

Przez prawie całe minione lato wysłuchiwałam — niemal codziennie — informacji o wyborach jakichś miss. A to miss Polonia, a to miss „Lata z radiem” a to jeszcze jakaś inna. Najwięcej miss wybrał naturysta, co jest dziwne — idologia tego ruchu u swych najbliższych podstaw ma publiczne chodzenie na golasa, jako że „nagie jest piękne”. Skoro zatem wszystko co nagie jest piękne, to każda goła pani jest piękna ze swej istoty i wybory miss nie mają sensu. A może odwrotnie? Może trzeba zrobić aż tyle wyborów, żeby każda, absolutnie każda naturystka miała tytuł? Pełna i by tak rzec, naga demokracja...

Odnosna muzyka rozrywkowa też nie pozostawiała w tyle za treścią informacji — głównie występował tego roku w programie radiowym (przynajmniej w tym, którego słucham) utwór o charakterze pieśni masowej walczącej awangardą ruchu naturystycznego — „Chau! you welcome to”. I bardzo słusznie!

Niepokoi natomiast brak wyborów mister. Zwłaszcza mister naturystów! Zwłaszcza że mogłyby to być jedne wybory naturystyczne, w których kryteria byłyby obiektywne, żeby nie powiedzieć wymierne...

Z ruchem naturystycznym już się tak nawybrałabym, że nawet prymas Giamp zabrał głos na ten temat. Głos — ku memu zdziwieniu — bardzo umiarkowanie krytyczny. Mianowicie kardynał powiedział, że właściwie nie dziwi go, iż jakieś tam grupki ludzi plażują sobie bez tekstyliów, natomiast przeciwny jest halasiwej propagandzie tego ruchu w TV.

Będąc także umiarkowanym zwolennikiem naturyzmu, żyłem dotąd w przekonaniu, że nie bardzo to da się pogodzić z moralnością chrześcijańską, a zatem grzeszę... I proszę bardzo! Nie podobnego! Kardynał ma bardzo zbliżone do moich poglądy na ten temat...

Tymczasem Feridun Erol Zygmont Broniarek i Sylwester Marczak przedtąd do piekła jak dwa a dwa jest cztery! A już taki Nalecz-Jawek! Będzie w otchłani piekielnej podany najsurowszym torturom. A także jego współpracownica Agata.

Wracamy do radia Właśnie dziś, w środę 18 września 1965 r. wysłuchałem nieuważnie bo przez otwarte drzwi łazienki że jakaś starsza pani zwróciła się do radia, aby przekazała jej apel do trenera Piechniczka. Otóż starsza pani zauważyła, iż największą nieszczęść w postaci strzelonych przez przeciwników bramek zdarza się w takiej sytuacji, kiedy gracze druzyny przeciwnej znajdują się na naszym polu karnym. A zatem starsza pani apeluje do trenera kadry, żeby wszystkie swe wysiłki skierował na takie wyszkolenie piłkarzy, aby nie dopuszczali oni przeciwnika na pole karne!

Genialnie proste!

Starsza pani może także odkryć ujawnić, to nawet wzruszające. Niestety, są dziedziny gdzie pojawiają się podobne odkrycia, wywołując tylko wzruszenie ramion. Czytałam otóż parę tygodni temu artykuł, którego autor, w trosce o efektywność naszej gospodarki zamyslił się głęboko i odkrył niesłychanie głębokie prawo z dziedziny organizacji produkcji: mianowicie podzielił on wszystkie prace i działania dokonujące się w zakładzie produkcyjnym na wewnętrzne i zewnętrzne. Zewnętrzne to takie, które służą produkcji bezpośrednio, wewnętrzne to wszystko to, co służy samemu funkcjonowaniu zakładu i bezpośrednich korzyści produkcyjnych nie przynosi. I — proszę państwa — cała sztuka w tym, żeby te zewnętrzne intensyfikować, a wewnętrzne minimalizować!

Genialnie proste! Tylko nie puszczaj na pole karne!

ANDRZEJ KAROL

3

Idzie, depcząc po grzybach

Wybrałem się do lasu. Nie powinno być w tym fakcie nic nadzwyczajnego. Jesienią do lasu jadą autobusy pełne ludzi. Jadą na grzyby. Ale ja wybrałem się do lasu samotnie, aby pooddychać czystym powietrzem, popatrzeć na drzewa, poobcować z przyrodą. Człowiek jest częścią przyrody, nieodłączną, ale się wyobcował i w swojej pysze wydaje się mu, że jest królem wszelkiego stworzenia i może z przyrodą robić to, co mu się tylko podoba. Ale to poważny błąd i już dziś zaczynamy płacić za naszą megalomanię i naszą głupotę. Płacimy niszczeniem środowiska...

Te myśli przyszły mi dużo później, już w domu. W lesie było mi głupio i rosło moje oburzenie. Las był bowiem pełen ludzi. Krzyżeli, pofukiwali, nawoływali się, płoszyli biedną zwierzęcą. Ale żeby tylko.

Ludzie ci przyjechali na grzyby, czyli po grzyby. I bardzo dobrze. Lubie grzybek zamarynowany, solony, duszony, sos grzybowy. Znam się też trochę na grzybach. Wiem na przykład, że muchomor czerwony jest... grzybem jadальnym, potrafi go odróżnić od muchomora białostęgo, który jest grzybem trującym, jak i od muchomora szarobiałego, który również jest grzybem trującym. Niedy jednak nie będę zbierał muchomorów czerwonych i próbował ich jeść, choć wiem, że w innych krajach tak postępują.

Tego roku w lasach obrodziły kurki, czyli pieprzniki jadalne. Ludzie zbierali tych grzybów całe kosze. Obrodziły też goryczaki żółciowe. Ładny to grzyb. Niewtajemniczonym przypominają borowiki, bo i należą do borowikowatych. Nie jest to grzyb trujący, ale ma tak gorzki smak, że jeden goryczak w garnku grzybów zmarnuje całą potrawę. Rosły więc sobie goryczaki w lasach i były systematycznie niszczone. Po co? Tego nie wiem, domyślałam się jedynie, że mało wprawni grzybiarze wyciągali z ziemi goryczaki, przekonywali się, że grzyb ten ich nie powinien interesować, kroili je i wyrzucali.

Po lesie krążyły watahy leśnych wandalów. Po przejściu takiej tyralieri las przedstawia smutny widok. Krzaki poddeptane, grzyby — te, których się nie zbiera — pokopane, poddeptane, poroztrzucane. Ale i zdarzało mi się schylać i podnosić z ziemi dobre grzyby ale kopnięte przez jakiegoś nierozgarniętego grzybiarza. Wśród tych kopniętych były i... prawdziwki.

Ze smutkiem i przykrością oglądałem las. Wśród leśnego runa, zdewastowanych grzybów, udało mi się spościć bułki po „białowiejskiej”, „wistuli”, „bałtyckiej”, piwie z Krotoszyńska, winie marki „wino”. Nie wspomnę już o stosach papieru, porzuconych paczkach po papierosach, choć w lesie pale-

nie niewskazane, po cukierkach, spotykałem ogryzki od jabłek i resztki po śniadaniu. Szedł człowiek przez las i zostawiał po sobie niechlubne ślady. Piszę o tym, ale wiem, że to i tak nie pomoże, bo człowiek nauczył się nie liczyć z niczym, z nikim, być „panem świata” i wszystko lekceważyć.

Później zacząłem się przyglądać spotykanym w lesie grzybiarzom. Są wśród nich specjaliści. Ludzie, którzy znają grzyby, umieją je zbierać. Potrafią dostrzec grzyba pod kupką igliwia, wśród trawy we mchu. Gdy mają wątpliwości, jakiego to grzyba spotkali, nie wyrzucają go z ziemi, ale dobrze mu się przyglądają, ale jeśli ich nie interesuje, zostawiają w ziemi. Ale są tacy, którzy wszystko podnoszą, pchają do koszyka lub torby foliowej, aby było więcej, aby było się czym pochwalić. Później w domu polową wyrzucają.

W lesie rośnie wiele gatunków i rodzajów grzybów. Nie każdy i nie wszystko zbiera. Czy trzeba wszystkie napotkać grzyby niszczyć? Czy trzeba w lesie przyjmować postać leśnego eksploratora, który zabiera z lasu wszystko co się tylko do zabrania nadaje? Jedynie olszówkę jakoś nikt nie ruszał. Radio, telewizja i prasa widać dostatecznie i skutecznie nastraszyły grzybiarzy i ci omijają olszówkę jakby były one zarżone. Może więc pisanie o wandalach w lesie przyniesie jednak jakiś skutek?

Spacerowałem po leśnych ścieżkach, duktach, polanach. Oglądałem wszystko uważnie, rozkoszowałem się pięknem lasu i denerwowałem hałasem. Przedstawiłem sobie widok rancz i popukał się w czoło. Oni przyjechali do lasu na grzyby. A ja byłem niechlubnym wyjątkiem...

Odjechały sprzed lasu autobusy i samochody. W lesie znów zaległa cisza. Las przegotowywał się do leczenia ran zadanych mu przez ludzi. Do najbliższej wolnej soboty i niedzieli było aż pięć dni. Ale może być tak, że tych pięciu dni na leczenie ran lasu nie wystarczy? I co wtedy?

WITOLD BOROWY

4

Lewym okiem

Przestałem być optymistą!

Najważniejszym problemem świata, usuwającym wszystkie inne na daleki plan, jest na dzisiaj niewątpliwie sprawa odwrotnego wyścigu zbrojeń. Podobna sytuacja — na znacznie niższym kręgu spirali, bo tny był wtedy poziom techniki niszczenia — istniała pięćdziesiąt lat temu i wiemy, co z tego wynikło.

W roku 1934 znakomity reporter amerykański, H. R. Knickerbocker, objechał całą Europę, żeby przeprowadzić rozmowy z mężami stanu we wszystkich niemal stolicach (nie był w Moskwie, a szkoda, bo wyniki jego sondy byłyby dziś znacznie bardziej interesujące). Wszystkim rozmówcom zadawał pytanie: czy będzie w Europie wojna? Wszyscy odpowiadali z zawodową ostrożnością i z optymizmem, za którym czuło się dyplomatyczną nieszczerzość. Pokłosie tych rozmów znalazło się w książce Knickerbockera „Europa w mundurze”, wydanej w 1935 roku również po polsku.

Prezydent Czechosłowacji, Masaryk, mówił wtedy: „Wojny nie będzie ponieważ państwa nie mają na nią pieniędzy” (jeszcze trwał kryzys gospodarczy);

Minister spraw zagranicznych Czechosłowacji, Benes, uważał, że „istnieje pięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że wojna wybuchnie w ciągu lat pięciu”. Jak wiemy, przeważało pięćdziesiąt procent pesymizmu...

Regent Węgier, admirał Horty, twierdził: „Wojny nie będzie; to za wielkie ryzyko”.

Francuski generał, Camille Welch, gubernator wojskowy Strasburga, „Przestałem być optymistą”.

Król Jugosławii, Aleksander: „Wojna nie zacznie się na Bałkanach”.

Król Bułgarii, Borys: „Wojna jest nie do pomyślenia, dopóki rządzi pokolenie, które przeżyło doświadczenia ostatniej wojny” (minęło wtedy dopiero sześćnaście lat od zakończenia pierwszej wojny światowej).

Ludwik Barthou, minister spraw zagranicznych Francji: „Rok temu napisałem, że wojna nie wybuchnie z pewnością w roku 1934. Dziś nie mógłbym już podtrzymać tego poglądu” (w międzyczasie do władzy w Niemczech doszedł Hitler).

Premier Węgier, Juliusz Gömbös: „Czy pokój w ciągu dziesięciu lat jest zapewniony? Tego nie powiedziałem, ale mam gorącą nadzieję, że tak”.

Polski minister spraw zagranicznych, Józef Beck: „Odważę się na twierdzenie, że nigdzie na kontynencie stosunki nie są dziś tak uporządkowane, jak w Europie Wschodniej” (właśnie podpisano wtedy dziesięcioletni, polsko-niemiecki pakt o nieagresji; rozmowa z Beckiem była zresztą szczególnie ciekawa i może jeszcze do niej wróć osobno).

Amerykański dziennikarz kończył swą książkę tak: „Wyścig zbrojeń rozpoczęły Niemcy, Francja, Wielka Brytania, Rosja, Japonia — ruszyli do biegu, którego zakończeniem są olimpijskie igrzyska śmierci. Jeśli gra nie zostanie przerwana, nie będzie już miało sensu pytanie „czy będzie wojna w Europie?”, lecz tylko — „kiedy wybuchnie wojna?”. Wielu obserwatorów uważa, że już dziś jedynie istotne jest to drugie pytanie.

I ostatnie zdanie książki: „Zbrojenia nie zabezpieczyły jeszcze nigdy świata od wojny”.

Pięćdziesiąt lat później znów cisną się pod pióro słowa „wyścig zbrojeń rozpoczęły” — i tak dalej, aż po ostatnie zdanie.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Na jak długo — takie pytanie nie miało sensu, kreszła, domyślał się, że nie na zawsze, skoro kazano mu zapamiętać hasło: „Jutro lub pojutrze, Robert”. Teraz, gdy czekał w hotelu na coś, co miało nastąpić, nęciła go myśl, aby spotkać się z Eryką, porozmawiać, ale to byłoby oczywisty błąd. Eryka nie mogła wiedzieć, że on już opuścił Mordegi, że lada chwila przestanie być Józefem Marynem. Rozwód z niestniejącą osobą ona dostanie zaocznie, jeśli w ogóle rozwód będzie jej potrzebny. Nadleśniczy Masłocha otrzyma telefon z Okręgowego Zarządu, że strażnik łowiecki został przeniesiony gdzie indziej, jego klucze należy sprzedać, a rzeczy pozostawione u Horsta Soboty przekazać pod jakiś tam adres. Karaś, Budrys i Inni, będą jednak jakiś czas jeszcze żyli w niepewności, co się stało ze zdjęciami, które im zrobił Józef Maryn oraz z oświadczeniami jakie mu napisali. Na ten czas przestaną klusować — jedyna korzyść z faktu, że niejaki Józef Maryn przebywał w wiosce Mordegi. Kobieta o imieniu Weronika powróci do leśniczego o nazwisku Kulesza, który już odąd będzie ją dupczył nieco mniej i za jej przyzwoleniem, Horst Sobota umrze i pochowany zostanie w jesionowej trumnie, a w jego domu osiadł leśniczy Stęborrek. Zniknie krwawa plama na mapie nadleśnictwa w Bartach, las jeszcze raz wycięży i przekroczy piaszczystą drogę. Tylko, że nikt już tego nie będzie wiedział, ponieważ poza Horstem Sobotą i Józefem Marynem, który na skutek gadania Horsta, także trochę uwierzył, że las jest żywą istotą — nikogo ta sprawa nie zaczęła obchodzić. Bo i kto ma się nią interesować skoro odbierał ludziom duszę?

Zniknie więc na zawsze, rozplynie się w czasie i przestrzeni osobnik nazwiskiem Józef Maryn, strażnik łowiecki. W świat ruszy znówu Kristopher Bullow lub jakiś inny człowiek, z wyglądu podobny do Józefa Maryna. Czy naprawdę tego chciał — żyć znówu w obcym kraju, wśród obcych ludzi, w ciągłym strachu o swoją wolność i swoje życie? I co to właściwie znaczyło dla niego żyć w obcym kraju i wśród obcych ludzi. Tu był jego kraj, ale mniej o nim wiedział niż o innych. Oczywiście, tutaj znajdował się jego właściwe miejsce, pracował dla tutejszej firmy. Ale gdyby tak pogrzebał w sobie może okazałoby się, że po prostu lubił wykonywać swoją robotę, ukształtowany go na zawodowego informatora, nauczonego biegle władać trzema językami, stworzonego specjalną osobowość, która w pełni i sprawnie powinna funkcjonować tam, a nie tutaj. Kto wie, czy nie wpojono mu także w jakiś sposób potrzeby nieustannego ryzyka, udawania kogoś innego, ciągłego maskowania się i zacierania śladów. Pozostawienie go w kraju było wielkim marnotrawstwem; to tak jak gdyby przez długi czas kształcono ortopedę, a potem nagle, po jednej nieudanej operacji, nakazano taktemu fachowcowi, żeby zajmował się, na przykład, niacinieniem niemowląt. Dzieci można polubić, dzieci są miłe, praca z nimi potrafi także dać radość i zadowolenie. Tak na przykład, on, Józef Maryn po raz pierwszy w swoim życiu zobaczył wielki las i wierzył, że stanowi on jednorodną grzeźną istotę. Do tego celu jednak nie trzeba było wkładać aż tyle wysiłku i pieniędzy w kształtowanie jego osobowości, uczenia go specyficznego rzemiosła, bo to co robił do tej pory było rzecz jasną tylko szczególnym rzemiosłem. Amatorszczyzna nie zdawała egzaminu; amator musiał szybko przegrać, gdyż nie umiał fałszować kart, a w tym zawodzie nie można się uczyć na błędach. Decydowała fachowość i własne predyspozycje psychiczne. To coś, czego nikt nie nazwał, ale co było w niektórych ludziach.

Nawet jego matka dość szybko wyczuła, że trzeci jej syn jest jakiś inny niż pozostali. „Będzie księdzem” — powiedziała do ojca. Zainteresował się nim proboszcz i chłopak zaczął uczęszczać na plebanie, aby uczyć się włoskiego. Proboszcz był jakiś czas w Rzymie, tam pracował, ale go wygrzylił, gdyż był to czas dla Włochów. Nie chciał, żeby chłopak był zwykłym księdzem, ale jakimś monsigniore. Tak więc z krytej strzechy ogromnej chałupy pobielonej wapnem chodził na plebanie i uczył się włoskiego. „Jest zdolny do języków, ale brakuje mu laski wiary” — zwierzał się proboszcz matce. A potem zdecydowano, że najstarszy brat weźmie go do rodziców całą gospodarkę, średni zaś i najmłodszy będą się kształcić. Średni skończył politechnikę, kiedy najmłodszy zdał maturę i egzamin na wyższą uczelnię, gdzie na drugim roku studiów zaproponowano mu inną robotę i dodatkową naukę. Proszą i oczywiście konsekwencją tego wszystkiego był adres Bernadetty Bullow, która prowadziła sklep z rowerami przy Dapperstraat. Zatrudniała ona w sklepie dwóch ekspedientów — starszego pomarszczonego Jawajczyka o imieniu Karel i bardzo skomplikowanym nazwisku oraz młodą francuzkę Yvette. Ta para była małżeństwem i mieszkala na starym statku zakotwiczonym w kanale w pobliżu Brouwergracht — Singel. Nowy ekspedient dostał pokój u pani Bullow w jej czteropokojowym mieszkaniu nad sklepem (dom był jednopiętrowy i cały należał do pani Bullow) i musiał pracować razem z Karem i Yvette.

Bernadetta była jeszcze młodą kobietą ze śladami niezwyklej urody, ale zniszczyły ją narkotyki. Miała ciało wychudłe do niemożliwości. Kto jej dawał narkotyki (sklep nie przynosił takich dochodów) — o to nigdy nie pytał, a ona nie okazała się skora do zwierzeń. Podobnie nigdy nie dowiedział się, skąd pochodziła i jak się to stało, że była właścicielką sklepu z rowerami. Być może miał w tej sprawie znaczenie fakt, że od czasu do czasu nosiła żalobę po swoim mężu, jakimś tam Krystianie Bullow. Zresztą w jej domu, a także między ekspedientami panowała zasada, że nikt nikogo nie pytał o sprawy osobiste — piski zwyczaj, który się jeszcze tu i ówdzie zachował. Narkotyki nie są jednak dobrą rzeczą, Bernadetta Bullow od czasu do czasu wpadała w szal i tylko ściany mieszkania mogłyby opowiedzieć, ile razy musiał ją wiązać, knebiować usta, upokajając. Od czasu do czasu miewała też nienasycone pragnienia seksualne, którym ulegał. Tak, tej nocy, kiedy musiał zaspokozić chęć tej wysokiej i straszliwie wychudłej kobiety budzącej w nim tylko wstręt, zrozumiał, że stracił duszę. Ale czy pozostawiono mu jakiś wybór? Którejś nocy Bernadetta zapukała mocno w ścianę jego pokoju (spali w sąsiadujących ze sobą pomieszczeniach) i on poszedł do niej myśląc, że źle się poczuła. Paliała się tylko nocna lampka, a ona leżała naga na tapczanie, z rozchyłonymi i podkurczonymi nogami. Pierwszy raz zobaczył ją naga i przekonał się jak bardzo jest chuda — zamachała się każde zebro, piersi miała wyschnięte jak pergaminowe płaskie woreczki, kości biodrowe zdawały się przedzierać przez skórę, zapadnięty brzuch wyglądał jak głęboka misa. Pocętkowane przez nakłucia uda były cieniutkie i niefioremne jak u kilkuletniej dziewczynki. Przypominała fotografie ludzi zmarłych z wycieńczenia lub głodu, ale przecież żyła, palce jej rąk drażniłynie poruszały się po przesłoniętej, oczy błyszczały pełnią życia. Zrenice miała nienaturalnie zwężone, choć zapewne wzięła tylko niewielką dawkę heroiny, co obudziło w niej silne pożądanie. W takich razach zazwyczaj chyba onamizowała się; w łazience kilkakrotnie widział plastikowego sztucznego członka, jakich wiele można było kupić w prawie każdym pornoshopie. Teraz jednak postanowiła mieć mężczyznę, który od dwóch tygodni mieszkał pod jej dachem i pracował w jej sklepie. Nie, nie dano mu wyboru. Zarośnięte rudawym włosom łono domagało się mężczyzny i on musiał się nim okazać, jeśli nie chciał, aby go zadenuncjowała, gdyż po jej nierównoważonej psychice wszystkiego się można było spodziewać. Zgasił nocną lampkę, a kiedy ogarnęła ich ciemność, dotknął palcami nastrozonych włosów na jej łonie i wilgotnej od śluzu pochwy, wyobraził sobie, że maca tłusciutką Yvette, którą pożądlwie obserwował podczas pracy w sklepie. A że miał wtedy dwadzieścia pięć lat i boleśnie odczuwał głód kobiety — wziął ją przez chwilę zapominając o wstręcie. A ona, ponieważ właśnie nie wyczuła w nim wstrętu, okazała mu przedziwnie swoją wdzięczność „Będziesz dwa razy w tygodniu rznął Yvette w hotelu na sąsiedniej ulicy” — obiecała i tego dotrzymała. Odąd dwa razy w tygodniu pukała w ścianę jego pokoju i także dwa razy w tygodniu miał w pokoju hotelowym pulchną Yvette o barbowanych na rudo włosach. Czy stary Jawajczyk, Karel, wiedział o spotkaniach swej żony z młodym ekspedientem? Prawdopodobnie tak. Ale nie, dał tego o sobie poznać; być może działało się to za jego przyzwoleniem, które wymogła na nim Bernadetta. Wkrótce zresztą młody ekspedient stał się mężem Bernadetty

Wielki las

(13)

ZBIGNIEW NIENACKI

Bullow, przyjął jej nazwisko i obywatelstwo. Jako Bullow przestał pracować w sklepie i zaczął wjeżdżać do różnych miast i pobliskich krajów w interesach sklepu, to znaczy po zakup najnowocześniejszych rowerów i części zamiennych. Nigdy nie ukrywał przed nikim kim jest z pochodzenia, zwierzał się nawet, że trapi go nostalgia, dlatego zapisał się do różnego rodzaju towarzystw, pisał drobne sunki na różnego rodzaju pisemka-propagandowe, bywał na różnych zebraniach, słuchał rozmaitych referatów, brał udział w poważnych akcjach, ale nie nazbyt gorliwie. Nie wolno mu było zapomnieć, że jest kupcem, którego przede wszystkim powinny interesować własne interesy. Jego łącznikiem z firmą była wówczas jakaś stara sowa kobieta, którą raz w miesiącu spotykał w pobliżu Dapperstraat na targu, gdzie handlowano tanją odzieżą i innymi rzeczami. Tam jej przekazywał fotografie, taśmy z nagraniami, otrzymywał instrukcje, gdzie powinien jechać, kogo sfotografować, o kogo się dowiedzieć, kogo obserwować, o kim informować. Aby zebrać informacje wciąż musiał gdzieś jeździć — coraz częściej i częściej. Ale Bernadetta nie protestowała, bo zawsze wracał i zaspokajał jej seksualne potrzeby. Jeździł pociągami, latał samolotami, kupił też sobie starego austriaka, ale najczęściej pożywał od Bernadetty jej szybkiego opła. Po trzech latach firma zleciała mu nawiązanie kontaktu z niejakim Ivo Bunderem, który prowadził interesy w kilku krajach. Poinformowano go, że prawdopodobnie ów Ivo Bunder pracuje dla kilku firm, ale bywa lojalny dopóki otrzymuje należną mu zapłatę. Oczywiście, powstawało pewne ryzyko, ale Ivo Bunder poprzez swoje szerokie kontakty i właśnie pracę dla kilku firm mógł dostarczyć informacji cenniejszych niż ktokolwiek inny. Tak Bullow poznał Bundera i od razu odczuł, że ma do czynienia z kimś niezwykłym. Spotykał się w różnych miastach i w różnych krajach, w mieszkaniach, które pod różnymi nazwiskami wynajmował Ivo Bunder. Z czasem nawet zaczęli realizować wspólne zadania i to stało się powodem, że ich oficjalne kontakty przetrwały się w coś w rodzaju przyjaźni.

Niski, zażywny, łysiejący i ciągle uśmiechający się Ivo Bunder, gadatliwy mężczyzna około czterdziestki — podobał się mrukliwemu Bullowowi. Lubiał opowiadać kawały, żartował figlować, ale przecież dość szybko przekonał się Bullow, że jest to osobnik bardziej niebezpieczny od nabitego pistoletu. Bunder załpował Bullowowi. Pewnego razu Bullow przez prawie tydzień znajdował się w podróży, a gdy wrócił — Karel i Yvette poinformowali go o śmierci Bernadetty. Zresztą czekało na niego wezwanie na policję. Bernadetta naćpała się narkotyków, wsiadła do swojego opła i roztrzaskała o słup telegraficzny za miastem. Bullow miał niepodważalne alibi: podał miasto i hotele, w których mieszkał, zamówienia na rowery, które zrobił. Nie mógł jednak udawać przed policją, że nie wiedział o nagługu swojej żony i przez cały czas małżeństwa ukrywał to przed światem. „Szantażowała mnie” — skłamał. „W każdej chwili mogła mnie wyrzucić ze swojego domu i swego sklepu”. To zdaje się przekonało policję, ale potem nastąpiło coś jeszcze gorszego. Karel i Yvette przyszli do niego z rachunkami, weksłami, pokwitowaniami, z których wynikało niezliczone, że od lat pożyczali Bernadecie pieniądze i suma jaką była im winna, przewyższała wartość sklepu, a nawet całego domu. Innymi słowy, właścicielami sklepu i mieszkania stali się Karel i Yvette, a on musiał się wywinąć nie wiadomo dokąd. Wówczas to Bullow postanowił zasięgnąć rady Bundera i wezwał go na spotkanie. Ivo Bunder zjawił się natychmiast. Nie był już wesołym, figlarnym mężczyzną. „Ty durniu, głupcze, idioty” — wściekał się na Bullowa. — „Nawet największy kretyn domyślił się powinien, że to ta para zamordowała twoją żonę. Nafaszowali ją narkotykami i wsadzili w samochód, żeby mieć w końcu swój własny interes. Jeśli nie posiadasz dowodów, to je wymyśl i spreparuj albo pogadać z nimi. Inaczej zdechniesz na śmietniku”. Ivo Bunder miał małe, tuste, ciepłe dlonie — stworzone do pieszczenia kobiecych ciał. To nie były dlonie do brukania ich niedelikatnym zajęciem. Dlatego już następnego dnia przysłał mu człowieka, który był tak samo chudy jak Bernadetta. Zamknął się we czwórce w mieszkaniu nad sklepem — Bullow, ten facet, Karel i Yvette. Karel prawie bez żadnych nacisków wymógł, że całą sprawę uknuła Yvette. Ja trzeba było jednak trochę przycisnąć — Bullow pierwszy raz ogłądał jak się coś takiego robi i o mało nie zemdlął. Yvette na-

pięła przyznanie się do spowodowania śmierci Bernadetty. Może uczyniła to z bólu i strachu, a może rzeczywiście zrobiła to tak jak opisała. W każdym bądź razie stało na tym, że Bullow będzie nominalnym właścicielem sklepu i domu przy Dapperstraat, faktycznie zaś są nimi Karel i Yvette. Do nich będą należeć zyski z interesu, Bullow zatrzymuje sobie tylko mieszkanie i będzie nadal jeździł po rowery. Zeznania Karela i Yvette zamknął Bullow w specjalnej skrytce, którą kiedyś sporządził. Tam także ukrył paszport, na którym był z wasami i broda. Przy Bernadecie starał się wyglądać poważnie, teraz mógł być młodym. O zgubieniu paszportu powiadomił władze i w jakimś czasie później dostał nowy — już ze zdjęciem bez wąsów i brody.

Z Yvette przeżył wtedy zadziwiająca historię. Kiedy nasłany przez Bundera chudzielec i Jawajczyk opuścili mieszkanie Bullowa i pozostała w nim jedynie Yvette, gdyż była słaba po meczarniach, jakie jej zadał chudzielec, raptem, może po godzinnym wypoczynku, ściągnęła majtki i kazała się Bullowowi rznąć. Zrobił to i ku swojemu zdumieniu po raz pierwszy odkrył, że ona z niezwyklej rozkoszy doznała czegoś w rodzaju konwulsji, nawet na chwilę straciła przytomność. „Nikt nigdy nie dał mi w dupę tak dobrze jak ty” — powiedziała mu potem. — „Jeśli chcesz, pozbędziemy się starego i pozostaniemy tylko we dwoje”. Bullow wytłumaczył jej wykrętnie, że z taką sprawą należy zacząć, gdyż zbyt świeża jest dla policji sprawa Bernadetty. Ale tej nocy Bullow uwierzył temu, co od niego tylko słyszał, a także mówił mu Bunder — iż nic tak nie przywiązuje kobiety do mężczyzny jak właściwe i dokładne zaspokojenie jej pożądlwości. Jeśli się dobrze rzną kobiecie — można ją zmusić do każdej podłości, a nawet zbrodni. Bunder o tym dobrze wiedział, dlatego odwiedzał domy schadzki, podejrzane restauracyjki, dziwne nocne lokale. Zdobywając informacje nigdy sam się nie narażał; robił to za niego kobiety albo mężczyźni o dziwnych upodobaniach. Bunder był pod tym względem mistrzem i Bullow wiele się od niego nauczył, szczególnie po śmierci Bernadetty, gdy spotykali się częściej.

Bernadetta nie zostawiła mężowi żadnych oszczędności. Ale Bullow zawsze myślał o niej z sentymentem, szczególnie, że już nie żyła i nie musiał zaspokajać jej żądz. To była dobra kobieta mimo swego nalogu. Przeżył z sobą kilka lat, nie zawsze napadały ją ataki szału i ogromnych potrzeb seksualnych; bywały takie dni, a nawet tygodnie, kiedy zachowywała się normalnie, dbała o męża, uczyła swojego języka. Za własne pieniądze Bullow wystawił jej skromny pomnik na omentarzu i nigdy nie mógł darować Yvette, że spowodowała jej śmierć. Ivo Bunder dał mu trochę pieniędzy i współnika do nowego interesu — okulaję podczas wojny starego Niemca, o banalnym i chyba też fałszywym nazwisku Hans Weber, z którym już po drugiej stronie granicy zorganizowali coś w rodzaju motelu i zarazem domu schadzki o nazwie „Dębowa altana”. Do owej „altany” przyjeżdżał z różnymi paniami Ivo Bunder, albo przysyłał same panie albo samych panów. Zajmował się tym wszystkim ów Niemiec; Bullow od czasu do czasu otrzymywał od tamtego pewne profity i jak dawniej odwiedzał przeróżne zebrania, kluby, stowarzyszenia. Z czasem dostał od firmy trudniejsze zadania i przeniósł się bliżej Ivo Bundera. Z kraju przyjeżdżało coraz więcej przeróżnych ludzi od handlu i w innych sprawach służbowych. Mieli skromne diety; niektórzy głodowali, żeby coś ładnego kupić i przywieźć do domu. Bullow obserwował ich twarze, gdy wychodzili z hotelu i całym godzinami wycięli się po mieście, oglądając wystawy sklepowe. Przywykli do ich pożądlwych spojrzeń, do dion, które zaczynały dygotać, kiedy przeliczali wyciągnięte z portfeli drobne sunki, po dnasie razy zastanawiając się, czy stracić je w sklepie, czy też w pornoshopie albo jeszcze gdzie indziej. Ivo Bunder dał mu prawie trzydzieści fotografii ludzi podobnych do sepow, czytających na takich osobnikach. Dla Bullowa wystarczyło, że zobaczył przez moment któregoś z tych sepow w towarzystwie ludzkiego padła dygocącego od chciwości (bo tak ich od tego momentu nazywał), aby domyślił się, że taki facet został już kupiony, niekiedy za niedużą sumkę. Oczywiście, nie wszyscy byli tacy, a nawet można by śmiało powiedzieć, taki osobnik pojawiał się jeden na tysiąc i Bullow niekiedy tylko marnował czas. Ale przybywało Bullowowi doświadczenia — nie każdy, w czyich oczach pojawiał się wyraz chciwości lub pożądlwości dawał się kupować, choćby z firmy przychodziło ostrzeżenie, że ten właśnie osobnik może być na taką sprawę podatny. Odkrył w końcu owo nieuchwytnie „coś”, co zaczął wyczuwać w aurze otaczającej takiego osobnika, w jego ruchach, sposobie mówienia, zachowaniu się, poruszaniu po mieście. Nie potrafił tego „czegoś” nazwać, po latach jednak natychmiast wyczuwał smrodek. Wystarczyło niekiedy jedno spojrzenie na jakiegoś człowieka, a w Bullowie jak gdyby zapalała się czerwona ostrzegawcza lampka. Wówczas dzięki rozmaitym znajomościom z pokojówkami albo cieniutkiej blaszeczce, którą nosił ukryta w pasku, dostawał się do pokoiów hotelowych i przekonywał się, że człowiek ów wraca do kraju z walizkami wyładowanymi drogiymi prezentami, otrzymywanymi nie wiadomo od kogo i za co. Ivo Bunder stał wtedy wiadomością do firmy. Tak, z czasem Bullow wydoskonalił swój nos na ów specyficzny smrodek zdrady i przekupstwa, choć to nie zawsze było takie proste. Pewnego razu firma ostrzegła Bundera i Bullowa, że przybywa do nich facet bardzo podejrzany. I nic.

CDN



Rys. Janusz Szymbalski-Glanc